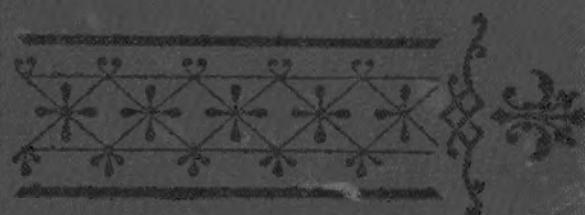
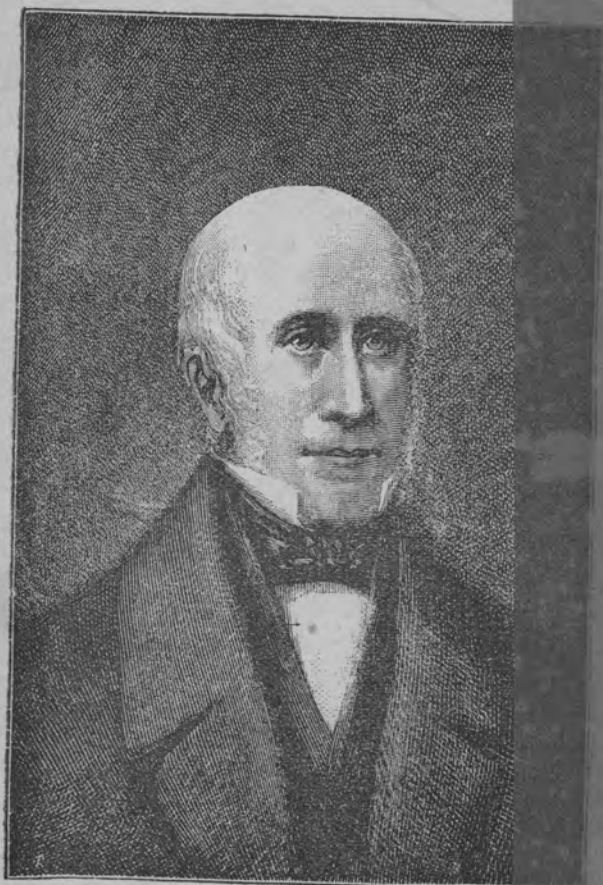


Ks. Janvier

Lycie Leona Dupont



ZYCIE  
LEONA DUPONT.



**LEON DUPONT**

zmarły świątobliwie w Tours 18 Marca 1876 r.

*pam. / życia*

**ŻYCIE  
LEONA DUPONT**

Przez

*Hs. Janvier.*



WYDAWNICTWO KSIĘGARNI NAKŁADOWEJ  
**M. SZCZEPKOWSKIEGO**  
WARSZAWA, Nowogrodzka 23.

—  
1902.

✓  
+  
Дозволено Цензурою.  
Варшава 12 Марта 1900 года.

APPROBATUR.

Varsaviae, die 4/17 Martii 1902 anni.

Judex Surrogatus

Canonicus Metropolitanus

Leopoldus Łyszkowski.

Secretarius

R. Lasocki.

N. 1642.

О Д О Б Р Е Н О .

Г. Варшава, 4/17 Марта 1902 года.

Судья Суррогатъ Варшав. Р.-Кат. Дух. Консисторіи

Каноникъ Митрополитальнаго Капитула

Ю. П. Лышковскій.

840 - 312.6  
SU  
Секретарь Рук.  
Кс. П.  
23/11/1902  
R. 509

Друк Franciszka Czelwinskiego w Warszawie, Krak.-Przedmieście N. 2.

PRZEDMOWA

do drugiego wydania.

—\*—

Spowodowani życzliwą radą, a odpowiadając licznie wyrażonym życzeniom, ogłaszamy to powtórne, znacznie skrócone, wydanie życia czcigodnego Leona Dupont. W niczem nie różni się ono od pierwotnego wydania, a z powodu swej krótkości dla ogółu przystępniejsze, może tem skuteczniej przyczynić się do uczczenia pamięci świątobliwego męża. Zobaczymy, że zawsze i wszędzie był to mąż Boży „sprawiedliwy,” żyjący życiem modlitwy i wiary gorącej a czynnej, oddany sprawie zadoścuczynienia, ale przede wszystkim był to czciciel bolesnego Oblicza Pańskiego.—Ten główny i charakterystyczny szczegół jego życia zatrzymaliśmy tu w pierwotnej rozciągłości, chcąc zapoznać czytelników z wielkim dziełem zadoszycuzynienia, tak koniecznem



wobec coraz groźniej objawiających się występków ludzkich i ran społecznych.

Ufamy, że przykład świętobliwego sługi Chrystusowego stanie się dla czytelników zachętą do naśladowania gorliwości, z jaką za dni naszych tyle dusz wspaniałomyślnych garnie się do nabożeństwa Zadosycuczynienia; tego zadatku zmiłowania Bożego i rękąmi lepszej przyszłości.

Skromną naszą pracę poświęcamy sługom Oblicza Pańskiego, gorliwym zelatorom i zelatorkom; za ich pomocą coraz więcej się rozszerzając, niechaj osiągnie podwójny swój cel, chwałę Bożą i zbawienie dusz.

Przeznaczona dla rodzin chrześcijańskich, dla młodzieży, jako wzór godzien naśladowania, przedstawia im człowieka, który tak niedawno jeszcze żył na tym świecie. — Przypatrzcie się tylko, czyż on nie jest jakoby jednym z pośród was? Ubiorem, stosunkami, stanowiskiem społecznym nie wyróżnia się od was; był uczniem, małżonkiem, ojcem i aż do końca zachował najściślej węzły i obowiązki przyjaźni i pokrewieństwa. — Czczył i cenił powołanie zakonne, ale tak samo jak tyłu z pośród was, nie przekroczył granicy, dzielącej go od stanu duchownego i zakonnego.

Poświęcał na służbę Boga i bliźnich majątek, czas, zdolności, słowem siebie całego, ale czynił to jedynie z potrzeby serca, a nie w skutek jakiegoś ślubu, lub zobowiązania. Jedyne uroczyste przyrzeczenie, jakie złożył przed ołtarzem Pańskim, jedyny ślub, wiążący go z Kościołem św., to ten sam, który wiąże was wszystkich, to obietnice, zaprzysiężone na chrzcie świętym. — Jest chrześcijaninem — i dość mu na tem; w tem świętem imieniu czerpie siłę do walki, znajduje chlubę i wesele, — do tej godności nie wstydzi się przyznać jawnie przed ludźmi, ona pobudza go do pełnienia cnót najwznioslejszych.

Przypatrzcie się jego życiu, ale nie dość na tem; uczcie się od niego i usiłujcie dorównać mu. W chwili obecnej, gdy Kościół i Ojczyzna zarówno potrzebują ludzi, pełnych wiary i hartu, przykład Leona Dupont przychodzi w sam czas, by go rozważać i naśladować. — On zaś, jak ufamy, modlitwą swoją dopomoże nam z nieba do postępowania na tej samej drodze, którą krocząc już tu na ziemi osiągnął słodką nagrodę i wielką pociechę.

Jeżeli gdziekolwiek w niniejszem dziele użytymi zostały przedwcześnie tytuły „świę-

tych“ lub „błogosławionych,“ albo też przedwczesna wzmianka o niepotwierdzonych przez Kościół cudach uczynioną została, oświadczam gotowość zastosowania się we wszystkim najzupełniej do dekretów Kościoła i nie uprzedzania w niczem orzeczeń Stolicy Apostolskiej, której się jak najzupełniej i we wszystkim poddaję.



## ROZDZIAŁ I.

### Przyjście na świat Leona Dupont. Jego młodość i małżeństwo.

Leon Dupont urodził się 24 stycznia 1797 r. na wyspie Martynice, należącej do kolonii francuzkich. Ojciec jego pochodził ze starej szlacheckiej rodziny, osiadłej w Bretanji, a matką była Marja Ludwika Gaigneron de Marolles z Martyniki. Młoda ta i bogata kreolka z przyrodzonym wdziękiem łączyła wielkie zalety rozumu i serca, oraz prawdziwą świętobliwość. Leon w szóstym roku życia straciwszy ojca, pod jej troskliwą opieką spędził wiek dziecięcy; matka w wrażliwej duszy chłopca umiała zaszcześcić żywą wiarę i wielką pobożność.

Z epoki tej pierwszej młodości Leona doszedł nas szczegół, drobny wprawdzie, ale świadczący o otwartości i niewinnej prostocie dziecka. W szkółce, do której uczęszczał wraz z innymi chłopcami swego wieku, powstało pewnego dnia wielkie zamie-

szanie. Ruchliwa gromadka, korzystając z chwilo-  
wej nieobecności nauczyciela, zamiast odrabiać za-  
dania, poczęła skakać po ławkach, śmiać się i rozma-  
wiać — gdy jednak nauczyciel, spowodowany hała-  
sem — przyszedł i drzwi otworzył, zastał już całą  
klasę w wzorowym porządku. Chcąc tedy wysledzić  
sprawców zamieszania, począł chłopców badać; ale  
wszyscy utrzymywali, że o niczem nie wiedzą, że  
byli bardzo grzeczni. Jeden tylko Leon przyznał  
otwarcie, iż bawił się, zamiast się uczyć. Jeśli tak,  
mój kochany — rzekł mu nauczyciel z udaną powa-  
gą — nie możesz tu pozostać z samymi grzecznymi  
chłopcami, idź bawić się, gdyż właśnie dzwonią na  
rekreację.“ I wyszedł Leon na dziedziniec, podczas  
gdy resztę klasy surowo zgromił i ukarał odjęciem  
rekreacji. W podeszłym wieku pan Dupont przyta-  
czał chętnie to zdarzenie na dowód, że szczerłość  
i otwartość zawsze mu na dobre wychodziły.  
Wkrótce, gdy miejscowa szkoła okazała się niewy-  
starczającą dla chłopca, wysłała go matka do zakła-  
du naukowego w Stanach Zjednoczonych. Bolesne  
to rozłączenie spowodowane zostało zamieszkami  
wojennymi, wstrząsającymi całą Europą; była to bo-  
wiem epoka wielkich wojen Napoleońskich, gdy  
Anglja, mszcząc się za zwycięztwa Napoleona, za-  
władnęła Martyniką i dzierżyła ją aż do roku 1815.

Po dwuletnim pobytku w Ameryce, Leon mógł  
być oddanym do kolegijum w Pontleroy we Francji,  
gdzie też, mając lat dwanaście, przystąpił po raz  
pierwszy do Komunji św. Nie znamy bliższych  
szczegółów tej chwili uroczystej, pamiętamy tylko

wzruszenie, z jakim p. Dupont wspominał o niej  
w późniejszych latach.

Z tego źródła miłości Bożej zaczerpnął już  
wtedy gorące nabożeństwo do Najświętszego Sakra-  
mentu; a obfite łaski, wówczas odebrane, dozwoliły  
mu zachować niczem nieskażoną wiarę i niewinność  
pomimo tylu niebezpieczeństw, na jakie zdala od  
rodziny młodzieniec bywa narażony. Zresztą, dzięki  
opatrności, znalazł w swym wuju, hr. Gaigneron  
de Marolles, drugiego ojca i opiekuna, w którego  
zamku w Chissay, spędzał corocznie wakacje, razem  
z młodszym i jedynym bratem, Teobaldem, w to-  
warzystwie młodych kuzynów i kuzynek. Tam  
odnajdywał wspomnienia ojczyzstego kraju i przy-  
kłady życia rodzinnego; tam też zawiązał pierwsze  
ogniwa czystej a nierozzerwalnej przyjaźni chrze-  
ścijańskiej.

Jak świadczą jego współtowarzysze wakacji  
był to w owym czasie nadzwyczaj miły i uprzejmy  
chłopiec. Wesoły, żywy, jednał sobie serca wszyst-  
kich; był duszą i organizatorem dzieciennych wy-  
praw i zabaw, płatał tysiące figli, lubił namiętnie  
gonitwy, taniec, przejażdżki na osle, ale zarazem  
już wtenczas dawał dowody zdumiewającej energii  
i siły woli, czego dowodem następujące zdarzenie.

Alfred de Marolles, młodszy kuzyn Leona,  
huśtał się pewnego dnia na żelaznej bramie, zamy-  
kającej pałacowy dziedziniec. Leon, siedząc po dru-  
giej stronie, trzymał rękę tuż przy zawiasie i pomi-  
mo kilkakrotnych przedstawień Alfreda, nie chciał  
jej ztamtąd usunąć. „Cofnij rękę — prosił raz jeszcze

Alfred, bo ją zmiążdżę.“ — „Jak ci się podoba — odparł uparty chłopiec, ale ztąd się nie ruszę.“ Po chwili brama zatrzaśła się istotnie, i zgmiotła mu duży palec; ból był straszny, a ślad tego bolesnego wypadku pozostał na całe życie. — Ten to charakter, z natury tak stanowczy i energiczny, łaska Boża później uszlachetniła, szczepiąc na jego gruncie cnoty wzniosłe i heroiczne.

Ukończywszy liceum około 1815 r., obaj bracia podążyli do matki, która była wyszła powtórnie za męża, za pana d'Arnaud, bogatego dziedzica z Lamentynu. Krótki jednak był ich pobyt na wyspie rodzinnej; dla ukończenia nauk udali się do Paryża, gdzie obaj zajęli prywatne mieszkanie u znacznej chrześcijanki, pani Contour. — Leon, poświęciwszy się studjom prawniczym, zapisał się na publiczne kursa, a nadto pod kierunkiem prywatnego nauczyciela pilnie uzupełniał i rozszerzał zakres swoich wiadomości. Na utrzymanie miał wyznaczoną pokaźną sumę dziesięciu tysięcy franków rocznie, które też wydawał co do grosza.

Zaraz po przybyciu do Paryża, zawiązał bliższe stosunki z wielu wybitnymi osobistościami z wyższego towarzystwa, a zwłaszcza z księdzem de Frayssinous, dawnym kolegą szkolnym, a teraz już kapłanem, pełnym świątobliwości i rokującym wielkie na przyszłość nadzieje.

Byli prawie nierozdzielni, a podniosły umysł i świątobliwość przyjaciela wywarły zbawienny wpływ na młodego Leona i w znacznej może części

przyczyniły się do późniejszej jego gorącej pobożności i świętych dzieł, na jej gruncie wyrosłych.

Obecnie, nie zaniedbując głównych powinności chrześcijanina, ulegał Dupont wszechwładztwu mody i ruchu światowego. Urodzeniem, majątkiem i wychowaniem należąc do arystokracji stolicy, był przez nią chętnie przyjmowany, prowadził życie wystawne, miał własny powóz i konie, lubił taniec i zebrania publiczne.

Pobyt w Paryżu niemało przedstawiał niebezpieczeństw dla dwudziestoletniego młodzieńca, bez stałego zajęcia i rodziny, bogatego, przystojnego, a żadnego życia i przyjemności. Leon zachował wszakże najlepszą sławę, a jak sądzimy i czystość sumienia. Ceniono go ogólnie, a podziwiano uprzejmość i dystynkcję obcowania, dla której dostał żartobliwy przydomek „grzecznego markiza.“ Dupont, śmiejąc się później z tej nazwy, opowiadał, że nie zawsze na nią zasługiwał. I tak później, już za powrotem na Martynikę, gdy gość jego w ubliżający sposób odezwał się o nieszczęsnym królu, Ludwiku XVI, Leon, nie mogąc znieść brutalnej zaczepki, wstaje, a żegnając niegrzecznego gościa, coprędzej wyprowadza go z salonu. Czczość życia światowego nie na długo mogła zadowolnić czyste jego serce, — poczuł wyrzuty sumienia, a promień łaski Bożej dał mu poznać marność rzeczy ziemskich, a wielką wagę sprawy zbawienia. Czas ten zowie Dupont epoką nawrócenia swojego, a działanie łaski opisyje w następujący sposób.



Potrzebując chwilowo stangreta do koni, zgodził małego Sabaudeczyka, jakich pełno spotkać można na ulicach Paryża. Chłopak, wyuczony i stosownie ubrany, spełniał swój urząd ku zupełnemu zadowoleniu pana, aż do pewnego dnia, w którym nie stawił się na oznaczoną godzinę. Zapytany o powód spóźnienia, tłumaczył się obecnością na zgromadzeniu małych Sabaudeczyków, którymi z ojcowską troskliwością zajmował się pewien pobożny pan, nazwiskiem Bordier; uczył ich katechizmu, przysposabiał do pierwszej Komunii św. Pan Dupont zaciekawiony tem opowiadaniem, a chcąc się o prawie przekonać, udał się na oznaczone miejsce, i istotnie znalazł tam młodego człowieka, ujmującej i dystygnowanej powierzchowności, otoczonego liczną gromadką chłopców, którzy słuchali go z wielką miłością i przejęciem. Wzruszony tym widokiem i pełen uwielbienia, zapragnął Dupont poznać szlachetnego opiekuna małych Sabaudeczyków, i w tym celu udał się do jego prywatnego mieszkania. W ciągu rozmowy z właściwą sobie żywością począł opowiadać, jak przed kiku dniami podczas wycieczki w okolice Paryża, zaskoczony przez burzę, przemokł do suchej nitki. Pan Bordier odrzekł, iż nie zauważył wspomnianej burzy, a widząc zadziwienie gościa, dodał zaraz, iż o tej godzinie znajdował się zapewne w kościele na niesporach i kazaniu. „Ależ to nie była niedziela“—zawołał Dupont. „Nie niedziela, ale święto Matki Boskiej“—odpowiedział p. Bordier. Te proste słowa wywarły wielkie wrażenie na Leonie; odszedł poruszony i zawstydzony, wyrzucając sobie lekkomyślne swe życie.

Zaprzyjaźniwszy się z panem Bordier, dopomagał mu w pracy nad małymi Sabaudeczykami, których los i później nie przestał go zajmować. Osiedłszy w Tours, zbierał ich w kościele Karmelitanek, uczył, napominał, a gdziekolwiek spotkał, szczerą obdarzał jałmużną, mówiąc: „Nie mogę patrzeć na nich bez wzruszenia.“

Stosunki z panem Bordier przywiodły go do zapoznania się ze stowarzyszeniem dzieci Maryi. Kongregacja ta, po rewolucji wzmocniona przez O. Delpiuts, żywym jaśniała blaskiem, czyniąc wiele dobrego, a pomiędzy swymi członkami liczyła kwiat ówczesnej młodzieży. Przyjęty do ich grona, Leon, pełnił uczynki miłosierne i inne obowiązki kongregacji z właściwym sobie zapalem, bez cienia fałszywego wstydu, jak to pokazuje następujące zdarzenie. — Przejeżdżając pewnej niedzieli przez miasto Nantes, wstąpił do kościoła, a zbliżając się do jednego z księży, poprosił o wysłuchanie spowiedzi. Zagadniony, widząc przed sobą młodego i eleganckiego Paryżanina, nie wie co zrobić, lękając się jakiego podstępu lub niewczesnego żartu (tak rzadką i prawie niesłychaną było wówczas rzeczą, by młody człowiek w zwykłą niedzielę przystępował publicznie do św. Sakramentów). Spostrzegłszy to wahanie, Dupont oświadczył mu, że należąc do kongregacji Dzieci Maryi, przywykł spowiadać się co tydzień—wtedy dopiero kapłan, zdziwiony i zbudowany jaknajchętniej spełnił jego życzenie.

Z niemniejszą żarliwością i wspaniałomyślnością wspierał potrzebujących współbraci. Oto co pod



tym względem opowiada o nim jeden z katolickich księgarzy Paryża: „Pewien kupiec, ojciec licznej rodziny, popadłszy w długi, został zagrożony ogłoszeniem bankructwa. Wierzyciele byli właśnie zgromadzeni u niego w składzie, gdy przypadkiem nadszedł Dupont, a dowiedziawszy się o przyczynie smutku gospodarza, rzekł bez namysłu, wskazując na ulicę: „Tam jest mój koń i kabriolet, sprzedajcie go i zapłaćcie co się należy“—a zaiste ładny i elegancki był to zaprząg. Ta wspaniałomyślność niemałe wrażenie wywarła na obecnych; licytacja została wstrzymana, a nieszczęśliwy kupiec zdołał wkrótce uporządkować zachwiane interesa. „Nie dziwiłbym się — dodaje naoczny świadek powyższego zdarzenia — gdyby od tej właśnie chwili datowała się świętość Leona.“

I w rzeczy samej, działanie łaski Bożej przekształcało w nim zwolna charakter i całe jego życie, prowadząc go do cnót najwznioślejszych. Pani Contour, ówczesna jego gospodyni i powiernica codziennych drobnych przeciwności, z jaknajwiększym wyraża się o nim uznaniem. Choć ulegał niekiedy wrózonej porywczosci, to tak prędko uznawał swą winę, tak serdecznie za nią żałował, że zadośćuczynienie przewyższało chwilowe uchybienie. I tak, pewnego dnia, wychodząc z domu, chciał zabrać do zmienienia tysiąc franków; spieszył się, gdyż czekano na niego, a tu banknot zginął bez śladu. Przewraca szuflady, przywołuje do pomocy panią Contour; wszystko daremnie. Zaniepokojony i zniecierpliwiony, unosi się wreszcie gniewem i woła,

wskazując na służącego: „To z pewnością sprawka tego nędznika; on jeden był tutaj.“ — „Uspokój się pan — przedstawiała poczciwa gospodyni — nie każ dłużej czekać na siebie, pożyczę ci tymczasem pieniędzy, a w spokoju raz jeszcze wszystko przetrząsnę.“ Leon, trochę uspokojony, przychyłając się do życzliwej rady, wyszedł na miasto. Podczas jego nieobecności, po długich bezowocnych poszukiwaniach nieszczęśliwy banknot znalazł się istotnie, wciśnięty pod dno szufladki. Za powrotem do domu, Leon zaledwie się dowiedział o odnalezieniu pieniędzy, upadł do nóg służącemu, tak niesprawiedliwie posądzonemu, błagając go ze łzami o przebaczenie, i odtąd starał się usilnie, by mu krzywdę wyrządzoną wynagrodzić.

Kilka przytoczonych powyżej szczegółów z uniwersyteckiego życia Leona Dupont pragniemy jeszcze uzupełnić rysem, malującym dosadnie obyczaje jego akademickie, a zarazem jego szczerłość i prostotę ducha. Oto mniej więcej jak sam to opowiadał, pamiętny, jak zawsze, by uwydatnić swe uchybienia i niedoskonałości:

Uczeń opieszaly — powiada — poprzestając na prywatnych lekcjach, nie uczęszczałem wcale na publiczne kursa. Aż tu nadszedł czas egzaminów, do których potrzebne jest świadectwo, stwierdzające obecność mą na kursach. Co tu robić? Nie wiele myśląc idę wprost do mieszkania profesora i pytam odźwiernego, czy jest w domu. „Ależ on w tej chwili przeszedł tuż obok pana“ — odpowiada mi zapadnięty. Staję zatem przed profesorem, którego

Życie Leona Dupont.



poprzednio nietylko nie znalazłem, ale nawet nigdy nie widziałem, i przedstawiam mu cel mych odwiedzin, to jest prośbę o potrzebne do egzaminów poświadczenie. Profesor bardzo grzecznie wskazując mi krzesło, począł badać, jak często uczęszczałem na kursa. A ja po prostu przyznałem się, że dotąd nie byłem na żadnej prelekcji, że jego samego miałem zaszczyt widzieć po raz pierwszy w życiu — co tłumaczy mimowolną niegrzeczność, iż nie ukloniłem się, spotkawszy go przed chwilą. Ta szczerza i naiwna odpowiedź, widocznie niezmiernie go zdziwiła, gdyż zamiast czynić mi zasłużone wyrzuty, zawołał z żywością: „Oto jeden przynajmniej, który się do nieobecności przyznaje. Wszyscy inni akademicy, znajdując się w pana położeniu, okłamują mię bez miłosierdzia, zapewniają o regularnem uczęszczaniu na kursa, twierdząc niezmiernie, że nie zauważyłem ich w tłumie słuchaczy. Czy uwierzysz, że przed kilku dniami jeden z tych panów, któremu wyrzuciłem nieobecność, śmiało mi powiedział, że siadał zawsze po za filarem, a tymczasem w sali nie ma wcale filarów“—mówił profesor, coraz się więcej unosząc. „Wracając do pana—dodał po chwili—skoro przechodziłeś kurs prywatny, ufam twoim wiadomościom; przyjdź dwa lub trzy razy na publiczne wykłady, zadam ci kilka pytań i wystawię żądane świadectwo.“

W dwudziestym czwartym roku życia, ukończywszy kurs prawa, powrócił Leon na Martynikę, gdzie też objął posadę przy sądzie królewskim. Polubił prawniczy swój zawód, pomimo tego że już w Pa-

ryżu czuł pewien pociąg do stanu duchownego, a nawet zamierzał wstąpić do seminarium, na co jednak rodzina nie chciała zezwolić. Na Martynice wiódł dalej życie bogobojne, oddane miłosiernym uczynom, jakkolwiek nie uchylał się od bywania w świecie. Lubił konną jazdę, polowanie, był bardzo ceniony i poszukiwany w towarzystwie, zachował jednak zawsze opinię bardzo pobożnego i cnotliwego młodego człowieka, a przy każdej sposobności przyznawał się jawnie i otwarcie, jak bardzo brzydził się choćby najmniejszym grzechem. Pełniąc uczynki miłosierne, miał przedewszystkiem na względzie moralne i religijne dobro osób wspomaganych. I tak krótko po swem przybyciu na wyspę dowiedziawszy się, że chrzestnym ojcem pewnej biednej sieroty po oficerze francuzkim miał zostać człowiek bardzo bogaty, ale bez stałych zasad katolickich, sam ją do chrztu podawał. Później oddał dziewczynkę na wychowanie do zakładu Sercanek i przez całe życie z ojcowską opiekował się troskliwością.

W tymże czasie brat jego, Teobald, powróciwszy na Martynikę, umarł prawie nagle w skutek zjadliwej febry, tak zabójczej w gorących krajach. Śmierć ta, stanowiąca straszny cios dla całej rodziny, rozstrzygnęła i o przyszłym losie Leona. Ulegając życzeniu matki i radom ks. Landas, bardzo godnego kapłana, zaniechał tajemnego pragnienia zostania księdzem, które na nowo w duszy jego budzić się zaczynało, i poprosił o rękę panny Karoliny d'Audiffredi. Młoda ta osoba nie była Leonowi bynajmniej obcą, ale przeciwnie znajomą z lat dzie-

cinnych, towarzyszką wesółych zabaw podczas wakacji, spędzanych wspólnie w zamku pana de Marrolles. Wychowana w Europie, w klasztorze Urszulanek, wyniosła ztamtąd prawdziwą pobożność i zaród cnót najwznioślejszych. Wszyscy współcześni chwałą miłe jej usposobienie, dobroć serca, ale zarazem wspominają o jej bardzo delikatnym zdrowiu.

Po ślubie młoda para przeniosła się do miasta Saint-Pierre, gdzie zamieszkali nad morzem na wzgórzu, z kądem cudowny roztaczał się widok, w ślicznym domu, otoczonym cienistym i pięknym ogrodem, pełnym stawów, w których Leon kąpał się dzieckiem jeszcze, zyskując sławę doskonałego pływacza. Niestety, to ustronie czarowne nie na długo miało pozostać widownią ich szczęścia! Krótkie chwile niezem nie zamąconej radości trzeba było okupić stokroć większym cierpieniem. Pan Bóg, zsyłając na Leona krzyż bardzo dotkliwy, chciał utwierdzić chwiejną dotąd wolę jego i przywieść go do wyższej doskonałości, do której czuł bezustannie wewnętrzny pociąg, a która nie da się pogodzić z rozkoszami życia rodzinnego i z światowemi przyjemnościami. Jak niegdyś Abrahamowi, każe mu Pan opuścić bogatą siedzibę i ziemię rodzinną i zawieźć go innego kraju. Tam Dupont, nie będąc kapłanem, stanie się jednak przez apostołstwo modlitwy i miłosierdzie ojcem sierot, opiekunem ubogich, apostołem grzeszników i wzorem dla chrześcijan współczesnych. Powołanie jego zrazu nieokreślone, na tyle napotykające trudności, dopiero w chwili doświadczenia zarysuje mu się jasno przed oczyma.

## ROZDZIAŁ II.

### Przybycie do Tours.

Po pięciu latach małżeńskiego pożycia, r. 1832 obdarzył Bóg małżonków Dupont córeczką, której dano na imię Marya Karolina Henryka. Ochrzczono ją najprzód z wody, a dopiero w ośm miesięcy dokończono ceremonji chrztu, co dało Leonowi Dupont sposobność do ugoszczenia w swym domu liczne grono krewnych i znajomych. Ogólnej radości, rzecz dziwna, nie podzielała tylko młoda matka; opuściła nawet wesole zebranie i po długim, a daremnem szukaniu, znaleziono ją płaczącą gorzko, w przeczuciu blizkiej śmierci. Prawdziwie wieszczę i przez nikogo nie podzielane było to przeczucie, gdyż Karolina Dupont, choć zawsze słaba i delikatna, nie była bynajmniej chorą. Spowiednik odmówił jej nawet ostatnich Sakramentów, których żądała koniecznie. „Potem będzie za późno — rzekła mu nalegając — ksiądz dobrodziej przyjsz już nie zdołasz.“ — Istotnie wkrótce zasłabła tak nagle, że musiano przywołać innego kapłana. — Śmierć ukochanej żony była dla Leona Dupont strasznym ciosem; z żalu sam zapadł niebezpiecznie.

Po powrocie do zdrowia, dla wzmocnienia sił, zalecono mu podróż na stałym lądzie; lecz on, zaniepokojony delikatnem zdrowiem córeczki, postanowił wyjechać dopiero z nią razem i stale zamie-

szkać we Francji, w łagodniejszym klimacie. Majątek, wynoszący ośm kroć sto tysięcy franków, zapewniał mu byt niezależny; porzucił zatem karierę sądową i w początkach 1834 roku opuścił na zawsze rodzinną wyspę. Wraz z nim wyjechała matka, pani d'Arnaud, wdowa od lat pięciu, córka Henrynia i dwoje wiernych sług, murzyn Alfred i mulatka Ada, czyli Adela. Wylądowawszy w Bordeaux, obrał na miejsce stałego zamieszkania miasto Tours, w południowej Francji.

Liczne były powody, skłaniające Leona Dupont do wyboru tej miejscowości; zdrowy i łagodny klimat, zaufanie do sławnego doktora, p. Bretonneau, któremu chciał powierzyć pieczęć około zdrowia Henryni; bliskość zamku Chissay, z kąd był wyniósł tak miłe dziecięce wspomnienia i gdzie teraz jeszcze odwiedzał wuja, w podeszłym już wieku będącego; ale przedewszystkiem wola umierającej żony. Jak wiemy, była ona wychowaną w klasztorze Urszulanek w Tours, przez świątobliwą zakonnice, matkę de Lignac. Z nauk jej i przestróg wyniosła tak wdzięczne i głębokie wspomnienie, że na łożu śmiertelnem wymogła obietnicę, iż tylko w jej ręce zostanie oddanem wychowanie ukochanej córeczki.— Oprócz tych względów, Opatrzność miała jeszcze swe własne, które później miały się objawić.

Zamieszkawszy w Tours, oddał się Dupont pełnieniu miłosiernych uczynków, do których był przywykł podczas swego pobytu na Martynice. Równocześnie w duszy jego odezwało się dawne pragnienie zostania księdzem, a chwila obecna zdała

mu się najodpowiedniejszą do zerwania ze światem. Z tym zamiarem zwierzył się spowiednikowi, ks. du Colombier i matce de Lignac, z którą był już związał bliższe stosunki. Oboje jednak mniemali, że zostając w świecie, więcej będzie mógł czynić dobrego i wywierać wpływ zbawienniejszy. Posłuchał ich rady i odtąd wyłącznem jego usiłowaniem było prowadzić żywot prawdziwie chrześcijański, słowem i przykładem jawnie wyznając wiarę świętą.

W epoce, o której mowa, krótko po rewolucji 30 r. obawa względów ludzkich panowała przemożnie we wszystkich klasach społeczeństwa; mało kto śmiał otwarcie wyznawać wiarę św., ukradkiem tylko chodzono do kościoła, przystępowano do Sakramentów św. Wielkie też wrażenie wywarło na wszystkich, gdy zobaczono, że Dupont, człowiek z najwyższego towarzystwa, postępuje za procesją z świecą w ręku, towarzyszy księdzu do chorego, służy do mszy św.; gdy posłyszano, że jawnie i w prostocie serca rozmawia o Bogu i rzeczach wiary, bez względu na to, do kogo się odzywa i kto go słucha.— A czynił to z takim wdziękiem, rozumem i głębokiem przekonaniem, że go podziwiać musieli nawet ci, którzy postępowanie jego nazywali przesadą. Niekiedy na widok publicznego zgorznienia odzywała się w nim przyrodzona żywość, pobudzając go do czynów, do jakich nie byli nawykli poczciwi mieszkańcy Tours. I tak ujrzawszy nieprzyzwoity obraz, wystawiony w drzwiach pewnego składu, uderzeniem nogi przebił płótno, a wartość



jego zapłacił właścicielowi pod warunkiem, że nigdy nie podobnego nie wystawi.

Gorliwość Leona była zbawiennym protestem przeciw tehozostwu ludzi, w głębi serca religijnych, ale lękających się wyznać otwarcie swą wiarę. Ludziom tym imponował zarówno swem zachowaniem się, jak i całą postawą. Wyobraźmy sobie byłego urzędnika sądowego, o wysokiej postaci, czole wyniosłem, ułożeniu pełnem dystynkcji, o wyrazie twarzy rozumnym, zawsze pogodnym i ujmującym; ubranego skromnie, ale bez najmniejszego zarzutu, z nieporównaną godnością i prostotą objawiającego na zewnątrz uczucia żywej wiary i gorącej miłości Bożej, które przepełniały serce jego. „Byłem wówczas młodą klerykiem — mówi autor niniejszej książki — ale nigdy nie zapomnę, jakim uwielbieniem przejął mnie sam widok Leona Dupont. Tyle skromności, gorliwości i pobożności anielskiej u człowieka tak wysoko postawionego, wydało mi się w owej epoce niesłychanem zjawiskiem. Do niego podobnymi musieli być wierni z czasów apostołskich.“ — On też, naśladując pierwszych chrześcijan, nawet w dni powszednie bywał na mszy kapitułarnej, na nieszporach, a nawet odmawiał codziennie brewiarz.

Pobożne te ćwiczenia nie pochłaniały jednak w zupełności jego czasu, nie przeszkadzały mu zachowywać stosunków z wielu osobami. Przeciwnie bywał on w świecie, lubił towarzystwo i posiadał właściwy Francuzom dar prowadzenia rozmowy. Z czasem mówić tylko będzie o rzeczach, dotyczących

się Boga i wiary św., ale już teraz obcowanie z nim było zarówno mile, jak budujące. Widział i czytał wiele, rozmyślał jeszcze więcej, to też rozmowa jego, daleka od zwykłej czczości i banalności, zawsze była oryginalna i zajmująca, a szczególnego uroku dodawał jej jeszcze dobrotliwy humor, którym umiał każdą rzecz okraszyć.

Nawet podczas pobytu na Martynice nie zaniedbał, wyniesionego z młodości zwyczaju, przystępować często do Komunji św.; obecnie będąc wolniejszym, prawie codziennie zbliżał się do stołu Pańskiego. Dziwnem się to wydawało w czasie, gdy ogólnie rozpowszechniona obojętność religijna sprawiała, że nawet osoby pobożne bardzo tylko rzadko czerpały z tego źródła łaski. Dupont tak był przejęty swem szczęściem, tak je cenil i uważał godnem zazdrości, że nie mógł pojąć, by innych mogło zadziwiać jego postępowanie pod tym względem. Sam widok ołtarza napelniał go niewymowną radością. „Jakże Bóg jest dobry! — zawołał pewnego dnia, wskazując na obrus, spuszczonej na kratkach od strony kościoła. — Oto stół zastawiony, ucztą gotował Pan czeka zaproszonych, bo wszyscy są wezwani, nikt nie jest wykluczonym—o tak, Bóg jest dobry! Któryż z królów tego świata ma ucztę bezustannie przygotowaną dla każdego, ktoby się tylko zgłosił? — Jakże się to dzieje, że wszyscy ludzie nie przychodzą do tak dobrego Pana?...“ Słowa te wypowiedział z takim uczuciem wiary i miłości, że słuchający zapamiętał je do końca życia.

Nabożeństwo jego do Najśw. Sakramentu było



nietylko gorące, ale gruntowne i oświecone, nie polegające na samem rozrzewnieniu; czytywał dzieła najlepszych autorów, odnoszące się do tej tajemnicy miłości, a owocem jego pracy była książeczka, wydana 1839 r. pod tytułem: „*Wiara utwierdzona i pobożność ożywiona*“ — przez byłego urzędnika sądowego. Dziełko napisane bez pretensji do uczoności, w sposób prosty i jasny, językiem poważnym, jedrny i przekonywającym, daje nam obraz przyjacielskich rozpraw i dyskusji, jakie Dupont wszczywał chętnie z protestantami, niedowiarkami, lub też z osobami obojętnymi na rzeczy wiary. Z tymi ostatnimi zwłaszcza walczył pismem, słowem i przykładem, usiłując przywieść ich do częstej Komunii św. W jego oczach nabożeństwo do Najśw. Sakramentu, wiara w prawdziwą obecność Pana Jezusa, była źródłem cnót wszystkich i główną podstawą innych nabożeństw. Sam też nigdy o tem nie zapominał, z tego ogniska miłości Bożej czerpał niezrównaną moc i łaskę, która sprawiła, że życie jego w obec Boga i ludzi wyrosło, niby drzewo wspinalne, przynoszące obfite kwiaty i owoce.

### ROZDZIAŁ III.

**Wierne współdziałanie z łaską. — Pierwsze próby zadośćuczynienia. — Pielgrzym.**

W pobliżu Tours mieszkały dwie, pokrewne Leonowi rodziny, u których pani d'Arnaud z Hen-

rynią przepędzała co rok kilka miesięcy. Podczas tych odwiedzin p. Dupont towarzyszył zazwyczaj matce i córeczce, ale dni całe schodziły mu na samotnych pielgrzymkach i wycieczkach pieszych, w których był niezmordowany. — Z Gringuenières-majątności państwa de Beauchamp, często jeszcze przed śniadaniem udawał się pieszo do kaplicy Matki Boskiej, o cztery mile odległej; lub też do opactwa Solesmes, by odwiedzić przyjaciela swego, Don Guéranger, słynnego reformatora zakonu Benedyktynów. Bawiąc w Chissay, u wuja, pana de Marolles, ulegał dawnemu zamiłowaniu do polowania i przejażdżek konnych. W głębi serca wyrzucał sobie jednak takie życie bezczynne. „Nic nie czynię dla Boga, nie pracuję na niebo“ — mawiał, czując coraz wyraźniejszy pociąg do życia doskonałego i pokutniczego. W Chissay też w 1837 r., łaska Boża miała nareszcie stanowczo zawładnąć nad tą duszą wybraną. Po Komunii św., na widok obrazka św. Teresy, zrozumiał w jednej chwili konieczność śmiałego i stanowczego wstąpienia na drogę pokuty i umartwienia.

Wkrótce potem, czytając żywot św. Teresy, uderzony został następującem zdaniem wielkiej tej świętej: „Zeznaję, iż zaczęłam pojmować rzeczy Boże dopiero od chwili, gdy postanowiłam stanowczo zaprzecić się sobie, bez względu na wymaganie ciała.“ Słowa te wywarły głębokie wrażenie na umyśle Leona, stały się dlań nową, wyraźniejszą jeszcze wskazówką woli Bożej. Co się wówczas działo w sercu jego? czy miał już przecucie wielkiego dzieła

zadośćuczynienia, do którego Bóg go przeznaczał i przyszłych swych tak blizkich stosunków z klasztorem Karmelitanek? nie wiadomo. W każdym razie działanie łaski Bożej było tak wyraźne, że odtąd Dupont obchodził corocznie pamiątkę tego dnia błogosławionego, jako chwili, od której ostatecznie zaczął czynić postępy na drodze doskonałości.

Zakon Karmelitanek bosych, tych godnych córek św. Teresy, dawniej już znał i cenił, a pierwszym powodem zbliżenia jego do przełożonej klasztoru w Tours, był piękny i stary obraz Zwiastowania, umieszczony w kaplicy klasztornej. Podczas wielkiej rewolucji 1793 r., klasztor Karmelitanek został zniesiony, a kościół, jak wiele innych, zrabowany i na skład zamieniony; dziwnem zrzędzeniem Opatrzności, pozostał w nim tylko ów obraz Najświętszej Marji Panny. Opustoszały kościół chciano przebudować na teatr, a ówczesny jego właściciel, nie pomny na świętość miejsca, był już blizkim podpisania kontraktu, gdy nagle jeden z jego podwładnych, zajęty w kościele rozpakowywaniem towarów, spostrzegł, że obraz, choć zawieszony wysoko nad ziemią, na ścianie bynajmniej nie wilgotnej, zupełnie był mokry. Niepomalu zdziwiony, przystawił drabinę, i wtedy dopiero ujrzał z przerażeniem, że z oczu Matki Boskiej tryskały dwa strumienie łez, a spływając po sukni, uszkodziły błękitną jej barwę. Nie wiadomo, czy w skutek tego cudu, czy też dla innego powodu, sprzedaż kościoła nie przyszła do skutku i zaraz też pierwotna barwa sukni Najsw. Panny Marji powróciła sama z siebie.

Dupont dowiedział się od przełożonej Karmelitanek szczegółów tego cudownego zdarzenia, i do głębi niemi wzruszony do końca życia lubił modlić się w kaplicy Karmelitanek i szczególne nabożeństwo żywił do tajemnicy Zwiastowania i do niebieskiego jej Zwiastuna, archanioła Gabryela. Podczas ostatniej choroby kazał postawić łóżko w ten sposób, by mógł dojrzeć mury klasztorne; na kilka dni przed śmiercią, rzekł do wiernej swej sługi, mulatki Adeli: „Patrz, jak Karmel błyszczy, cały niby z rubinów i szmaragdów.“ I rzecz dziwna, umarł w sobotę, w dzień Matki Boskiej, 18 marca, święto archanioła Gabryela, którego tak czcił przez całe życie.

Ale powracając do epoki, którą się zajmujemy obecnie, trzeba nam wymienił dwóch najbliższych przyjaciół Leona, ks. Botrel i ks. Pasquier, założyciela przytułku dla sierot. Wszyscy trzej widywali się prawie codziennie, odbywali wspólne przechadzki, razem się modlili i rozmawiali o rzeczach Bożych— a pobożne te pogadanki budziły w sercu Duponta coraz żywsze pragnienie publicznego wynagrodzenia Bogu za tyle zniewag Mu wyrządzanych, oraz przywrócenia zaniedbanej czci śś. Patronów dyecezyi.

Przybywszy do Tours, Dupont zdziwił się i zasmucił, widząc, że u mieszkańców tego miasta zupełnie poszła w zapomnienie cześć dawniej oddawana wielkiemu ich biskupowi, św. Marcinowi. Nie było śladu wspaniałej jego świątyni, zniszczonej przez Hugonotów, nie wiedziano nawet na pewno, na którym znajdowała się miejscu i zaniechano zupełnie pierwotnego zamiaru wzniesienia jej na nowo. Jeden

tylko Dupont nie wątpił o możliwości odbudowania bazyliki i przywrócenia publicznych pielgrzymek, które dawniej odbywały się do grobu świętego apostoła Galji. — Uważając, że dwie te rzeczy są nie tylko wykonalne, ale i konieczne dla dobra Francji i podniesienia moralnego poziomu jej społeczeństwa, polecał spełnienie ich Bogu z całą ufnością i gorącością. Tą myślą przejęty, sam, lub w towarzystwie kilku najbliższych przyjaciół zwykł był wieczorem udawać się na miejsce, na którym wznosiła się dawniej bazylika św. Marcina. I tam zaczynając, obchodził trzynaście innych kościołów i kaplic, obecnie w gruzach, lub na inny obrócone użytek. Było to dla niego niejako czternaście stacji drogi krzyżowej; przy każdej zatrzymywał się, klękał, zanosząc do Boga gorące modlitwy. Nie poprzestając na tak licznych zrujnowanych i sprofanowanych świątyniach miasta Tours, byłby chciał nawiedzić w duchu zaślęczyńienia i inne miejscowości, poświęcone niegdyś czei Najśw. Panny i Świętych Pańskich. Wybierał najbiedniejsze i najwięcej zniszczone, hojnym wspierał datkiem i wszelkich dokładał starań, by tylko podnieść je z gruzów i oddać znów na chwałę Bożą.

Dupont miał jakby wrodzony pociąg do pobożnych pielgrzymek; one były głównym powodem częstych jego wycieczek. Korzystał nawet z podróży, przedsięwziętych w innym celu, nie omieszkując wstępować do kościołów, spotykanych po drodze — w każdym pomodlił się choć przez chwilę, oddał cześć i pokłon Panu Jezusowi, utajonemu w Naj-

świętszym Sakramencie. To upodobanie do pielgrzymek, oraz gorące nabożeństwo do Najświętszej Panny, podało mu myśl napisania książeczki pod tytułem: *Odwiedziny Maryi na każdy dzień roku*, mającej zawierać opis tylu pielgrzymek, ile jest dni w roku. — W samej Francji znalazłaby się odpowiednia liczba tych miejsc cudownych, aby je jednakże dokładnie opisać, trzeba poznać samemu, lub zaczerpnąć dokładnych informacji, co nie było rzeczą łatwą; autor, nie zrażając się trudnościami, dołożył wszelkich starań, by skutek odpowiedział celowi. — Sam odbywał podróże, zbierał dokumenta, kołatał o pomoc do licznych znajomych, pisał nawet do Niemiec i Ameryki. — Tym sposobem, jeśli nie na każdy dzień, to przynajmniej na większą połowę dni roku mógł dać czytelnikom wiązanek duchowych pielgrzymek, dołączając do każdej wspomnienie historyczne, opis miejscowości, a prawie zawsze i wizerunek miejscowości lub świątyni, co dopomaga do przeniesienia się myślą na miejsce święte. Książka, wydana 1842 r. oryginalna i jedyna w swoim rodzaju, przyczyniając się do upowszechnienia i przywrócenia dawnych pielgrzymek, działała wiele dobrego i niemałą radością napełniła serce wiernego sługi Maryi; miał to być rodzaj przewodnika dla pobożnych pielgrzymów. W tym też celu znajdujemy na wstępie rady i wskazówki, w jakim duchu należy przedsięwziąć pielgrzymki, aby osiągnąć zbawienny dla duszy pożytek. — Sam Dupont dawał w tej mierze najlepszy przykład. Uważając pielgrzymki za rzecz bardzo świętą, odbywał je w sku-

pieniu ducha, ile możności pieszo i na czczo, aby móżdż przystąpić do Komunii św.

Gdy po raz pierwszy przybył do Candes, miejsca słynnego śmiercią św. Marcina, była już jedenasta godzina i dawno po mszy św., co widząc Dupont, zwrócił się do obecnego jeszcze proboszcza z prośbą o udzielenie mu Komunii św. Ten, nie znając go i nie przywykły do podobnego żądania ze strony ludzi jego położenia, odmówił w dość szorstki sposób. — Pokorny pielgrzym nie odrzekł, ciesząc się w duszy z doznanego upokorzenia, ukląkł przed ołtarzem i modlił się tem goręcej. — Pan Bóg nie omieszkał go jednak nagrodzić, napelniając pociechą serce jego, a zacny proboszcz, spostrzegłszy, iż ma do czynienia z pobożnym i pokornym chrześcijaninem, spełnił jego życzenie.

Mówiąc o sobie Dupont, zwykł się nazywać pielgrzymem, lubił gdy przyjaciele tak na niego wołali; stosował też do siebie liczne ustępy Pisma św., w których człowiek bywa nazwany: podróżnym—obcym tu na ziemi. — Był też istotnie pielgrzymem, obcy wszystkiemu, wyjąwszy Boga i rzeczy Boskich, przechodząc przez świat bez przywiązania do rzeczy ziemskich; nikt lepiej od niego nie zasługiwał na tę nazwę. — Idąc od świątyni do świątyni, modlił się i rozmyślał, lub też prowadził budujące rozmowy z osobami, które zdołał nakłonić do towarzyszenia sobie. Chętnie zresztą to czyniono, gdyż według świadectwa osób, które go znały, podczas tych pielgrzymek, jak zresztą w każdej innej okoliczności, był najmiłszym, najuprzejmiejszym

towarzyszem. Bez najmniejszej przesady i chępliwości, uprzyjemniał i skracał daleką drogę miłym dowcipem i ciekawymi opowiadaniem, do każdego umiał się zastosować, każdy czuł się z nim swobodnym.—Z pielgrzymim kijem w rękę byłby chciał przebiegać Francję całą, zachęcając ogół do pielgrzymek, które uważał za najskuteczniejszy środek do przywrócenia w ludzie dawnej żywej wiary. Rzechy można, że przeczuwał, ile dobrego zdziałać miały później we Francji publiczne pielgrzymki.

#### ROZDZIAŁ IV.

##### Uczynki miłosierne. — Rozmowy.

Po nawiedzeniu Pana Jezusa w przybytkach św. największą przyjemnością Leona było nawiedzenie cierpiących Jego członków, to jest ubogich i chorych.

Skoro Towarzystwo św. Wincentego zostało założone w Tours, Dupont nie omieszkał przyłączyć się do niego; on, który w dawaniu jałmużny tak był hojnym, że, nie poprzestając na wielkich swych dochodach, naruszał często kapitał, stawiał się najregularniej na posiedzenia Towarzystwa po przekaz na kilka funtów chleba i skromną tę jałmużnę sam zanosił potrzebującym, zdając następnie szczegółową sprawę z odwiedzin, nie wspominał tylko, ile dołożył z własnej kieszeni.



A z jaką miłością nawiedzał swych biednych, jak się o nich troskał w nieszczęściu—w chorobie, przygotowując ich na śmierć chrześcijańską! Miał szczególny dar wyszukiwania potrzebujących i często bywał przez nich obleżony w własnym swym domu.

Wstępując do Towarzystwa św. Wincentego, miał głównie na celu zawiązanie bliższych stosunków z mężami dobrej woli; bez najmniejszej pretensji do przewodztwa, zdołał też zebrać wkrótce garstkę ludzi prawdziwie pobożnych, którzy, ulegając bezwiednie jego wpływowi, naśladowali jego żarliwość i gorącą miłość Boga — a później dopomogli do utworzenia adoracji nocnej; pobożne z nimi rozmowy były najmilszym jego zajęciem. — Usuwał się systematycznie od wszelkich godności i urzędów Towarzystwa, — natomiast brał czynny udział w dziełach miłosiernych, zostających wówczas pod zarządem Towarzystwa, jak opieka nad uczniami, szkółka wieczorna dla dorosłych, wpływ moralny na żołnierzy. — I tak przez bardzo długi przeciąg czasu, trzy razy tygodniowo od 7-ej do 9-ej wieczorem stawał się w szkole wieczornej, gdzie robotnicy najrozmaitszego wieku odbierali początkowe nauki. — Było ich zwykle około 150; Dupont wybierał dla siebie najwięcej zaniedbanych, którzy nawet liter nie znali, a okrzesawszy trochę, oddawał do wyższego oddziału. Otoczony tymi biedakami, którzy przychodzili prosto od pracy, okryci kurzem, potem, przesiąknięci najróżnorodniejszymi wyziewami, Dupont bywał w najlepszym humorze, nigdy się nie zniechęcał. Z nieopisaną radością i prostotą zatrzymywał prze-

chodzących nauczycieli, by pochwalić się przed nimi postępami ucznia, składającego z trudnością kilka zgłosek. — „To idzie, to idzie, — mawiał — zobaczycie, że on postąpi.“ — Między innymi miał młodego robotnika, rodzaj olbrzyma nieokrzesanego, tak ograniczonego, że przez cztery lata nie był w stanie nauczyć się czytać. Przychodził jednak bardzo regularnie, wiedziony chęcią nauczania się, czy też przywiązaniem do Duponta, który zajmował się nim z niewypowiedzianą miłością i cierpliwością. Jego nauki, a zwłaszcza siła przykładu, rozbudziły w sercu poczciwego olbrzyma bardzo słabo tlejące poczucie religijne i choć nie nauczył się czytać, odniósł ważniejszą daleko korzyść, bo poznał drogę do Kościoła, stał się prawdziwie nabożnym i cnotliwym człowiekiem.

Nie mniej gorliwie zajmował się Dupont żołnierzami, których trzeba było nietylko uczyć, ale i rozrywać; Dupont czynił to z właściwą sobie prostotą i wdziękiem. Nie miewał do nich wyraźnych nauk, ale przechadzając się z nimi po ogrodzie lub sali zebrań, rozmawiał po prostu, pytał, słuchał, lub sam odpowiadał, korzystając z każdej sposobności, by wsunąć jakie słówko o Bogu i cudach Jego; odsłaniał własne swe serce, a wraz ze wspomnieniami młodości obudzał w nich lepsze uczucia. Wzruszającym doprawdy było przejęcie, z jakim go słuchali i korzystali z jego napomnień.

Dupont celował zwłaszcza w takich poufnych rozmowach; nie narzucał swych zapatrywań, nie upierał się przy swem zdaniu, nie wszczynał dysput



zaciętych. Gdy jednak zaczęto wiarę lub moralność chrześcijańską, występował śmiało i otwarcie, ale w sposób pogodny, uprzejmy, nie naruszając osób; ale za to chłoszcząc przesady i zapatrywania antykatolickie z ironją, żywością, nieraz ostrością. A czynił to z taką siłą przekonania, logiką i wymową, że trudno było nie przyznać mu słuszności.

O przyjacielu jego, słynnym doktorze Bretonneau, opowiadają, że, nie umiejąc na polu religijnym stawiać mu czoła, znosił wymówki i nauki, aż raz wreszcie uciekł oknem do ogrodu.

Posiadając niewyczerpany zapas pobożnych anegdotek, ciekawych szczegółów o cudach, lub bieżących wypadkach świata katolickiego, umiał je Dupont stosownie przytaczać, zajmująco opowiadać; przyoblekając w formę łatwą, dowcipną, niekiedy poetyczną, a zawsze kładł nacisk na budujące okoliczności, zawsze miał na celu duchową korzyść słuchaczy; to też rozmowami owemi wiele czynił dobrego. Przyjmowano go też bardzo chętnie w domach, gdzie do woli mógł mówić o Bogu; gdy jednak rozmowa inny przybierała obrót, umiał zawsze usunąć się niepostrzeżenie.

U siebie przyjmował wszystkich z jednakim wylaniem i gościnnością; rozmawiał tak długo, jak sobie tego życzone, wszelako pod warunkiem, że przedmiotem rozmowy będzie Bóg i rzeczy Boże. Mówić o Bogu lub milczeć, było już w onym czasie jego zasadą.—Nie unikał również poważnych dysput z protestantami i niedowiarkami, w tych rozprawach objawiając niejednokrotnie wielkie zdolności do po-

lemiki religijnej i rozum wytrawny—silne wrażenie wywierał na przeciwnikach. Również rozległa korespondencja, mająca jedynie Boga na celu, była dla Duponta dzielnym środkiem do wywierania zbawienego wpływu.— Pisał bardzo poprawnie z wielką łatwością, myśl rozwija się u niego po prostu, styl jest oryginalny, żywy i zwięzły, urozmaicony cytatami z Ewangelji i zestawieniem dat i wydarzeń, których dostarczała mu niepospolita jego pamięć. Ilość tych listów była bardzo wielka, a lubo wiele najciekawszych zaginęło, te które posiadamy bardzo są piękne i budujące, pełne mądrych rad i uczuć podniosłych; niekiedy prawdziwie wyższem, niebiańskim ożywione natchnieniem, odzwierciedlają szlachetną i piękną duszę piszącego.

## ROZDZIAŁ V.

### Powołanie Leona. — Stosunki jego z Siostrą od św. Piotra. — La Salette.

Przyjaciele Leona, widząc, jak ożywiony duchem apostołstwa, na każdym kroku iście kapłańskie spełniał posłannictwo, dziwili się, czemu nie chce zostać kapłanem i przez to pracy swej nadać tem większej wagi i skuteczności.— Pewien misjonarz z Ameryki, zachwycony jego listami, namawiał go do poświęcenia się nawracaniu ludów pogańskich. Na to odpowiedział Dupont z wielką szczerością

i pokorą, że podziwia powołanie misjonarzy, zazdrości im tej łaski Bożej—ale do niego Pan Jezus nie powiedział: „Idź za mną.“ „Zresztą, dodaje, aby pracować nad zbawieniem dusz, nie potrzeba opuszczać ziemi rodzinnej,—Pan, który sam jeden daje powołanie, wie dobrze, gdzie których posyłać pracowników. My, którzy mamy to wielkie szczęście znać tak dobrego Zbawiciela, powinniśmy przede wszystkim modlić się o apostołów dusz dla ojczyzny naszej, aby w niej zapanowało królestwo Boże i aby miała zawsze synów, gotowych do zdobywania dla Boga dusz zbłąkanych.“

Dupont nie miał być ani kapłanem, ani misjonarzem, inne mu Bóg zadanie przeznaczył; w Tours, w stanie świeckim będzie on jednym z apostołów dusz, jakich tak gorąco pragnął dla świata i z całego serca przyczyniać się będzie do rozszerzania w swej drodze ojczyźnie „królestwa Bożego.“

Apostolstwo Leona polegało głównie na zadośćuczynieniu Bogu za zniewagi Mu wyrządzone; przez modlitwę gotował się do niego, łącząc się nie tylko z całym Kościołem, ale w szczególniejszy sposób z pobożnymi osobami, z którymi wspólnie błagał Boga o zbawienie dla świata i przeproszał za bezprawia, popełniane w swej ojczyźnie. Szczególną boleścią napełniał serce jego jeden zwłaszcza rodzaj grzechu, to jest przekleństwo.

Obecnie, przynajmniej pomiędzy wykształconszymi klasami społeczeństwa, zmniejszył się ten wstrętny zwyczaj bluźnienia przy lada okoliczności św. Imieniowi Boga. Ale na on czas, gdy rewolucja

zostawiła po sobie smutną spuściznę niewiary i bezbożności, były w użyciu nawet wśród osób z najwyższego stanu wstrętne przekleństwa i bluźnierstwa. Małe nawet dzieci pod okiem rodziców do nich się zaprawiały.

Przeciw temu oburzającemu i świętokradkiemu zwyczajowi występował Dupont z świętą odwagą. Drżał formalnie, ilekroć słowo bluźniercze, ubliżające Majestatowi Bożemu, o jego obito się uszy; nie wstrzymywała go wtedy ani obawa sądów ludzkich, ani żaden wzgląd osobisty.

Gorliwość o chwałę Boga, tak okropnie znieważanego, pobudzała go niekiedy do czynów nierozważnych, gwałtownych, jakich nikt inny nie byłby śmiały sobie pozwolić; — ale które, wskutek gorącej jego modlitwy i szczególnej łaski Boga, stawały się przyczyną wielu nawróceń.

I tak, pewnego dnia, siedząc na koźle obok pocztyliona, gdy ten podług brzydkiego zwyczaju zaczął bluźnić, Dupont, nie wiele myśląc, wyciął mu potężny policzek. Rozgniewany woźnica zatrzymał konie i nuż powstawać na Leona za uczynioną sobie zniewagę. „Mylisz się nieszczęśny — odpowiada poważnie mąż Boży, — nie ja ciebie, ale ty mnie znieważyłeś, bluźniąc Ojcu mojemu.“ — Ojcu pańskiemu? pyta bluźnierca niemniej zdziwiony temi słowy jak poprzedniem uderzeniem. — „Tak memu i twemu Ojcu, gdyż zapomniałeś, że Bóg jest naszym najlepszym Ojcem.“ — I począł mu tłumaczyć, jak karygodną i niecną rzeczą jest bluźnić Bogu najświętszemu i najmiłociwszemu, a czynił to w tak wy-

mownych słowach, że pod koniec drogi byli już najlepszymi przyjaciółmi. — Dupont wsunął mu w rękę na pożegnanie 5-cio frankówkę, a zawstydzony pocztyljon przyrzekł pozbyć się grzesznego przyzwyczajenia; dotrzymał istotnie danego słowa, odtąd bogobojnie prowadząc życie, zaręczał, że swą poprawę zawdzięcza Leonowi.

Gdy inny znów pocztyljon kłął i bluźnił bez przestanku, Dupont, nie zważając na obecność współtowarzyszy podróży, za każdym bluźnierstwem odmawiał głośno: Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi św. — Nie mogąc w końcu powstrzymać oburzenia, chwycił pocztyljona za kołnierz i rzekł mu: „Dość już tego, mój przyjacielu, proszę zaprzestań bluźnić św. Imieniowi Bożemu; gdy ci do tego przyjdzie ochota, wolę byś mnie dał policzek.“

Jakże wielkie wrażenie musiały wywierać na obecnych podobne wystąpienia tego świątobliwego człowieka, którego myśl była bezustannie zajęta pamięcią na obecność Bożą i św. gorliwością o chwałę Jego.

Podczas częstych swych podróży zwykł był zawierać umowę z pocztyljonami, że tyle a tyle płacić im będzie na godzinę, jeśli powstrzymają się od bluźnierstw; w dniu sądu ostatecznego poznamy, ilu bluźnierstwom zapobiegł w ten sposób.

Idąc ulicą, jeśli usłyszał bluźniących, nie omieszczał ich upomnieć, chociaż nieraz wystawiał się na pogardę i liczne zniewagi.

W celu powstrzymania ludzi od bluźnierstwa, nie gardził najmniejszymi środkami, a miał pod tym

względem delikatne, sobie tylko właściwe pomysły, jak np. podnoszenia kamieni, znajdujących się na środku drogi. O kamień ten—mówił—mogłoby się potknąć zwierzę lub człowiek i oprócz bólu, człowiek miałby ztąd okazję do gniewu i bluźnienia św. Imieniowi Bożemu, co byłoby złem daleko gorszem.

Dupont miał szczególne nabożeństwo do św. Ludwika, króla Francji, czeząc wielką sprawiedliwość i gorliwość, z jaką ten św. monarcha karał i nawracał bluźnierców.—Przed jego świętem zwykł był odprawiać czterdziestodniowe nabożeństwo, nazwane nabożeństwem św. Ludwika. Nabożeństwo to, zaprowadzone w Tours r. 1843, zrazu tylko pomiędzy kilku pobożnymi osobami, ma na celu wynagradzanie Bogu za bluźnierstwa; rozpoczyna się w święto Matki Boskiej z góry Karmelu, a kończy 25-go sierpnia.

Rzecz godna uwagi, że w r. 1843 Karmelitanom w Tours nie znane były modlitwy, używane do tegoż nabożeństwa, a nazajutrz po uroczystości św. Ludwika zaszło u nich nadzwyczajne zdarzenie, które niejako miało dać początek powołaniu Duponta do wielkiego dzieła zadosyćuczynienia.

W klasztorze Karmelitanek w Tours znajdowała się wówczas młoda zakonnica, rodem z Bretanji, za wyraźną opieką św. Marcina do Tours przywieziona. Była to prosta szwaczka bez wyższego wykształcenia i szczególnych zdolności, ale bogata w łaskę i dary Boże, nosząca w zakonie imię siostry Maryi od św. Piotra.—Uprzejma, wesola, odznaczała się wielką pobożnością i świątobliwością.

Względem tej duszy miał Bóg szczególne zamiary, które też wkrótce objawił.

Dnia 26 sierpnia 1843 r., gdy modliła się u stóp krzyża do św. Ludwika, króla Francji, Pan Jezus przemówił do niej: Imię moje wszędzie jest bluźnione, dzieci nawet bluźnią. Ten grzech udaremnia dzieło odkupienia, a sprowadza wyrok potępienia; by to odwrócić, daję ci *Złotą strzałę*, któraby słodko Mię zraniła i zablizniła bolesne rany, jakie mi zadają grzesznicy, a będę żądał rachunku z niej.“ Tą złotą strzałą było następujące westchnienie: „Niech będzie na wieki chwalone, błogosławione, czczone, wielbione, najświętsze, najczcigodniejsze, najchwalniejsze, niepojęte, niewymowne Imię Boże w niebie, na ziemi i w otchłaniach piekielnych, przez wszystkie stworzenia wyszłe z rąk Boga i przez Najśw. Serce Pana naszego Jezusa Chrystusa w Najświętszym Sakramencie ołtarza.“

Nabożeństwo 40-to dniowe do św. Ludwika kończyło się wezwaniem: „Niech zawsze i wszędzie będzie znane i czczone Najśw. Imię Pańskie.“ — Nie ulega zatem wątpliwości, że wspólne modlitwy czterdziestodniowe przyspieszyły powstanie nabożeństwa wynagradzającego. To pierwsze objawienie było początkiem całego szeregu łask, udzielonych pokornej zakonnicy w celu zaprowadzenia bractwa zadośćuczynienia za bluźnierstwa i za gwałcenie niedzieli.

Gdy Siostra Marya cudami sprawdziła boskie pochodzenie swego posłannictwa, władza duchowna zezwoliła na wydrukowanie, a raczej przedrukowanie

kartki wpisowej Stowarzyszenia. Kartka ta, nazwana kartką św. Ludwika, miała na pierwszej stronie u góry wizerunek tego Świętego z wezwaniem: „Niech Imię Pańskie będzie błogosławione.“ Arcybiskup miejscowy, ks. Marlot, pozwolił jeszcze dodać akt wynagrodzenia św. Imieniowi Bożemu, to jest *Złotą strzałę*.

Członkowie Stowarzyszenia obowiązywali się nigdy nie bluźnić, innych od tego powstrzymywać, gdy usłyszą bluźnierstwo, wynagradzać Bogu zniewagi, czyniąc pobożne wezwanie. Był to pierwszy zawiązek nabożeństwa wynagradzającego.

Za wspólnem porozumieniem się biskupa i Karmelitanek, powierzono Leonowi staranie o wydrukowanie i rozpowszechnienie karteczek, czem zajął się z zapałem i radością. Nie poprzestając na tem, z wielkiem staraniem zebrał ustępy z Pisma św., odnoszące się do Imienia Bożego, i ułożył z nich piękne officium na cześć tegoż św. Imienia. Opatrzono aprobatą biskupią, officium zostało ogłoszone drukiem razem z innemi modlitwami i ustawami Bractwa, pod tytułem: *Stowarzyszenie modlitw przeciw bluźnierstwu, przekleństwu i gwałceniu niedzieli i dni świątecznych*. Książeczka ta bardzo się rozpowszechniła, przysposabiając umysły do wielkiego dzieła zadośćuczynienia, którego już od trzech lat z rozkazu Pańskiego domagała się Siostra Marya od św. Piotra. Oświadczyła ona, że znakiem zewnętrznym tego dzieła miało być bolesne i znieważone Oblicze Pana naszego Jezusa Chrystusa, ułożyła nawet litanję i inne modlitwy do tego przedziwnego Oblicza.



Przełożeni po sumiennem zbadaniu rzeczy, przekonawszy się, że objawienia Siostry Maryi istotnie od Boga pochodziły, pozwolili odmawiać i rozszerzać te modlitwy. — Ogłoszono drukiem broszurkę, streszczającą główne objawienia, odnoszące się do dzieła zadosyćczynienia za bluźnierstwa; została ona potwierdzoną przez biskupa, a rozpowszechnienia jej podjął się znów Dupont.

Jedna z tych książeczek, za pośrednictwem przyjaciela Duponta, p. Lebrument, dostała się arcybiskupowi z Langres, ks. Persis, który, dawniej już zajęty potrzebą zadosyćczynienia, żywo został poruszony objawieniami w Tours. — Roku 1847 ustanowił w swej diecezji Bractwo zadosyćczynienia. — Pius IX, zasiadający wówczas od dwóch lat na stolicy Piotrowej, na prośbę arcybiskupa wyniósł je do rzędu Arcybractwa, uposażył licznemi odpustami i własne swe imię rozkazał wpisać na czele członków. Wówczas to wyrzekł te pamiętne słowa: „Nabożeństwo wynagradzające jest dziełem, które zbawi społeczeństwo.

Pragnienie wynagrodzenia, ukryte dotąd w głębi kilku serc pobożnych, zaczęło się teraz coraz więcej rozpowszechniać. Tysiące osób i parafji ze wszystkich stron świata wpisywało się do Bractwa i śmiało rzec można, że wszystkie dzieła wynagradzające naszych czasów, biorą swój początek z objawień pokornej Karmelitanki, obwieszczonych przez nią całemu światu.

Powyższe wypadki spowodowały pierwsze zbliżenie między Siostrą Maryą od św. Piotra a Leonem

Dupont. Gorliwy ten chrześcijanin, z coraz większem zajęciem śledził działanie Boże w tej duszy wybranej i dzielił gorąco jej nabożeństwo do Dzieciątka Jezus.

Gdy Karmelitanki z powodu zmiany mieszkania, zmuszone były opuścić dawny klasztor i zamieszkać chwilowo w prywatnym domu, — Siostra Marya, mając, jako furtjanka, większą styczność ze światem, skorzystała z tych obowiązkowych stosunków, by rozpowszechniać szkaplerze na cześć Przenajświętszego Dzieciątka Jezus, w których była zaszyta ewangelja o Obrzezaniu Pańskiem, a na końcu umieszczone słowa: „Kiedy Jezus został nazwany, szatan został rozbrojony.“ Pan Jezus, pochwalając to nabożeństwo, błogosławił osoby, noszące św. Ewangelję i przyrzekł bronić je od napaści szatana. — Nadzwyczajne łaski, czy to nawrócenia, czy uleczenia, potwierdziły wkrótce ich skuteczność.

Dupont przepisywał po wiele razy tę krótką Ewangelję i pomagał Siostrze w rozdawaniu szkaplerzy, załatwiał jej polecenia, oddawał Zgromadzeniu wielkie przysługi i często przychodził, by się polecić modlitwom Sióstr. Ze swej strony Siostra Marya wysoko ceniła pobożnego sługę Bożego i żywy brała udział we wszystkim, co go bliżej dotyczyło, i tak naprzykład z okazji pierwszej Komunii św. jego córeczki gorąco wstawiała się za nią do Boga.

Głównym jednakże, a nieustannym przedmiotem błagalnych modlitw Siostry Maryi była prośba o pomoc do spełnienia dzieła, które jej Bóg zlecił,



a którego ona, biedna zakonnica, nie mogła wykonać: „Panno Najświętsza—wołała z głębi serca—ukaz się komu i rozkaż głosić to, co mi polecono.“

Najśw. Marya Panna wysłuchiwała tę prośbę, raz jeszcze pokazała, że jest ucieczką grzeszników. Na górze la Salette objawiła się dwom biednym pastuszkom i przez ich usta upominała naród francuski, karmiła jego niewiarę, gwałcenie niedzieli, bluźnierstwa, obiecując miłosierdzie, jeżeli nawróci się do Boga; ukazując Synowi swą pierś macierzyńską, prosiła by jej dozwolił wylać źródł łaski na przybrane dzieci.

Objawienie powyższe miało miejsce 19 września, a tymczasem w początkach tegoż miesiąca Dupont, rozmawiając z przełożoną Karmelitanek o siostrze Maryi od św. Piotra, a mając przypadkiem ołówkę w ręku, zanotował następujące słowa, powtórzone mu przez przełożoną: Oto co mi zeznała Siostra: „Pan mówił do mnie: Matka moja oznajmiła ludziom gniew mój. Chcąc go przebłagać ukazała mi pierś swą, mówiąc: Oto pierś, która Cię wykarmiła, daj mi wylać z niej na ludzi źródł błogosławieństw, wtedy pełnia miłosierdzia, zstąpiła na ziemię; w Niej zatem połóżcie nadzieję waszą.“ Spisawszy słowa powyższe Dupont włożył karteczkę do książki od nabożeństwa, więcej o nich nie myśląc, ani też rozumiejąc tych słów mistycznych, w których przeszłość stykała się z przyszłością i teraźniejszością. Dopiero 22 października dowiedział się o cudownym objawieniu w la Salette, przypomniał sobie słowa Siostry Maryi, które przepo-

wiały niejako to objawienie. — Jak łatwo pojąć, zgromadzenie Karmelitanek wraz z świątobliwym swym przyjacielem uważały słusznie te słowa jako oczywiste potwierdzenie posłannictwa Siostry Maryi w dziele zadosyćuczynienia, którego zaprowadzenia domagała się tak usilnie. Posłannictwo jej było wyrażane tem samym, co biednych górskich pastuszków; mówiąc o nich nie nazywała ich też inaczej jak „moje trąbki nawołujące.“

Wkrótce potem, dowiedziawszy się o kanonicznym ustanowieniu Arcybractwa, pełna radości wyzrekła: „Zadanie moje spełnione, mogę już umrzeć w spokoju“ — i, ofiarując się Bogu za zbawienie świata, zasnęła w Panu 8 lipca 1848 roku. Dupont towarzyszył jej pogrzebowi i odtąd często modlił się nad jej grobem, a gdy po siedmiu latach cmentarz miał być zniesiony, skorzystał z tego, by za pozwoleniem odnośnej władzy, ciało odkopać i złożyć w klasztorze Karmelitanek.

Z żywej wiary, opartej na przeświadczeniu o koniecznej potrzebie zadosyćuczynienia, Dupont ani na chwilę nie wątpił o cudownym objawieniu w la Salette. „Kogóż nie wzruszy—mówił—widok Boga Rodzicy, powierzającej małym dzieciom strapienie swego macierzyńskiego serca; czyż nie dość cierpiała na Kalwarji, trzebaż, by dziś jeszcze ludzie bezbożni bluźnierstwami ponawiali Jej cierpienia. Cóż się z nami stanie, jeżeli już Marya nie może powściągnąć karzącej sprawiedliwości Bożej?“

Roku 1847 odbył Dupont, jeden z pierwszych wraz z kilku towarzyszymi pielgrzymkę na górę

cudem wslawioną. Podczas drogi budującą rozmowę przeplatano modlitwą i aktami pobożnymi, a Dupont na wzór św. Franciszka z Asyżu, podnosząc się od stworzeń do Stwórcy, korzystał z każdej sposobności, by współtowarzyszom mówić o Bogu; budował ich, rozrywał, zadziwiał nawet swą wymową, był prawdziwym apostołem wyprawy. A gdy stanął na świętem miejscu, trzeba było widzieć pokorę i żywą wiarę, z jaką przebywał na kolach ścieżkę, którą Najśw. Dziewica dotknęła swemi stopami, jak usta do niej przyciskał, rwał trawę, zbierał kamyki i czerpał wodę cudowną.

Za powrotem do Tours, rozpowszechnił tę cudowną wodę i starał się o ustanowienie w jednym z kościołów miasta szczególnego nabożeństwa do Matki Najśw. z góry La Salette. W tym celu zwrócił uwagę na skromną kapliczkę zakonnic Oczyszczenia, założonych przez przyjaciela swego i spowiednika, ks. Pasquier. Zgromadzenie to ma na celu, przez modlitwę i pokutę, zadosyćczynić Bogu za gwałcenie niedzieli i pracować nad nawracaniem gwałcicieli świąt. Dupont zachwycony pięknym jego celem, przyczynił się znacznym datkiem do powiększenia gmachu. Z jego też namowy przełożona prosiła władzę duchowną o oddanie kapliczki pod wezwanie Matki Boskiej z góry La Salette. Gdy później miano przebudować skromny dom Boży, złożył znów Dupont znaczną sumę na zakupienie gruntu pod nowy kościół, ofiarując do niego wizerunek cudownego objawienia, jeden z pierwszych, który dozwolono umieścić publicznie w kościele.

Przy kaplicy założonem zostało bractwo Matki Boskiej ucieczki grzeszników. To dało początek nabożeństwu mieszkańców Tours do Matki Boskiej z góry La Salette. Odprawiano publiczne nowenny i ustanowiono roku 1857 osobne Bractwo głównie za staraniem pobożnego sługi Maryi.

Kaplica Oczyszczenia była po kościółku Karmelitanek może najmilszą dla Duponta, nawiedzał ją często, słuchał tam mszy św. i przystępował do Komunji św. Nabożeństwo do Matki Boskiej ucieczki grzeszników ścięsiło stosunki jego z zakonnicami Oczyszczenia; z ojcowską prawdziwie troskliwością czuwał nad potrzebami zgromadzenia, wiedział czem je wspomódz, czem zrobić przyjemność. Przez całe życie, nawet wtenczas, gdy wyłącznie był oddany czci Przenajśw. Oblicza, dawał dowody szczególnego nabożeństwa do Matki Boskiej z góry La Salette, bo upatrywał słusznie blizki związek pomiędzy Przenajświętszym Obliczem Jezusa Chrystusa, okrytem płwocinami, krwią i potem, a łzami zalaną twarz Matki Boskiej; te dwa nabożeństwa łączył w jedno, mówiąc: „Matka Boska z góry La Salette sama nas tego nauczyła, ukazując się z krzyżem na piersiach.“

## ROZDZIAŁ VI.

### Henrynia.

W kilka miesięcy po powrocie Leona z pielgrzymki do La Salette, Bóg miłosierny, pragnąc do

coraz wyższej doskonałości podnieść duszę jego, dotknął go w tem, co miał najdroższego tu na ziemi.

Henrynia, jedyna jego córka, kończyła wówczas 15-ty rok życia. Żywy portret matki, piękna, wysoka, choć szczupła, obdarzona niezwykle zdolnościami, nad wiek rozwinięta, zachwycała wszystkich niezrównanym wdziękiem i wszystkimi przymiotami rozumu i serca. Nie też dziwnego, że była pieszczoszką całego otoczenia; zwłaszcza babka, pani Armand, nie nie umiała odmówić ukochanej wnuczce, przy lada okoliczności niepokojąc się nadmiernie jej zdrowiem, to też Henrynia nadużywała jej dobroci, samowolna, kapryśna, niezawsze nawet ulegała powadze ojca. Chwilowe to jednak były uchybienia, gdyż w gruncie złote miała serce i odznaczała się wielką pobożnością.

Matka de Lignac, przełożona Urszulanek, pod której troskliwą opiekę Dupont bardzo wczesnie powierzył ukochaną córkę, umiała zbawiennie kierować jej żywym, lecz rzeczywiście dobrym charakterem, odwołując się do uczucia i pobożności, pewną być mogła, że zachęci ją do pracy nad sobą i unikania dziecinnych przewinień.

Malutkiej jeszcze Henryni obiecała raz opowiedzieć o życiu i cierpieniach Pana Jezusa, ale pod warunkiem, że przez dwa tygodnie będzie grzeczną i posłuszną. Wtedy dziewczynka przychodziła co dzień z zapytaniem, czy była greczna i czy upłynęły już dwa tygodnie; gdy wreszcie nadeszła chwila oczekiwana, słuchała przełożonej z wruszającą u tak małego dziecka uwagą i przejęciem, ze łzami

w oczach powtarzając co chwila: oh, jakże oni mogli to wszystko Mu uczynić!

Mając lat siedm uczestniczyła w naukach rekolekcyjnych dla dziewczynek i wtedy to posyłała następujące słowa kaznodziei: „Drogie dzieci, zachowajcie niczem nieskalaną niewinność waszą, a zobaczycie, co Bóg dla was uczyni.“ Słowa te wielkie na niej zrobiły wrażenie, wciąż je potem powtarzała ku wielkiej radości pobożnego ojca.

Widzieliśmy już, jak Dupont, troszcząc się o przygotowanie Henryni do pierwszej Komunii św., polecał ją gorąco modłom Siostry Maryi od św. Piotra; zapewne też modlitwom świątobliwej zakonnicy przypisać można w znacznej części gorące nabożeństwo, z jakim młoda dziewczynka sposobila się do tej ważnej i uroczystej chwili.

Delikatne zdrowie jedynaczki było dla Leona źródłem ustawicznej troskliwości; sądząc, że ruch i świeże powietrze najlepszem dla niej będzie lekarstwem, chciał, by mu towarzyszyła podczas podróży i pielgrzymek zwłaszcza do Bretanii, słynnej z pobożności mieszkańców. Upodobał tam sobie szczególnie nadmorską miejscowość Saint Servan, w której spędzał corocznie miesiące letowe. Podczas pobytu zawiązywał stosunki ze znajomymi rodzinami, pilnie jednak baczył na postępowanie i słowa Henryni, usiłując przyuczyć ją do wewnętrznego skupienia. Jeśli na ulicy spotykał eleganckiego światowca, gwizdzącego arję z operetki, mawiał: „Widzisz, wiatr tylko napelnia puste głowy tych ludzi, gwizdząc chcą go się pozbyć.“

Przeczuwając, że córka jego, obdarzona niezwykłą urodą, wdziękiem i rozumem, będzie błyszczeć w świecie; w miarę jak się rozwijała, lękał się dla niej coraz więcej jego ulud i niebezpieczeństw. W grudniu 1847 r. pisał: „Raz jeszcze i to coraz usilniej proszę o modlitwy za mą córką, która rozpoczyna 15-ty rok życia. Dotąd Pan Bóg nie powiedział jej jeszcze: świat jest niebezpieczny, trzeba go się lękać; życie ukryte w Bogu tak jest słodkie, należy dążyć do niego! Zatem módlmy się o to dla niej, a módlmy się usilnie “

W głębi duszy byłby się cieszył jej powołaniem zakonnem, ale po jej usposobieniu czyż mógł się tego spodziewać?

Pomimo młodego wieku Henryni kilka już znacznych matek pragnęło pozyskać rękę jej dla swych synów; z jednej nawet strony polecono uczynić ojcu odnośną propozycję. Związek był ze wszech miar korzystny, a jednak dla Duponta było to oświadczenie, jak sam to później opowiadał, jakby uderzeniem sztyletu. „Wysłuchawszy słów moich—mówił ksiądz, któremu zlecono pośrednictwo—zamyślił się przez chwilę, a następnie wznosił oczy do nieba z wyrazem, którego nigdy nie zapomnę—a który mówił dobitnie—że córkę swą Bogu ofiaruje i poświęca.—Jakież było moje zdumienie, gdy za kilka dni dowiedziałem się o śmiertelnej chorobie Henryni.“

Krótko przedtem podczas wakacji, chcąc zrobić Henryni przyjemność, zawiózł ją Dupont do Paryża.—Tam znajomi pragnęli zaprowadzić ją do teatru na zabawną i dobrą sztukę. Henrynia, zachwycona

nadzieją nieznaną rozrywki, pobiegła do ojca, uporeczywie domagając się przyzwolenia. Daremnymi były jednak wszelkie prośby i nalegania; pobożny ojciec,—który nieraz już wyrzucał sobie słabość dla ukochanej córki—znając wrażliwe jej usposobienie, nie bez słuszności obawiał się, by ta pierwsza, na pozór niewinna rozrywka, nie obudziła w jej sercu pragnienia innych, niebezpieczniejszych przyjemności i wrażeń odurzających, od których byłoby tak trudno ją ustrzedz. Dziewczynka, choć zwykle uległa, nie pojmując przyczyny srogiego zakazu, uczuła się nim żywo dotkniętą i przez dni kilka ponury okazywała smutek.

Był to tylko chwilowy kaprys, lecz troskliwy ojciec zasmucił się bardzo, gdyż rozumiał, że świat będzie dla Henryni niebezpieczniejszy jeszcze, niż dotąd przypuszczał i pod tem wrażeniem odnawiając ofiarę raz już uczynioną: „Wielki Boże!—zawołał z głębi serca—jeśliby miała kiedykolwiek zejść z prostej drogi, wolę, byś mi ją raczej zabrał.“ Heroiczna zaiste modlitwa, która tak niedługo miała być wysłuchaną.

Z powodu zaraźliwej choroby, grasującej w zakładzie Urszulanek, musiano rozpuścić uczennice. Henrynia, uszczęśliwiona niespodziewanemi wakacjami, nie myślała ukrywać zadowolenia i wesoło żegnała się z przełożoną, nie przypuszczając, że na zawsze zakład opuszcza.—Zaraza, przed którą chciała ją uchronić, dosięgła ją już nazajutrz, a Henrynia, jakby w przeczuciu śmierci, pełna żywej wiary, zwróciła myśl swą wyłącznie ku Bogu. Z zupełną



świadomością przyjęła ostatnie Sakramenta śś., a następnie, zwracając się do matki de Lignac, która przyszła ją odwiedzić, rzekła: „O jak prawdziwie mówił nam niedawno kaznodzieja, że drogie kamienie i skarby całego świata niczem są wobec miłości Pana Jezusa. — Nie ma nic nad miłego Jezusa, On jest wszystkim, wszystkim, wszystkim!..“

Podczas tych dni bolesnych cnota Leona zajaśniała w całym blasku. Współ z ukochaną dziewczką odmawiał głośno modlitwy przy konających, a następnie, trzymając jej rękę w swych dłoniach, rzekł z heroizmem, u prawdziwych jedynie chrześcijan spotkać się dającym: „Wynijdź duszo chrześcijańska z ciała, wynijdź, wynijdź! Nie pozostawaj na tej ziemi, gdzie się Boga obraża — wynijdź! Śmierć jest życiem, a życie śmiercią! Idź córko moja do Boga, a gdy Go ujrzysz—powiedz Mu, ile tu cierpimy! Powiedz przedewszystkiem, że pragniemy Go zadowolnić pokornem znośnieniem doświadczeń, jakie na nas zsyła. Cierpię bardzo, serce moje jest jakoby rozdarte,—ale trudno chcę się Bogu oddać! Idź drogie dziecko—pamiętaj o nas wszystkich, poleć nas miłosierdziu Bożemu—rozkazuję ci to jako ojciec.“ I odtąd utrzymywał się bezustannie w uczuciach żywej wiary i nadziei chrześcijańskiej, nie przestając jednak błagać Boga o odwrócenie tego kielicha goryczy,—w tym celu udał się z prośbą o modlitwy do rozmaitych zakonów, między innymi i do Karmelitanek. Siostra Marya od św. Piotra spełniła jego życzenie, błagając Boga o zachowanie dziecka, kilkakrotnie jednak oświadczyła,

że chora nie wyzdrowieje, a to, jak mówiła dla tego, że śmierć jej miała być dla Leona źródłem nowego wzrostu w świątobliwości i środkiem, usposobiającym do spełnienia zamiarów Bożych. Byłoby to tylko przeczucie?—czy też nadprzyrodzone objawienie wyroku Bożego?

Nad wszelki wyraz podniosłą i wzruszającą była chwila, gdy krótko przed zgonem swej córeczki, Dupont dawał jej ostatnie zlecenia. „Wkrótce—mówił—staniesz przed Bogiem. Zobaczysz Go! Mówię do Niego będziesz. — Rozkazuję ci w imię i mocą władzy mojej ojcowskiej, byś Mu przedstawiła potrzeby moje, babki, rodziny, nauczycieli, służących, znajomych i przyjaciół.“ Dzieweczka z całą przytomnością słuchała tych słów, skinieniem głowy dając tylko znać od czasu do czasu, że je rozumie i spełni, czego od niej żądają.

Gdy przyjmowała ostatnie Sakramenta, Dupont był pogrążony w głębokiej modlitwie, a następnie biorąc jej rękę, zapytał: „Teraz, odebrawszy łask tyle, jesteś szczęśliwą—nieprawda drogie dziecko?“— „Żal mi ciebie opuścić, drogi ojcze.“— „Ależ ty mnie nie opuścisz, dziecko jedyne,—nie zostaniemy rozdzieleni. Bóg jest wszędzie! Ty będziesz z Nim w niebie, — a ja tu na ziemi także z Nim będę — a przez Niego z tobą; kiedyś złączymy się zupełnie i to na wieki.“

Podczas tej rozmowy, godnej Aniołów, przytomni zalewali się łzami, chowając w głębi serca niezatarte wrażenie.

Gdy Henrynia wydała ostatnie tchnienie, Dú-

pont zawołał w uczuciu nadziejskiego wesela: „Córka moja widzi Boga“ i odmówił Magnificat.

Osoby, które go bliżej nie знаły, słysząc to, sądziły, że nadmiar boleści przyprawił go o utratę zmysłów. Ale doktor Bretonneau, rozumiejąc jego uczucie, mówił pełen uwielbienia: „To jest szczyt doskonałości chrześcijańskiej.“

Istotnie cały heroizm żywej wiary okazał Dupont nie tylko przez pokorne zgodzenie się z wolą Bożą, ale i przez uniesienie radosne, z jakim złożył Bogu w ofierze to co na ziemi miał najcenniejszego i najdroższego, jedyną i nad wszystko ukochaną córkę, w kwiecie wieku, w całym blasku niewinności.

Zalany łzami, z wyrazem boleści na twarzy, wpatrywał się w ukochane zwłoki; żał chwilami brał górę, zaraz jednak koił go słowami żywej wiary, mówiąc: „Nie smućmy się jako ci, którzy nadziei nie mają.“

Nazajutrz mówił do przyjaciela: „Zasnawszy w nocy na chwilę, śniłem, iż zadaję sobie pytanie z katechizmu: na co jesteśmy na ziemi? I razem z odpowiedzią, we śnie również przyszła mi myśl: Córka moja była tu na ziemi, aby Boga znać, kochać—i dostać się do nieba, o to cel i kres życia, osiągnęła go, mogę ją zatem oplakiwać?“

Odwaga opuściła go jednak, choć tylko na chwilę. Gdy bowiem ciało miano już spuszczać do grobu, łkanie bolesne rozrywało mu piersi, zdawał się uginać pod nadmiarem boleści,—ale wkrótce przemogło uczucie chrześcijańskie—ukłękł i modlił

się—a po chwili wstając z odmiennym już wyrazem twarzy, na której przez lzy błyszczał promień niebieskiej nadziei, wyrzekł: „O mało nie zostałem pokonany, a jednak córka moja bliższą mi teraz, niż była za życia. Ciała nasze rozdzielały nas, jako dwa mury, teraz jeden runął, drugi też kiedyś upadnie i wtedy zostaniemy złączeni na wieki.“

W czytaniu Ewangelji czerpał siłę do zniesienia tak srogiego ciosu.

Osobom, które przychodziły do niego ze słowami pociechy, pokazywał opróżnione łódeczko Henryni, przytaczając słowa z Pisma św., odnoszące się do grobu Zbawiciela: „Nie ma jej tu, czegoż szukacie żyjącej pomiędzy umarłymi.“

„Bóg dał — mówił jeszcze — Bóg wziął, niech Imię Jego będzie błogosławione.“

Otworzywszy w Ewangelji św. Jana miejsce, opisujące, jako Marya Magdalena zmartwychwstałego Zbawiciela wzięła za ogrodnika—zawołał: „Pan Jezus okazał się względem Henryni istotnie dobrym ogrodnikiem; znalazłszy w ogrodzie swym piękną i delikatną roślinkę, zanim jeszcze zmroził ją zimny wiatr namiętności, zerwał i zasadził w niebieskiej cieplarni.“

A te uczucia nie były chwilowe tylko, ale do końca życia dziękował Bogu, że raczył powołać do siebie Henrynię w samym rozkwicie młodości.

„Przypominasz sobie — pisał między innymi — trwoję, jaką mnie napełniała sama myśl o niebezpieczeństwach, czekających w świecie ukochane me dziecko. Chciałem ją widzieć szczęśliwą, czyż nie

osiągnęła dziś najwyższego szczęścia? Zamykając jej oczy, zrozumiałem, że stałem się prawdziwie ojcem w chwili, gdy mogłem Bogu powiedzieć: oto dziecko moje.“

O jakże szczęśliwymi są rodzice, których dzieci do nieba uprzedzą! Ileż łask otrzymać mogą za pośrednictwem swych aniołków, znajdujących się już przed Obliczem Boga! Grób zimny trwoży nas, ależ odkąd Pan Jezus z niego zmartwychwstał, grób stał się naszą kolebką na wieczność.

Największą też pociechą dla Duponta było codzienne nawiedzanie mogiły ukochanej córki, ozdobionej skromnym krzyżem, z tym jednym napisem: „Henrynia.“ Obok krzyża kazał umieścić piękny marmurowy klęcznik, na którym wsparty długie spędzał godziny; w około zawsze pełno było kwiatów, które sam pielęgnował i znajomym posyłał na pamiątkę.

„Gdy po raz pierwszy—pisze—ukląkłem na tej świeżo wzniesionej mogile, boleść straszna rozrywała me serce. Wszystko się dla mnie skończyło, zostałem sam jeden. Wtedy przyszło mi na myśl prosić Boga za jej pośrednictwem o nawrócenie skazanego na śmierć zbrodniarza, który nie chciał się w żaden sposób z Bogiem pojednać. Była to pierwsza łaska, jaką mi wyjednało moje dziecko;—odtąd, gdy mam coś bardzo trudnego,—zawsze się z tem do niej udaję; przychodzę na cmentarz, tam odnajduję moją Henrynię, rozmawiam z nią, — pytam o wolę nieba!“

Kończąc charakterystykę tego serca ojcowskie-

go, tak pełnego chrześcijańskiego mężstwa, obok najtkliwszej czułości, dodać należy, że przechowywał starannie przedmioty, które niegdyś do użytku Henryni służyły. Jej wspomnienie nigdy go też nie opuszczało, w listach, czy rozmowach często do niej powracał. „Przed dziewięciu laty—pisał, dowiedziawszy się o śmierci pewnej młodej zakonicy—tego samego dnia i mój anioł ulatywał do nieba.“

„Rozważaj poważnie, upominał swą chrzestną córkę, wielkie szczęście Henryni. Żyjmy dla Boga, bądźmy Mu oddani! Czas jest krótki, każda chwila policzona.“

W ten sposób oplakując ukochaną, a tak wczesnie zgasłą córkę, łączył Dupont najtkliwsze uczucie miłości z prawdziwem mężstwem chrześcijanina.

## ROZDZIAŁ VII.

### Siostrzyczki ubogich.

Śmierć ukochanej córki stała się dla Duponta przyczyną nowego postępu na drodze doskonałości chrześcijańskiej.

Bolesne to doświadczenie oderwało go zupełnie od świata—z którym już odtąd łączyło go jedynie miłosierdzie i gorliwość o zbawienie dusz, a ubodzy stali się jego przybranymi dziećmi.—W sam dzień pogrzebu Henryni sumę na jej wyprawę przeznaczoną, rozdał między miejscowe klasztory, a znaczną część posagu przeznaczył na rzecz Siostrzyczek ubogich.

Zgromadzenie to, które Dupont był poznał bawiać u wód morskich w Saint Servan, miało na celu: otaczać najtroskliwszą opieką biednych i niedołączonych starców i przygotowywać ich na śmierć chrześcijańską. Powstałe niedawno z nader skromnych początków, niby ziarno gorczyczne, miało się rozrosnąć w drzewo, wydające bogate owoce.

Dupont podczas pobytu swego w Saint Sarvan, podziwiał Siostrzyczki ubogich i cuda miłosierdzia chrześcijańskiego spełniane przez nie z taką prostotą; zrozumiał doniosłość tej nowej instytucji, owianej duchem ewangelicznej miłości. Zaprzyjaźnił się ze świątobliwym jej założycielem, księdzem Le Pailleur, któremu później odziedziczonym po p. Bordier majątkiem, dopomógł do założenia zgromadzenia Misjonarzy w celu niesienia duchowego światła ubogim wieśniakom.

Drugim owocem tej pobożnej przyjaźni było sprowadzenie Siostrzyczek ubogich do Tours 30-go grudnia 1846 roku.

Nie małe trudności stawały temu na przeszkodzie, lecz Dupont pokonał wszystkie, a zaopatrzwszy Siostrzyczki w najniezbędniejsze potrzeby, zaprowadził je do ubożego mieszkanka, gdzie czekała już na nie starowina, okryta łachmanami, robactwem, a przytem charakteru bardzo zgryźliwego, że stała się też dla Siostrzyczek powodem wielu prób cierpliwości.

Dupont widząc, że nowemu Zgromadzeniu zbywa na niezbędnych przedmiotach do życia, biegł po mieście, prosił znajomych o jałmużnę, z której,

stosownie do swych ustaw, Siostrzyczki żyją z dnia na dzień. Pomimo tego niedostatek był stałym gościem schronienia, które jednak ufne w Opatrzność Boską przyjmowało wciąż biednych staruszków.— Jedną babkę znaleziono porzuconą na garstce słomy, przez trzy dni suchym żywiącą się chlebem, bez kropli wody, na pół umarłą. Inna, świeżo przygarnięta, nie mogła zasnąć, a gdy się jej o powód pytano: „Miałabym usnąć w tak dobrem łóżku,— odrzekła—wczoraj sama i opuszczona, za całe posłanie mając trochę słomy, dziś leżę jak królowa, przez całą noc z radości chyba oka nie zamknę.“

Wkrótce po przybyciu Siostrzyczek, Dupont, spotkawszy na ulicy znajomego księdza, zatrzymał go mówiąc z uniesieniem: „Czy uwierzysz,—czy to jest podobne! bogaci, wielcy tego świata, muszą drogo opłacać służących, a za swe złoto jak źle i nie dbale bywają obsłużeni. A tu biednym, obdartym, brudnym, cuchnącym służą jakoby Bogu samemu! I zgadnij kto? — Siostry i oblubienice Jezusa Chrystusa, Siostrzyczki ubogich.“

Roku 1848 po śmierci ukochanej córki, Dupont za pieniądze przeznaczone na jej posag kupił dla Siostrzyczek osobny dom; szczególną opieką otoczył ten przytułek ubogich, troszcząc się o najmniejsze jego potrzeby, odwiedzał starców, obchodząc się z nimi z uprzedzającą dobrocią, ciesząc się, gdy mógł im wyświadczyć jaką przyjemność. — Poświęcenie się jego podnosiło się czasem do prądziwego heroizmu, zwłaszcza roku 1853 podczas grasującej w mieście i zakładzie zaraźliwej febry. — A więcej



jeszcze w następnym roku, gdy miasto Tours zostało nawiedzone cholera, która i przytulku nie oszczędziła. W przeciągu kilku dni zmarło w niem dzie wietnastu starców i dwie zakonnice a dziewięć było chorych. Dupont odwiedzał i pocieszał dotkniętych zarazą, świadcząc im najwstrętniejsze posługi, a nie poprzestając na własnych datkach przez cały czas zarazy żebrał dla nich po domach.

Umiłowawszy całym sercem swych drogich starców, psuł ich poprostu; nieraz widziano, jak dążył w stronę Zakładu z kieszeniami wypchanymi ciastami i cukierkami. Promieniał radością, gdy im mógł sprawić jaką uciechę, prawie nigdy ich nie opuszczał bez zostawienia hojnej jałmużny.—W ostatnich latach życia, chory i zmęczony, odwiedzał jeszcze swych starców przynajmniej raz w tygodniu, a w końcu, gdy już nie mógł z domu wychodzić, pamiętał, by posyłało Siostrzyczkom najlepsze owoce i jarzyny z ogrodu.

Jako prawdziwy chrześcijanin troszczył się jednak przedewszystkiem o moralne dobro swych biednych starców.—Jak pięknie i przekonywająco umiał do nich mówić o Bogu, o zbawieniu i szczęściu wiecznem! Największem dla niego szczęściem było, gdy który z tych biedaków nawracał się szczerze do Boga, niekiedy po wielu latach zapomnienia o Nim.—Starał się szczególnie o uroczyste urządzenie dla nich rekolekcyi, które zwykle bardzo dobrze wpływały na starych pupilów Siostrzyczek. Pomiedzy innymi jeden ślepy dziadek, który chciał z rozpaczki życie sobie odebrać, wkrótce po przybyciu

do Zakładu, wzruszony rekolekcyjnemi naukami, po jednal się z Bogiem, przystąpił do Stołu Pańskiego, a uniesiony radością, nawet podczas wspólnego śniadania, nie przestawał powtarzać: „To Ty, o Panie, naprawdę dziś mi się cały oddałeś.“

Dupont podziwiał cuda łaski Bożej, zdziałane w duszy, tak niedawno upornej i nieszczęśliwej i przyznał, że nie mogło dla niego być większej radości, jak widok tego biednego starca, składającego Bogu jawny hold miłości i wdzięczności.

Staruszkowie, odplacając niewyczerpaną dobroć Duponta, kochali go jak prawdziwego ojca i dobrodzieja, a on nawzajem pełen czulej ku nim miłości, wglądał w najdrobniejsze szczegóły, cieszył się z najmniejszej rzeczy; naprzykład z nabycia maszyny do robienia masła, z nimi i dla nich stawał się małym i prostym.—Cenił też przedewszystkiem Siostrzyczki dla wielkiej ich prostoty duchownej.

Siostrzyczki nawzajem czciły Duponta niemal jak świętego, żywą chowając wdzięczność za jego dobrodziejstwa i poświęcenie. Dziś jeszcze w potrzebach swoich uciekają się do niego z równą prostotą, jak niegdyś, gdy za życia nawiedzał sędziwe ich dzieci.

## ROZDZIAŁ VIII.

### Inne uczynki miłosierne Leona Dupont.

Przytułek dla biednych starców nie był jedynem i wyłącznem polem dla miłosierdzia Leona; ko-

rzyszał on z każdej sposobności, by bliźniego wesprzeć, lub mu się przysłużyć. Należąc do Towarzystwa św. Wincentego nawiedzał ubogich, chorych, służąc im własnymi rękoma, przez długie miesiące oddawał im nieraz najprzykrzejsze i naturze ludzkiej najwstrętniejsze przysługi, a czynił to z zaparciem siebie, z uprzejmością, godną największych świętych. Później, gdy z powodu innych obowiązków, a zwłaszcza wskutek dolegliwości podeszłego wieku, nie mógł opuszczać mieszkania, wciąż jeszcze do Towarzystwa należał, ale jak się pokornie mianował: „był tylko jego członkiem honorowym, wyranżerowanym.“

Ze szczególnem upodobaniem nawiedzał więźniów, pracował nad ich nawróceniem, nie szczędząc i pieniężnej pomocy, gdy opuszczali więzienie, czuwając wtedy nad nimi najtroskliwiej, starał się o umieszczenie ich, korespondował z nimi. Z pomiędzy licznych listów tych biedaków, pozostało kilka jeszcze, w wzruszający nieraz sposób świadczących o ich wdzięczności i zbawiennym wpływie, jaki sługa Boży na nich wywierał.

Miłosierdziu jego błogosławił Bóg w cudowny nieraz sposób, jak się o tem przekonamy z następującego zdarzenia, które w swoim czasie wielki miało rozgłos.

Młody wyrobnik, Adrjan Bouchet, oskarżony o zburzenie latarni podczas ludowych rozruchów, został skazany na trzy miesiące więzienia. Bouchet, zaręczając o swej niewinności, czuł się wyrokiem tym do rozpaczki doprowadzonym. Dowiedziawszy

się o tem Dupont podążył do jego celki, by go uspokoić. Na progu już został uderzony bardzo przykrym zaduchem i zobaczył, że więzień, zamiast na zwykłym sienniku, leżał na słomie, a to z powodu wstrętnej choroby, na jaką cierpiał od dzieciństwa. Cierpienie to sprawiło, że będąc dla wszystkich przedmiotem obrzydzenia, nie mógł chodzić do szkoły, ani na naukę katechizmową, nie umiał czytać i nie był przyjętym do Sakramentów św. Celę swą więzienną tak strasznym napelniał zaduchem, że dozorca postawiwszy mu jedzenie, uciekł co prędzej, a lekarz zbadawszy jego cierpienie, uznał je za nieuleczalne. Trzeba było zaiste takiej miłości Boga bez granic, jaką pałał Dupont, aby przeciężyć wstręt ku temu nieszczęśliwemu. Wzruszony smutnym jego stanem, odwiedzał go codziennie przez całe trzy miesiące, odbierając w zamian grubjaństwo i zniewagi. W końcu jednak, niezrównana dobroć jego i miłosierdzie skruszyło serce biedaka, a Dupont, zawiesiwszy na szyi jego medaljonik z wizerunkiem św. Benedykta, nakłonił go do odprawienia nowenny na cześć tego wielkiego świętego.

„Po upływie czterech dni — mówił Dupont — przychodząc do celi, zostałem przyjemnie zdziwiony mniejszym niż zwykle zaduchem; następnie gdy przez jakiś czas nie mogąc być w więzieniu, przyszedłem dopiero nazajutrz po zakończeniu nowenny, Bouchet przywitał mnie radosnym okrzykiem, że czuje się zupełnie zdrowym. Cud ten miał miejsce blisko miesiąc temu, pod jego wrażeniem, z wielką radością i przejęciem przystąpił Bouchet do pierwszej

Komunji św., a dziś, wypuszczony na wolność, prowadzi się wzorowo.“

Miłosierdzie bez granic, przepelniające serce Leona, objawiało się bez wyjątku względem wszystkich potrzebujących. Ież to razy kupował hurtownie od przychodzących na targ kobiet cały zapas warzywa, z poleceniem, by je oddały u furty jakiego biednego klasztoru.

Pewnej przekupce spadło raz na środku ulicy koło u wózka i jarzyny posypały się na ziemię; biedaczka załamując bezradnie ręce, poczęła głośno płakać i narzekać. Dupont nadchodząc właśnie, spostrzegł jej rozpacz i z wielką prostotą i uprzejmością pomógł naprawić wózek, pozbierał rozsypany towar, następnie wsunął w rękę 10-cio frankowy pieniądz, uspokoił ją, pocieszył, myśl i serce do Boga zwracając.

Iluż to kapłanom dopomógł znacznym datkiem do ukończenia nauk. Chorzy wszelkiego rodzaju, odbywający pielgrzymki do Przenajśw. Oblicza od niego otrzymywali wsparcie i pożywienie.

Wspaniałomyślny i miłosierny bez granic Dupont najchętniej jednak działał w ukryciu, często przez pośrednictwo innej osoby. Pewna kreolka, niegdys bogata, popadłszy w niedostatek, odbierała z Martyniki od czasu do czasu znaczną przesyłkę towarów, sądziła, że pochodzą z jej zamorskich posiadłości, gdy tymczasem było to delikatne wsparcie od Leona Dupont.

„Skoro Leon odbierze roczny swój dochód z kolonji — mówiła o nim jedna z jego kuzynek —

zabiera do powozu worki z pieniędzmi i odjeżdża, a niezadługo bez nich powraca. A gdy matka pyta go, gdzie są pieniądze? odpowiada—już ich nie ma; na przyszły rok więcej dostaniemy.“

Z dyskrecją umiał łączyć i przezorność; dowiedziawszy się naprzykład o bardzo biednej rodzinie, której ojciec pijak niepoprawny, ostatni grosz wydierał żonie, by go strwonić na wódkę; Dupont za pośrednictwem zaufanej osoby opłacał rzeźnika i piekarza, a nieszczęśliwi, błogosławiąc wspaniałomyślnego dawcę, nie mogli się dowiedzieć przez kilka miesięcy, komu wsparcie zawdzięczają. Zalecając pośpiech w przyjściu z pomocą potrzebującym, radził nawet zaniechać praktyk pobożnych, skoro głos wewnętrzny pobudza nas do nieodkładania miłosiernego uczynku. Na poparcie tego twierdzenia opowiadał, jak raz, ulegając wewnętrznemu natchnieniu, nawiedził rodzinę, o której biedzie poprzednio nikt mu nie mówił; znalazł ją w największej nędzy, bez kawałka chleba i sposobu do życia; wsparł ją hojnie, dziękując Bogu, że się nie spóźnił z pomocą. Nawet przed własnymi domownikami ukrywał swe miłosierne uczynki, w braku pieniędzy rozdając ubranie; wierna służąca Adela spostrzegła tylko jak jedna koszula po drugiej znikają ze szafy. Niekiedy znowu widząc, że Dupont ma na sobie podarte ubranie, mówiła mu: „Musisz pan iść do łóżka, abym mogła zacerować, bo to już ostatnie, a w szafie nie ma drugiego.“ A mąż Bożysłuchał jej z prostotą dziecka.

Wspaniałomyślność jego w najdrobniejsze wchodziła szczegóły i tak za nadejściem Bożego Naro-

dzenia, w znacznej części przyczyniał się do przystrojenia tradycyjnego drzewka dla dzieci znajomych sobie rodzin, sam brał udział w ogólnej radości, a dzieląc wesołość młodego świątka, nie zapominał i o biednych dzieciach, które w tym dniu w kółku rodzinnem przyjmowano i obdarzano.

Nie sami tylko przyjaciele i współobywatele doświadczali jego uprzejmości, z niemniejszym wyłanianiem przyjmował obcych i cudzoziemców, rozpraszając ich wątpliwości, darzył pociechą w smutkach— to też ich wdzięczność zamieniała się w dozągoną przyjaźń.

Z pomiędzy wielu, wymieńmy tylko państwa Straker, zaczął Irlandzką rodzinę, której ojciec z urodzenia protestant, był przedmiotem gorących modlitw żony i dzieci, wyznających wiarę katolicką. „Pana Dupont—pisze jedna z córek—znaliśmy tylko ze słyszenia, co jednak nie przeszkodziło, że przyjął nas bardzo uprzejmie i nazwisko naszego ojca umieścił w intencjach adoracji nocnej Przenajświętszego Sakramentu; z wiarą żywą, która zdawała się stanowić nieodłączną część jego istoty, zapewniając nas, że możemy liczyć na jego nawrócenie. Z pięknej księgi Pisma św., zawsze na biurku otwartej, przeczytał głośno przypadkiem wybrany ustęp, potwierdzający uczynioną obietnicę. Następnie z radością począł nam mówić o Bogu, o zmarłej swej córeczce, o wielkiem szczęściu służenia tak dobremu Panu. Po godzinie takiej rozmowy, czułam, że obcowanie z tą duszą ognistą rozpałiło w mem sercu iskrę miłości Bożej, która nigdy już nie miała zgasnąć.

Odtąd począł nas odwiedzać, a chociaż ojciec mój nie rozumiał mowy jego, nacechowanej tak żywą wiarą, nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął uczyć się Mszę św., czytać książki katolickie, a przed śmiercią przeszedł na łono Kościoła katolickiego. Nie pomny na tak świeżą znajomość, Dupont był dla nas w tych ciężkich chwilach prawdziwym przyjacielem; on jeden umiał pocieszać biedną moją matkę, tłumacząc, że nie powinna rozpaczać, ale raczej dziękować Bogu. „To ciało w proch się rozpadające, to niby mur zwalony, mąż pani jest teraz bliższym jej, niż za życia.“ Dupont stał się od tej pory prawdziwym doradcą i opiekunem naszym, matkę moją, młodą jeszcze, zachęcał do prowadzenia życia prawdziwie chrześcijańskiego, a przytem okazywał nam tyle serca i uprzedzającej grzeszności, że budował mię, a zarazem zachwycał swą świątobliwością. Pamiętam, że wiedziony uczuciem delikatności, 17-go marca, w dniu św. Patryka, patrona Irlandji, przyniósł mej matce bukiet koniczyzny \*), otoczony pięknymi fijołkami i gałązkę tarniny, cudownie rozkwitej na drzewie, zasadzonym przez św. Patryka nad brzegiem rzeki Loary we Francji \*\*). Chciał przez to okazać irlandzkiej ro-

\*) Irlandczycy czcili wielką otaczają św. Patryka, apostoła swej ojczyzny; listki koniczyzny noszą na pamiątkę, że tłumacząc pogańcom tajemnicę Trójcy św., wskazywał na tę trójlistną roślinę.

\*\*) Podanie mówi, że św. Patryk wezbraną rzekę Loarę przepłynął na swym płaszczu, wiosłując kijem. Kij ten utkwiał następnie w ziemię, a chociaż to była zima, przyjął się



dzinie, że apostoł jej ojczyzny do gościnnej zawiódł ją krainy. Zaiste był to czyn godny dawnych chrześcijańskich rycerzy, świadczący, że słynna uprzejmość francuska przez świątobliwość zwiększa się jeszcze i uszlachetnia.“

Podobne dowody miłosierdzia mogłyby przytoczyć i inne rodziny, zostające w bliższych stosunkach z Leonem Dupont. Oto co o nim mówi pewna pobożna pani z Tours.

„Mało obeznana z tajemnicami naszej świętej wiary, znajomość z tym świętym mężem przyjmowałam zrazu dość obojętnie, uważając, że niczem się nie różnił od innych ludzi; niewytłomaczona jednak siła pociągała mnie ku niemu, czułam się z nim zupełnie swobodna, słuchałam uważnie słów jego, a on mimochodem uczył mnie wielu rzeczy, całkiem mi nieznanych. Zawsze równie dobry i uprzejmy, z miłym witał mnie uśmiechem, rozmawiał długimi godzinami. Święty człowiek! wiedział ile dobrego czyniły mi jego słowa, a ja przyjmowałam je, nie domyślając się dobroczynnego ich działania. Dopiero o wiele później poznałam, ile zawdzięczam jego radom, wskazówkom, że on to właśnie był najdoskonalszym przewodnikiem moim na drodze postępu duchowego. Modlitwami swemi pomógł do nawrócenia osoby bardzo mi drogiej.

i zakwitł. Do dziś dnia we wsi św. Patryka w Tourain we Francji, widzieć można drzewo Świętego, które co zimę w cudowny sposób okrywa się kwieciami. Dupont miewał u siebie kwitnące gałązki z tego drzewa, podziwiał je i pokazywał.

Wesoly, ale wesolością cichą więcej wewnętrzną, lubił czynić niespodzianki, zwłaszcza dzieciom, które bardzo kochał i nawzajem od nich był kochany. Jeśli kto zachorował, pomimo licznych zajęć, znalazł codziennie chwilę, by go odwiedzić; doświadczyłam tego, gdy pewnej zimy wraz z dziećmi przechodziłam ciężką szkarlatynę; najmłodsze maleństwo moje było już bez nadziei, a gdy ją doktor opuścił, Dupont modląc się właśnie przy jej kołysce, rzekł powstając: „Jestem pewny, że jutro będzie zdrową.“ Istotnie cierpienie nazajutrz zostało usunięte, ufam że dzięki jego modlitwom. Ze wzruszeniem wspominam zawsze jego dobroć i niezrównaną prostotę, z jaką stosował się do mego poziomu; gdy mu mówiłam, że nie umiejąc, rozumiałam, co mi chciał powiedzieć, z miłym uśmiechem przytaczał wiersz 15 Psalmu LXX: *Iżem w Piśmie ja niebiegły, wnijdę w możności Pańskie.*“

Przytoczyliśmy chętnie te zbyt może długie i drobiazgowo zwierzenia, aby wytłomaczyć cześć, jaką niektóre rodziny żywią po dziś dzień dla Leona Dupont i ufność, z jaką w głębi serca uciekają się do niego, prosząc o przyczynę u Boga.

## ROZDZIAŁ IX.

### Adoracja nocna Najśw. Sakramentu.

W listach Leona spotykamy często wzmiankę o Adoracji nocnej Najśw. Sakramentu, obietnicę polecenia osób, do których pisze, modlitwom Adoracji

nocnej. — Należy nam zatem poznać to dzieło Boże, tak ważne zajmujące miejsce w życiu Duponta.

Założycielem, a raczej inicjatorem jego był świątobliwy Ojciec Herman, żyd z urodzenia, który po bardzo burzliwej młodości, za przyczyną Matki Boskiej cudownie nawrócony, przyjął chrzest św. i wiódł życie nader świątobliwe, a nawet wstąpił do zakonu Karmelitów bosych.

Wielki ten miłośnik Najśw. Sakramentu, 6-go grudnia 1848 roku połączył się z kilku ludźmi dobrej woli, by podczas nocy oddawać z kolei cześć Panu Jezusowi, opuszczonemu i znieważonemu na ołtarzach naszych. Dupont, zostając w ścisłych stosunkach z Ojcem Hermanem, z uniesieniem przyjął piękną jego myśl zadosyćuczynienia, w przekonaniu, że niemniej chętnie odczują ją ludzie, którzy widząc zło, jakie się w około nich dzieje, pragną za nie zadosyćuczynić.

Nie łatwą jednak było sprawą, święty ten zamiar w życie wprowadzić; nawet przyjaciele Leona uważali to za czyste niepodobieństwo—on tylko jeden nie zwątpił ani na chwilę—a pomyślny skutek przewyższył nawet jego oczekiwania, gdyż już w miesiącu lutym 1849 roku dzieło istnieć zaczęło w Tours, a arcybiskup paryski, Morlot, potwierdził utawę Bractwa Adoracji nocnej Najświętszego Sakramentu.

„Piękna myśl uczczenia Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie przez Stowarzyszenie męzkie — pisze Dupont — przyjęła się w mieście naszym w szczególniejszy sposób; dziś już mamy 74 członków,

a wkrótce liczba ta przejdzie sto. Któż zdoła wypowiedzieć, jak słodkie są owe godziny nocne, spędzone na modlitwie. Ogień Boży z nadzwyczajną szybkością zapala coraz więcej dusz.“

Po Paryżu, Tours było pierwszym miastem, gdzie założono Adorację nocną. Szczególniejsza pobożność Leona i święta gorliwość w wyszukiwaniu coraz to innych dzieł wynagradzających, sprawiły, iż więcej, niż ktokolwiek nadawał się na kierownika tego dzieła; skutek pomyślny w znacznej części jego zabiegom przypisać należy. Ponieważ w rozumieniu Duponta było to przede wszystkim dzieło zadosyćuczynienia, zgromadzono się po raz pierwszy na nocną modlitwę w niedzielę zapustną, by wynagrodzić Panu Bogu za zgorzenia, w tym czasie popełniane. W oznaczonym dniu i godzinie 14 członków zebrało się w kaplicy Łazarzystów; w pokoiku obok tejże, były umieszczone skromne polowe łóżka, na których członkowie mogli spocząć przed i po adoracji. Każdy miał jedną godzinę wyznaczoną, którą spędzał na modlitwie przed Najśw. Sakramentem. W kaplicy kilka pobożnych książek położono do wspólnego użytku; mało kto z nich korzystał, niektórzy odmawiali różaniec, wszyscy prawie, stawiając się w obecności Bożej, błagali Go, rozmawiali z Nim, odbierając w zamian dobre myśli i natchnienia; dla tych zwłaszcza była godzina adoracji zawsze za krótką. Nad ranem odprawiano Mszę św.; w czasie której prawie wszyscy obecni przystępowali do Komunii św.; wśród członków spotykano nierzadko ludzi, którzy odmieniali zupełnie swe

życie, aby tylko mieć co miesiąc szczęście przyjęcia Pana Jezusa.

Konieczne wydatki Stowarzyszenia przyjął od samego początku Dupont na siebie; sprawił łóżka, dostarczał światła i opału. Co więcej, gdy księża Łazarzysci zamierzali wybudować nową kaplicę, złożył im 10 tysięcy franków pod warunkiem, by pod kaplicą zrobiono podziemną kryptę, w którejby się członkowie adoracji nocnej zbierali podczas zimy; krypta ta po dziś dzień istnieje.

Żarliwe zabiegi około dzieła adoracji uczyniły z tego chrześcijanina wymownego kaznodzieję i apostoła, któremu nikt nie umiał się oprzeć; w serca przyjaciół i znajomych starał się przelać swą własną wiarę i gorliwość.—Zbierał członków ze wszystkich warstw społecznych, pomiędzy prostymi robotnikami, wojskowymi, jak i osobami najwyższej postawionymi.—U tych ostatnich korzystał z nieszczęścia, nagłego smutku w rodzinie, by ojca lub syna skłonić do przepędzenia choćby jednej godziny w gronie członków adoracji nocnej.—Zapraszał nawet osoby obce, obojętne, spotkane przypadkiem, ludzi prawie zupełnie sobie nieznanym.

Głównego zastępcę dostarczali dziełu prości robotnicy i członkowie Towarzystwa św. Wincentego. Dla wszystkich noc poświęcona adoracji, była świętem uroczystym. Nieraz mularze schodząc z rusztowań, skarżyli się, że ich już dawno nie zawezwano; robotnik zatrudniony przy szosie dwie mile szedł pieszo, by adoracji nie opuścić.

Zbierano się w pokoiku, przytykającym do ka-

plicy. Dupont miał na zawołanie pełno anegdot, pobożnych legend, lub zdarzeń budujących; rozweselał i uczył na przemian; obcowanie z nim rozpalalo w sercach miłość Bożą i czyniło gotowym na wszelkie ofiary, słuchano go z zachwytem a on tak był oddany swoim słuchaczom, że trzeba go było uprzędzić, gdy godzina adoracji się zbliżała.

Często jeden z miejscowych księży Łazarzystów przychodził z oświadczeniem, że po modlitwie wieczornej gotów jest słuchać spowiedzi. Dupont z taktem i delikatnością, starał się zwrócić uwagę na tę propozycję i nakłonić obecnych, by posłuchali zaproszenia; zgrabnie i jakby od niechcienia rzucone słówko, porywający wywierało skutek. Sam zresztą pierwszy dawał dobry przykład, a mało kto go nie naśladował. Będąc prezydentem dzieła, co tydzień zwoływał członków, urządzał dla nich zebrania, tworzył serje i oddziały, mające się zmieniać kolejno; sam stawiał się na każde zebranie.—Stosownie do przepisów, rozdawał każdemu przypadłą nań godzinę adoracji—tak samo, jak generał, który wobec nieprzyjaciela wskazuje posterunki, rozstawia warty i czaty nocne około obozu, zagrożonego przez nieprzyjaciół—bo zdaniem jego, nocna adoracja Najśw. Sakramentu była rodzajem straży przed ołtarzem Pańskim nad bezpieczeństwem Kościoła i dusz ludzkich. Jaknajchętniej zastępował każdego, kto nie stawiał się na wezwanie. Zdarzało się nieraz, że kilka godzin spędzał przed Najśw. Sakramentem, skupiony, nieruchomy; w całej postawie i na twarzy jego malowała się żywa wiara i gorąca miłość.

Sam zawsze odmawiał akt ofiarowania adoracji nocnej; był duszą dzieła w całym tego słowa znaczeniu, jemu też przypisać należy szybki wzrost i gorliwość pierwszych członków. — Ach jak ich też umiał zachęcać, zajmując, gotując im co chwila nowe niespodzianki. Przejeżdżających przez miasto zakonników, ludzi słynnych a pobożnych, kapłanów, odznaczających się wymową lub świętością nakłaniał do spędzenia godziny przed Najśw. Sakramentem i przemówienia słów kilku do zgromadzonych członków. Nawet wojskowych najwyższych stopni, kapitanów i generałów pociągał do swych szeregów, stawiał ich w pełnym mundurze obok szarych zakonnych habitów, by tym kontrastem wywołać większe wrażenie na obecnych. — Zwłaszcza pomiędzy młodzieżą starał się o członków adoracji; nierzadko spotkać było można studentów prawa lub medycyny, kancelistów, notariuszy, urzędników kolei żelaznej. Ci ostatni poświęcali nieraz jedyną noc wolną od służby; pewien palacz po mszy św., odprowadzanej zawsze o godzinie czwartej rano, szedł prosto na stację, siadał do wagonu, i odmawiając różaniec, czekał zawezwania do służby. — Opowiadają o nauczycielu wiejskim, który wieczorem po ukończeniu szkoły co tydzień szedł pieszo trzy mile, odprowadzał godzinę adoracji, a spędziwszy noc na wazkiem łóżku stowarzyszonych, po mszy św. odchodził co prędzej, by zdążyć na czas do szkoły. — A czynił to przez lat kilka, bez względu na niepogodę i porę roku.

Bractwo adoracji nocnej Najśw. Sakramentu cenił Dupont, zwłaszcza dla zbawionego wpływu,

jaki wywierало na członków przez przyzwyczajenie ich do częstej Komunii św. Nic mnie tak nie wzrusza—pisał—jak widok ludzi dawniej obojętnych na sprawy wiary, gdy zbliżają się do Boga i cześć Mu oddają w Przenajświętszym Sakramencie. Dla tego też, nie poprzestając na mężach, znanych z gorliwości, zwracał się do ludzi mniej pobożnych, prosił, nalegał, aż wreszcie pozyskał ich do grona członków, a potem z wolna nakłonił do pojednania się z Bogiem. — Nawrócenia dokonywały się w sposób tak nadzwyczajny, że trzeba było w nich podziwiać cudowne działanie łaski Bożej. — W listach swych powraca Dupont bardzo często do tego, jak ważną i konieczną jest rzeczą, przyciągać do Stowarzyszenia jak najwięcej młodzieży. „Niemasz pojęcia — pisze—ile pociechy sprawiają nam młodzieńcy od 18 do 20 lat, sądzę, że przywykając do słodkiej potrzeby, częstej spowiedzi i Komunii św., w razie pokus i doświadczenia daleko łatwiej odniosą zwycięstwo nad szkodliwym wpływem tego świata.“ — Polecając przyjacielowi młodego żołnierza B...—pisze w innym liście: „Nie prawdaż, że dobry to chłopiec? Ale zdumiewa mnie przedewszystkiem pobożność, jaką zdołał zachować pomimo zepsucia panującego w wojsku. Pan Bóg wynagradza mu zapewne jego gorliwość dla dzieła Adoracji nocnej. Dowiedziawszy się o chorobie jednego z towarzyszy, nie zważając na zmęczenie, przepędził na jego intencję całą noc na adoracji. Chory doznał dzięki jego modlitwie znacznej ulgi.“

Nie skończylibyśmy, chcąc wyliczyć wszystkie



przykłady gorliwości, których zresztą nikt nie zapisywał, Bóg jeden wie o nich, On też nie dościgły w swej dobrotliwości, nagradzał stowarzyszenie coraz nowymi łaskami, nieraz cudownymi.

Jedną z pierwszych otrzymano dla ks. Redan, przełożonego Misjonarzy, w których kaplicy zgromadzili się członkowie na adorację. Ks. Redan dla podźwignienia z biedy jednego zacnego człowieka, potrzebował koniecznie czterech tysięcy franków; nie wiedząc z kądby ich dostać, zwierzył się ze swoją troską Leonowi Dupont, który odrzekł bez namysłu: „Wieczorem zgromadzimy się na adorację, zlecenie twe umieszczę między intencjami, sądzę, że jutro będziesz miał potrzebną sumę.“ Ksiądz Redan, który nazajutrz na czas jakiś musiał wyjechać, odprawivszy zgromadzonym członkom mszę św., udał się wprost do powozu. Ciemno jeszcze było i zimno, to też podróżni, otuleni w płaszcze, siedzieli z razu w milczeniu, aż z pierwszym brzaskiem dnia ksiądz Redan poznał w jednym z nich dawnego znajomego i przyjaciela. Ten, niemniej uszczęśliwiony spotkaniem, na pierwszej stacji, biorąc księdza na stronę, rzekł mu:

„Cieszę się podwójnie z naszego przypadkowego spotkania, gdyż, jak ufam, wybawisz mnie z wielkiego kłopotu. Obiecałem Panu Bogu, że w razie pomyślnego ukończenia interesu złożę pewną sumę na rzecz ubogich. Bóg mi pobłogosławił, teraz nadzedł czas dopełnienia obietnicy; zanim cię spotkałem, przemyślałem nad tem, co zrobić z temi pieniędzmi. Ty, który zajmujesz się tylu dobrami

uczynkami, najlepszy zrobisz z nich użytek; zechciej je zatem przyjąć.“ — To mówiąc, wręczył przyjacielowi cztery tysiące franków, sumę, której on właśnie potrzebował. Powróciwszy do Tours, ksiądz Redan opowiedział członkom adoracji nocnej, w jak cudowny sposób modlitwa ich wysłuchaną została. Otrzymałą łaskę naznaczył Dupont krzyżykiem w księdze stowarzyszenia, co odtąd zwykł był czynić przy każdej wysłuchanej prośbie.

A częstą do tego miał sposobność; przytaczać na dowód następujące jeszcze zdarzenie.

Jeden z członków bractwa nieszczęśliwym wypadkiem zmiądzżywszy sobie palec, nie mógł przez kilka nocy z bólu oka zmróżyć. Gdy się dowiedział, że członkowie adoracji mają się zgromadzić przed Najśw. Sakramentem i że modlitwie ich został polecony, pełen ufności, rzekł do żony: „Bądź spokojną, tam bracia modlą się dziś za mnie.“ I rzeczywiście ufność jego nie została zawiedziona. Około północy zasnął spokojnie, cierpienia ustały i odtąd z dniem każdym stan jego się polepszał. „A my, pisze ksiądz d'Outremont, korząc się przed dobrocią Bożą, pobudzaliśmy się do coraz żywszej wiary i nadziei.“

Szatan nie bez zazdrości spoglądał na ten wzrost chwały Bożej i złość swą niejednokrotnie wyrzucił usiłował na świątobliwym śłudze Bożym; ten jednak umiał zawsze odgadnąć i zniweczyć podstępne jego knowania. Pewnego zimowego wieczoru, gdy podług zwyczaju chciano zapalić w piecu przed zebraniem się członków na adorację,

nie wiedzieć z jakiego powodu, tak strasznie z pieca się dymiło, że w żaden sposób nie można było ognia rozniecić. Na to nadszedł Dupont, a widząc co się dzieje, rzekł z wymownym poruszeniem ręki: „A to sprawka „starego“ — tak zwykł był nazywać szatana, chcąc nam przeszkodzić, ogonem wy-miata w piecu. Uklękniemy tylko i odmówmy: Ojcze nasz, Zdrowaś Marya, i idź precz szatanie, a wyniesie się niebawem.“ Co gdy uczyniono, tu-many dymu znikły, a w piecu przez całą noc paliło się jaknajlepiej.

Dom, przytykający do kaplicy księży Łazarzystów, chciano kupić na dom rozpusty; zaniepokojeni tem księża zwierzyli się Leonowi. W pierw-szej chwili sługa Boży zmartwił się ze względu na adorację nocną, wkrótce jednak, pełen żywej wiary, poszedł do wspomnianego domu, rozrzucił w nim medaliki św. Benedykta, a wracając rzekł z uśmiechem: „Teraz już dobrze, możecie być spokojni, *stary* będzie miał co innego do roboty i nie pomyśli o dręczeniu was.“ Istotnie projekt, którego tak się lękano, upadł, a dom został własnością zgromadzenia zakonnego. Pomyślną tę zmianę przypisywali księży Łazarzysci żywej wierze świę-tobliwego swego przyjaciela.

Miłość prawdziwa pragnie działać coraz sze-rzej, nie zna granic ani spoczynku, u niej nie masz nic niepodobnego, ale jako płomień żywy i prze-nikliwy, z pośród wszelkich zawał bezpiecznie ulata i wciąż się rozlewa. To też wkrótce Dupont, nie ograniczając się na mieście Tours, postanowił

i w innych miejscowościach zaprowadzić adorację nocną, zaciągając jaknajwięcej członków do tego wojska, które w szyku bojowym zgromadzone nocą przed Ołtarzem Pańskim, modlitwą walczyło ze sprawiedliwością Boską.

„Wielkie dzieło zadosyćuczynienia — mawiał często — słusznie mężczyznom podjąć się należy, bo czyż to nie oni bywają przywódcami buntów bez-bożnych? Czyż nie przez nich wymyślona została kłamliwa filozofja? Czy nie oni szerzą ją po świe-cie? Gdyby w ubiegłym wieku kobiety nie były modlitwą Boga błagały, cóżby się było stało z cy-wilizacją? Ogień z nieba byłby pożarł ludzi, zwie-rzęta, miasta i wioski. Czas wielki, aby mężczyźni łączyli się w wspólnej trosce około spraw wiary. Sko-ro dzień zajmuje nam praca o chleb powszedni i różnorodne zabiegi, poświęćmy nocę Bogu, i od-dając Panu Jezusowi winną cześć i pokłon, stańmy się Jego przyjaciółmi i współpracownikami! O gdy-bym mógł, idąc od domu do domu zachęcać ludzi dobrej woli do otwarcia swego serca na przyjście tak miłościwego Pana.“

„Pisałem do trzydziestu mniej więcej miejscowości, mówił innym razem. Widocznem jest, że Pan Bóg, jak ów ojciec w przypowieści o synu marno-trawnym, czeka tylko naszej pokuty, aby zmiłować się nad nami. Biegnijmy zatem do niego nie zraża-jąc się tem, że jesteśmy tak nędzni, jak ów syn z Ewangelji i obok naszej nędzy ofiarujmy Bogu nieskończone zasługi Jezusa Chrystusa.“

Licznych swych przyjaciół i znajomych, rozrzu-

conych po całym kraju, zaciągał Dupont do szeregu bractwa, ustnie i listownie nie poprzestając zachęcać do gorliwości w działaniu. — A gdy oni nawzajem uciekali się do niego po radę, powierzali mu swe troski, odpowiadał na każde wezwanie, wchodząc w najdrobniejsze szczegóły, gdyż dla adoracji nocnej nie szczędził ani czasu ani pieniędzy. — Niekiedy zbierał deputację od stowarzyszenia w Tours i na jej czele udawał się do miasta, gdzie ulubione dzieło zamierzał zaprowadzić, lub ustalić, — łączył się z tamtejszymi członkami i podczas wspólnie odprawianych adoracji, zagrzewał ich własnym przykładem. — Czasem wzywał do Tours gorliwych chrześcijan, by spędziwszy z nim razem noc na modlitwie, nauczyli się jak u siebie rzecz przeprowadzić. — Wszyscy powracali do domu, zachwyceni świętobliwością męża Bożego.

W przejeździe do Neris, miejscowości słynnej wodami, które doktorzy zalecili Leonowi na wzmagającą się pedagrę, w mieście Bourges spóźnił się przypadkiem na pocztę i do następnej musiał czekać całe dwadzieścia cztery godzin. — Co tu robić z czasem? — Nie wiele myśląc udaje się do przelozonego Jezuitów, mówi mu o adoracji nocnej i razem z nim krząta się około pozyskania dla niej ochotników, co mu się też w zupełności powiodło.

Tak samo korzystając ze swych licznych podróży, wielki ten miłośnik Najświętszego Sakramentu wszelkimi siłami pracował nad rozszerzeniem dzieła wynagradzania. — W najdrobniejszych okolicznościach umiał dostrzedz wskazówkę woli Bożej, —

z każdej korzystał i to ze spokojem i pogodą ducha, — a zawsze prawie z pomyślnym skutkiem.

Tym sposobem przyczynił się mniej lub więcej do zaprowadzenia adoracji nocnej w bardzo wielu miejscowościach, ukrywając jednak ile możności własny swój wpływ, a posługując się gorliwymi współpracownikami. Byli to po większej części wyżsi oficerowie, stojący załogą w coraz to innych miastach, kapitanowie okrętów, — a nawet znalazł się między nimi pewien pobożny podróżujący kupiec, przez którego Dupont aż w Hiszpanji szerzył nabożeństwo adoracji nocnej. — Duszą i ciałem był oddany temu dziełu. — Trudno wypowiedzieć, jak bardzo było mu ono miłym i drogim. — Świecił rocznicę powstania adoracji nocnej w Tours, — gorliwość jego zdawiała się wtedy, a serce przepelniało niebiańskim weselem.

Noce, poświęcone adoracji, były dla Leona prawdziwym wytchnieniem po znoju całodziennym. — Natura domagała się jednakże niekiedy praw swoich, — znużenie przemagało, sen kleił mu powieki. — Oto w jak prosty i naiwny sposób wyznaje swą słabość: „Pewnej nocy, gdy klęcząc przed ołtarzem odbywałem naznaczoną godzinę adoracji, zasnąłem mimowoli; tak wielką jest słabość ludzka. Ocknąwszy się spostrzegłem, że towarzysz mój spał również, — był to biedny wyrobnik, zmęczony pracą, — który wychodząc z kaplicy miał nieledwie zaraz do niej powrócić. — Żał mi było obudzić biedaka, przekonany zresztą, że snem swym lepiej Boga chwali ode mnie, zwróciłem się do Pana Jezusa, ukrytego

w Przenajśw. Sakramencie, mówiąc, pełen zawstyżenia i upokorzenia: Boże mój, Boże! jakże źle jesteś strzeżonym! Za karę, postanowiłem, przez resztę nocy nie zażywać tabaki. Ale nie upłynęło i pięciu minut, gdy zapomniawszy o tem, schwyciłem się na gorącym uczynku. — Boże mój, Boże! — zawołałem raz jeszcze z wrastającym upokorzeniem, — jakże źle jesteś strzeżony.“

Wydarzenie to opowiadał jeden z przyjaciół Leona, który wprost od niego dowiedział się o tem, rękując za wierne powtórzenie tego co słyszał; tak niezatarte wrażenie wywarło na nim każde słowo. — Odzwierciadła ono zresztą naiwną prostotę tego służy Przenajśw. Sakramentu. — Pokorny, wyrozumiały dla drugich, — sądził, że pełna szacunku poufałość, podoba się więcej Panu Jezusowi od skrupulatnych udręczeń i natężenia umysłu.

Najżywszem pragnieniem jego było rozpowszechnianie adoracji nocnej. „O kiedyż — wołał, czczonym będzie Pan Jezus dzień i noc we wszystkich parafjach świata katolickiego! o wtedy kościół tryumf swój święcić będzie.“ „Jakim sposobem, mawiał jeszcze, przywieść do owczarni Chrystusowej tych, którzy o Kościele zapomnieli, lub od niego się odłączyli? Na to jedynym środkiem: modlitwa wierzących, i to modlitwa wspólna, uświęcona tyłu łaskami w pierwszych czasach chrześcijaństwa. A najlepiej modlić się będziemy, zbierając się w jednej myśli u stóp Pana Jezusa, czcząc Go, przeprasząc, wynagradzając zniewagi wyrządzone, okazując Mu

potrzeby nasze.“ — O, gdyby myśl ta mogła urzeczywistnić się w całym świecie, jakże wielkiem szczęściem byłoby to dla obecnej generacji.

## ROZDZIAŁ X.

### Stowarzyszenie pod opieką św. Marcina.

Zupełnie oddany pełnieniu uczynków miłosierdzia i pobożności, Leon wziął sobie za wzór życie i postępowanie Marcina św. Z poprzedzających rozdziałów znaną już jest cześć jego dla wielkiego Apostoła Galji, oraz usilne pragnienie rozbudzenia w sercach swych współmieszkańców dawnego nabożeństwa ku szczególnemu ich patronowi, i odbudowania bazyliki, zniszczonej przez rewolucję Wiemy, jak gorące zanosił o to do Boga modły, a zanosił je dzień i noc wytrwale przez lat czterdzieści. Ale niestety zrazu mało bardzo osób dzieliło jego nabożeństwo, a mniej jeszcze nadzieję odbudowania bazyliki, gdy wbrew wszelkim rachubom i przypuszczeniom ludzkim, skromna filantropijna instytucja, powstała za namową i staraniem Leona, miała dać pochop do spełnienia się jego gorących pragnień. Przekonawszy się niejednokrotnie, jak podartem i nędznem bywa często odzienie, rozdawane biednym i jak je wtedy mało sobie waży, Dupont postanowił z tego rozdawnictwa uczynić osobne dzieło pod szczególną opieką św. Marcina. Skłoniła go do tego



zapewne pamięć na to, że święty ten żołnierz połowę swego płaszcza oddał ubogiemu. Dupont widząc w biednych samego Pana Jezusa, chciał Go w nich uczyć i od nagości zasłonić. W tym celu kwestowano po domach stare odzienie, naprawiano je, a o ile środki pozwalały, kupowano nowe. Z początku dzieło miało niejaką trudność do zwalczania, wkrótce jednak ogólną otoczone życzliwością, rozwinęło się pomyślnie, tak że w pierwszych zaraz czterech miesiącach rozdano trzysta nowych ubrań. Dupont był duszą i głównym kierownikiem stowarzyszenia, podtrzymywał je bezimiennymi datkami, idąc jednak za zwykłym popędem, ukrywał się ile możności, usuwał od jawnego działania, oddając się głównie gorącej modlitwie w przekonaniu, że praca bez pomocy Bożej i przyczyny świętego patrona nie przyniesie trwałych owoców. Członkowie stowarzyszenia usiłowali rozpowszechnić cześć św. Marcina; przed uroczystością tegoż świętego odprawiono w katedrze solenną nowennę, a na zebraniu członków, Arcybiskup przychylnie przyjął pierwszy raz podniesiony projekt odbudowania bazyliki. Gdy jednak trudności mnożyły się a dzieło zdawało się być zupełnie zahwiane, Dupont choć w głębi serca bolał nad tem, nie tracąc zwykłego spokoju ducha, z wielką wiarą i ufnością szukał w modlitwie rady i pomocy. Odbывał pobożne pielgrzymki zrazu prywatnie w towarzystwie członków bractwa świętego Marcina, a potem publiczną, za zezwoleniem Arcybiskupa. Ten uroczysty obchód, w którym wzięła udział znaczna liczba duchowieństwa, wielką przejął radością na-

szego pielgrzymą; był to pierwszy początek uroczystych pielgrzymek, odprawianych odtąd we Francji do miejsc cudownych. Pan Bóg nagrodził tak żywą wiarę; wspólne gorące modły nie pozostały bez skutku, wkrótce zdołano oznaczyć na pewno miejsce, gdzie pierwotnie znajdowała się bazylika, a nawet odnaleziono ślady grobowca świętego apostoła. To też gdy nowe powstawały trudności, Dupont powtarzał: „Uciekajmy się do wielkiego środka.“ Organizowano nowe pielgrzymki i nigdy napróżno. Ufność jego została również nagrodzona wielu szczególnymi łaskami, a zwłaszcza dwoma zupełnie cudownymi uzdrowieniami.

Grób św. Marcina był punktem zbornym, około którego gromadziły się tłumy pobożnego ludu, zarówno jak i najwybitniejsi przedstawiciele katolickiego świata. Świątynia pierwotnie wzniesiona okazała się za małą, to też na serjo zaczęto myśleć o odbudowaniu bazyliki, ile możności takiej samej, jaką była w wieku jedenastym. Sporządzono plany, radzono nad środkami; a wszystkim zajmowało się przeważnie towarzystwo świętego Marcina. Zbierano się w mieszkaniu Leona, który, przyciśnięty wiekiem i cierpieniami, nie mógł z domu wychodzić. On, który pierwszy był powziął myśl odbudowania bazyliki, aż do ostatniego tchnienia nie przestał nią się zajmować, z wiarą niczem niezachwianą modlił się, działał, a w razie przeciwności, krzepił nadzieją, dodawał otuchy. Jeśli przeto kiedyś wielkie dzieło szczęśliwie dokonaniem zostanie, będzie to można przypisać w znacznej części działaniu i mo-

dlitwom tego męża Bożego. Zauważyć jeszcze należy, że do odbudowania bazyliki pobudzało głównie Leona pragnienie wynagrodzenia za czyn bezbożny i szatańską zniewagę, wyrządzoną Bogu przez zburzenie świątyni Jego. Dla wynagrodzenia tej zbrodni trzeba wznieść na nowo co było zniszczonem, dla tego Dupont nie chciał, choćby najpiękniejszego nowożytnego kościoła, ale koniecznie bazylikę, jeśli nie zupełnie taką samą, to przynajmniej w tych samych rozmiarach i równie imponującą, jak była niegdyś. W ten sposób, myślał, obecna generacja zmaże zbrodnie ojców, ofiarując Bogu godne zadośćuczynienie i pokona szatana, odwiecznego wroga świętego Marcina, i to tam, gdzie tenże sądził się niezwyciężonym.

## ROZDZIAŁ XI.

### Szatan i medaljonik św. Benedykta.

Charakterystyczną cechą Leona była nienawiść, jaką na każdym kroku okazywał złemu duchowi. Od św. Marcina, do którego tak wielkie miał nabożeństwo, nauczył się walczyć z tym wiecznym nieprzyjacielem rodu ludzkiego bronią wiary i modlitwy. Za przykładem św. biskupa z Tours utrzymywał, że bezustannie trzeba go pokonywać i opór mu stawiać. Pełen żywej wiary upatrywał pośrednie, lub bezpośrednie działanie szatana w wielu wypad-

kach, gdzie inni nie domyślali się nawet jego wpływu. Tak szybki postęp rewolucji, coraz większe szerzenie się jej ducha i zasad, przypisywał wpływowi złego ducha; w jego mniemaniu był to niejako szatan widocznie działający. To też zachęcał wszystkich do ścisłego jednoczenia się z Panem Jezusem i do gorącej modlitwy w celu oparcia się szatanowi, który wiedząc, że Kościół zapanuje zwyciężko nad nawałnicą bezbożności, podwaja teraz swe wysiłki, chciałby od razu pożreć obecną generację, tak przywykłą do ślepego ulegania djabelskim jego podszeptom. Zwłaszcza młodzież upominał Dupont, aby miała się pilnie na baczności, gdyż jak mawiał, szatan wszędzie lubi się weisnąć, w talję kart, w instrument muzyczny, w pukiel u-fryzowanych włosów, w łyżkę zupy. Przejęty duchem św. Marcina w najdrobniejszych nawet przeszkodach i przeciwnościach umiał rozpoznać działanie szatana.—Pewnego dnia wstąpiwszy przypadkiem do kaplicy, poświęconej temu wielkiemu biskupowi, spostrzegł kilka osób skupionych około skarbonki i napróżno silących się by ją otworzyć. Dupont uwiadomiony o co chodzi, bynajmniej się nie zdziwił, ale wzruszywszy ramionami, rzekł do obecnych: „To nowa sprawa nędznika.“ Następnie biorąc klucz, zanurzył go w wodzie święconej i oddał zakrystjanowi, a ten z największą łatwością otworzył wspomnianą skarbonkę. W tym wypadku Dupont użył środka, wskazanego przez św. Teresę, która własnym nauczonym doświadczeniem, zeznaje, że jakkolwiek potężnym jest szatan, z łatwością odpędzić

go można trochę wody święconej, użytej z wiarą i pokorą.

Złe pisma i książki przejmowały zgrozą Leona, gdyż za ich to przyczyną wpływ djabelski najwięcej się rozszerza. „Pióro oddano na służbę szatanowi—mówił—i to jest powodem tylu klęsk, dręczących ludzkość.“ Zachęcał też wymownie pisarzy katolickich, aby bronili sprawy Kościoła św. „Święty Michał występując po raz pierwszy do walki z szatanem, spełnił rozkaz Boży. Bój trwa dotąd, nic nowego pod słońcem, to znaczy, że Bóg powołuje coraz to nowych obrońców. Chwała tym, którzy zostali wezwani za dni naszych, gdy piekło podwaja wściekłość swą przeciw wybranym.“ A na innym miejscu dodaje: „Uzbrojony żywą wiarą, nie powinien się lękać się wojska, do boju gotowego. Odwagi, chociaż głowa zwierza piekielnego bezustannie odrasta: o jakże wieczność będzie dla niego długą.“

Dupont utrzymywał, że potrzeba, aby szatana ogólnie znano, w tej też myśli pisał: „Pan Bóg powołał cię na to, aby przez ciebie dzieciom swym dać poznać złość szatana. Wielka to jest łaska w wieku obecnym, który, zaprzeczając istnieniu złego ducha, przez to samo służy jego sprawie.“ Św. Paweł mówi, że żydzi nie byliby ukrzyżowali Pana Jezusa, gdyby Go byli znali, — z równą słusznością możemy powiedzieć, że szatan miałby mniej zwolenników, gdyby był lepiej znany. Walcz słowy, jak niegdyś Dawid procą przeciw Goljatowi.“

Coraz nowe objawy wściekłości piekielnej zamiast przestraszać Leona, przeciwnie wlewały w ser-

ce jego otuchę szczęśliwej przyszłości, były dlań dowodem bezsilnego gniewu szatana wobec niespodzianych objawów wiary katolickiej. „Zbuntowany anioł—mawiał—upadając, został pozbawiony pierwotnej piękności, ale potęga jego jest zawsze bardzo wielką. Łańcuch ma obecnie długi, korzysta z tego; ufam jednak, że wkrótce otrzyma rozkaz powrócenia do psiarni.“

Jako najskuteczniejszą broń przeciw szatanowi zalecał wiarę i modlitwę. „Uzdienica zwierza zwolniona, czas wielki krzyknąć na niego: stój! a potem: idź precz — a skoro jeszcze nie usłucha, gdyż jest mu to nieskończenie przykrem, należy go zgromić słowy Zbawiciela świata: Idź precz szatanie!—O gdybyśmy byli zawsze pełni żywej wiary, zgotowalibyśmy mu niejedną bolesną chwilę.“

Dupont miał jeszcze właściwy sobie, a oryginalny sposób walczenia z szatanem, polegający na upokarzaniu tego ducha pychy. Odzywał się o nim z największą pogardą, a utrzymując, że nazwa *Antiquus serpens*, starego węża, jaką daje mu Pismo św., przypominająca mu pierwszy grzech i upadek, jest dlań najsromotniejszą, zwał go po prostu starym. „Na to słowo — mówił Leon — wścieka on się formalnie i ucieka zawstydzony. Chcesz się o tem przekonać? W chwili pokusy powiedz szatanowi: o stary, znamy cię tu, precz ztąd! Pyszny jest, nie lubi, aby go tak nazywano, obraża się o ten przydomek.“

Przyrównując szatana do psa wściekłego, wyobrażał sobie, jak tenże przez wiele lat panoszył się

wszechwładnie na zwaliskach bazyliki św. Marcina, i jak się teraz gniewa, haniebnie wypędzony z miejsca, które jak sądził, zagarnął już na zawsze. To porównanie szatana z psem wściekłym wziął Dupont z Pisma świętego, z Psalmu XXI. „Wybaw mię z paszczęki lwiej—a z ręki psiej jedynaczkę moją,“ (22—21).

„Niechaj Bóg, pisze do pewnego autora, podwoi siły twoje do walki ze złym duchem. Gryzie on, ale tylko dopóty, dopóki pozwoli mu łańcuch, na którym jest uwiązany. Modlitwa jest dla niego tem, czem dla psa rozżarzony węgiel; sparzony, porzuca natychmiast zdobycz.“

Rozmawiając z przyjaciółmi o szatanie, wyśmiewał się Leon z jego rogów, nosa, ogona; wyrażał się o nim w sposób pogardliwy, zowiąc „starym kłamcą,“ „zwierzem,“ „prosięciem“; wyobrażał sobie, że z gniewu gryzie własny ogon, lub żuje go, jak cygaro. Podobne surowe wyrażenia zadziwiać mogą w ustach człowieka, tak dobrze wychowanego i pełnego delikatności. Czyniono w skutek tego zarzut Leonowi, a on tłumaczył się: „Nie chęć źle o nim myśleć, trzeba by zupełnie zaprzeczyć jego istnienia, co w dobrej wierze czyni wielu ludzi, przez niego w pole wywiedzionych. Konieczną jest walka na śmierć z tym zwierzem ziemnowodnym, jeśli można tak nazwać istotę żyjącą w piekle, a równocześnie zdolną przebywać na ziemi. Sami z siebie nie mając nad nim władzy, ani też nie mogąc uwięzić go w piekle, uciekajmy się do Serca Jezusowego po broń, za pomocą której zwyciężymy go tu na ziemi.“

Szatan, inszując się zaciekłości, z jaką Dupont gromił go bezustannie, w dotykany też sposób usiłował wyrzucić na nim złość swoją, tak samo, jak to już czynił względem św. Marcina i wielu innych świętych. Dupont niechętnie mówił o tych sprawkach djabelskich, przypadkiem tylko uczynione zwierzenia pozwalają ich się domyślać. I tak pewien wiarogodny świadek zeznaje, że Dupont kilkakrotnie wspominał mu o walkach, jakie staczać musiał podczas nocy, poświęconych Adoracji Przenajświętszego Sakramentu. Raz nawet uczuł się w górę podniesionym i spadł w poprzek na łóżko.

Adoracja nocna była, podług Leona, jednym z najpotężniejszych środków do zwyciężenia piekielnego nieprzyjaciela, który w nocy z największą uderza zaciekłością; wówczas to jego zwolennicy największe popełniają wybryki, a chrześcijanie, przeżegnawszy się znakiem krzyża św., spoczywają pod strażą Aniołów świętych. „Pomnażajmy w nas miłość Bożą—pisał Dupont, świętym uniesiony zapalem—a szatan, w którego sercu zamiast miłości zamieszkała nienawiść, będzie zniewolony wynosić się co rychlej; on tylko w ogniu piekielnym swobodnie się porusza.“ Przeciwno szatanowi obmowy zalecał sposób, niestety wielu bardzo ludziom potrzebny, a polegający na tem, aby, wychodząc z kościoła, usta i język dotknąć wodą święconą, natenczas, jak mówił, złośnik nie skala ich, przynajmniej przez czas pewien. Ale bronią, której używał najczęściej i którą uważał za najpotężniejszą przeciw szatanowi, były medaliki św. Benedykta.—Odną-



lazlszy ich wzór pierwotny, kazał na nowo odbić, sprowadzał tysiącami, pełne miał ich zawsze kieszenie, rozdawał osobom, które spotykał, i w dalszą drogę nigdy się bez nich nie puszczał.

Roku 1839 słynny pewien magnetyzer zatrzymał się w Tours, aby dać kilka przedstawień w dawnym kościele, zamkniętym i sprzedanym podczas rewolucji, a przytykającym do klasztoru Karmelitanek. Dupont, dowiedziawszy się o zamierzonym przedstawieniu, udał się do przełożonej Karmelitanek z zapytaniem, czy chce mu dopomóc do splatania figła szatanowi. „Bardzo chętnie“—odrzekła pobożna zakonnica. Wtedy Dupont polecił jej modlić się gorąco do św. Benedykta, a przed samem rozpoczęciem przedstawienia medalik jego powiesić na murze wspomnionego gmachu; co też wiernie wykonała. Tymczasem tłumy ciekawych podążyły na wezwanie magnetyzera, ale oczekiwanie ich zostało zawiedzionem. — Magnetyzer używał do swych przedstawień dziewczynki, lunatyczki, jak mówiono, obdarzonej podwójnym wzrokiem; zwykle była posłuszną na każde skinienie; dziś jednak żadnej nie miał nad nią władzy. Zawstydzony, tłómacząc chorobą nieudane przedstawienie, odłożył je na dzień następny. I tym razem rozczarowanie było zupełne, magnetyzer ze wstydem opuścił miasto ku wielkiej radości Leona, który, zacierając ręce, cieszył się zwycięstwem, odniesionem nad pomocnikiem odwiecznego wroga swego.

W fundamenta nowopowstających gmachów, lub około mieszkań, od których chciał odstraszyć złego

ducha, zwykł był Dupont rozrzucać pełno medalików św. Benedykta. W ten sposób zużył ich bardzo wiele, gdy chodziło o nabycie domów, potrzebnych do odbudowania bazyliki św. Marcina, a korzystny obrót tej sprawy przypisywał ich pomocy.—W pobliżu Tours stawiano dom, pracując nad nim nawet w niedzielę ku wielkiemu zgorszeniu okolicznych mieszkańców. Dupont, spostrzegłszy to przypadkiem, w szparę budującego się domu wcisnął medalik św. Benedykta; nazajutrz robotnicy ze zdumieniem ujrzeli całą swą pracę zburzoną.

Największą jednak radością napełniały Leona liczne nawrócenia, uzyskane za pomocą tego medalika. Roku 1854 w jednym z dobroczynnych zakładów przygarnięto sparaliżowaną kobietę, która dotąd prowadziła bardzo złe życie, a teraz jeszcze miotała tak okropne słowa i bluźnierstwa, że powszechnie miano ją za opętaną. — W żaden sposób nie chciała pozwolić, aby ją z łóżka ruszono; pewnego dnia Siostry przeniosły ją jednak niespodzianie do sąsiedniej sali, a wyrzuciwszy z łóżka worek z bardzo podejrzaniem przedmiotami, na to miejsce położyły medalik św. Benedykta. Podczas przenoszenia owa kobieta wymyślała na poświęcające się dla niej zakonnice, ale zaledwie napowrót na łóżko położona, uspokoiła się, rozpogodziła złością skrzywione rysy i zażądała ostatnich Sakramentów św.

W kilka dni z uczuciem najgłębszej pobożności przyjmowała Pana Jezusa, szczęśliwa z uwolnienia od sidła szatańskich. Odtąd zachowywała się wzorowo.

Niemniej zadziwiającem jest inne nawrócenie, które Dupont w następujący opisuje sposób: „Wczoraj 14-go marca 1850 r. spotkałem pewnego znajomego księdza, zaniepokojonego losem siedmnaścieletniego młodzieńca, który tak bardzo chorym powrócił z Paryża, że doktorzy przepowiadają mu zaledwie kilka dni życia. Ksiądz ów skarżył się, jako trzykrotnie chciał się widzieć z nieszczęsnym młodzieńcem, rodzina nie chciała go jednak doń wpuścić. Dałem mu medalik św. Benedykta, zachęcając do ponownej próby. Kapłan posłuchał mej rady, i oto co zaszło. Gdy znów od chorego oddalić go chciano, pokazał medalik, mówiąc, że przynosi go młodzieńcowi. „A to co innego—odrzeczono mu zaraz—proszę, wejdz ksiądz dobrodziej.“ Chory, spostrzegłszy kapłana, zasłonił twarz rękoma, ale posłyszawszy prośbę, aby zechciał przyjąć medalik, zaraz się uspokoił i z największem przejęciem spowiedź odprawił.“

Wieczorem tego samego dnia pewna kobieta, która przez całe życie niewiele troszczyła się o Pana Boga, bliską będąc śmierci, nie chciała słyszeć o spowiedniku. Skoro jednak włożono na nią medalik, sama zażądała kapłana, niecierpliwiąc się każdą chwilą zwłoki, a pojednawszy się z Bogiem, umarła w ciągu dwóch godzin.

Najgwałtowniejsze namiętności i występki, najwięcej zakorzenione, ustępowały pod cudownym działaniem medalików, rozdawanych przez Leona.

Pewnej kobiecie, skarżącej się na zgubny nałóg męża pijaka, trwoniącego w szynkowni zarobione

pieniądze, dał Dupont jeden taki medalik, z poleceniem, aby go umaczała w winie, które mąż jej pije przy obiedzie. Zaraz tego samego dnia kobieta spełniła to zlecenie; zaledwie jednak mąż podniósł do ust szklanekę, gdy odstawił ją, wołając: „Coś ty zrobiła z tem winem? pić go nie można.“ I zagniewany udał się do gospody, którą późno w noc zwykł był dopiero opuszczać. Tym jednak razem za kwadrans był już z powrotem, narzekając, że tam wino jeszcze gorszem mu się wydało. „To oczywisty spisek“—mówił do żony. Noc przeszła niezwykle spokojnie; nazajutrz i dni następnych wino zachowało dlań ów dziwny niesmak, tak, że z konieczności był zniewolony na wodzie poprzestać. Co więcej za pomocą łaski Bożej, żona zdołała skłonić go do pojednania się z Bogiem i poprawy życia.

Tak wielką i nadprzyrodzoną moc przypisywał Dupont medalikom św. Benedykta, że nie wahał się używać ich nawet do usunięcia zarazy lub innej jakiej choroby u zwierząt. Przeciw wzburzonym żywiołom ognia i wody niemniej były skuteczne, przekonywamy się o tem z listu osoby, której Dupont zlecił ich rozpowszechnianie, a która pisze między innemi: „Stosownie do życzenia Pańskiego, mam zawsze przy sobie i rozdaję dużo medalików św. Benedykta. Podczas wielkiego pożaru poleciłam, aby wrzucono kilka w palący się dom, a ogień ustał natychmiast.“

W r. 1858, pamiętnym dla miasta Tours niezwykłym wylewem rzeki Loary, obawiano się czy

tama zdoła powstrzymać siłę wody i w skutek tego panował w mieście wielki niepokój. Inżynierowie pracowali nad wzmocnieniem nasypu; co widząc Dupont wzruszył tylko ramionami i rzekł: „To wam się na nic nie przyda.“ Po chwili, przynosząc garść medaljoników, rzucił je do wody w miejscu najwięcej zagrożonem i odszedł, spokojny o los mieszkańców. Istotnie miasto zostało ocalone, dzięki oporowi, jaki stawiała właśnie ta część tamy.

Własnoręcznie spisał długi szereg przykładów cudownego działania medaljoników św. Benedykta, z których kilka co dopiero przytoczyliśmy. Rzecz całą kończy temi słowy: „Czas zatem wielki uznać i głosić publicznie, że obok tylu innych łask niemalym darem Opatrzności dla naszego wieku jest medaljonik św. Benedykta, udzielony nam jako broń przeciw szatanowi, w celu wypędzenia go z dusz naszych; gdyż on to stanowi najważniejszą przeszkodę do swobodnego działania w nich łaski Bożej.“

Według zdania Duponta, moc tego medaljonika polegała na wrytych nań słowach Pana Jezusa: „*Idź przecz szatanie.*“ W tem mniemaniu utwierdzało go objawienie Zbawiciela, który był wyrzekł do św. Gertrudy: „Najcenniejszą relikwią, jaką wam zostawiłem, są *słowa* moje.“ Niemniej przeto cenil Dupont odbity na medaljoniku krzyż i wizerunek św. Benedykta, twierdząc, że wielkiemu temu patriarsze udzielił Bóg przywileju pouczenia nas, jak wysoki stopień wiary i ufności powinien ożywiać

serca nasze, abyśmy mogli prawdziwie odstraszyć złego ducha, mówiąc mu: „*Idź precz szatanie.*“

## ROZDZIAŁ XII.

### Pismo święte.

W listach Duponta, pochodzących nawet z najwcześniejszej epoki jego życia, znajdujemy pełno cytat z Pisma św.; w rozmowie również przytaczał je co chwila z zadziwiającą łatwością i umiejętnem zastosowaniem, świadczącym wymownie jak się w niem rozczytał i umiał prawie na pamięć. Na środku pokoju, w którym spędzał dzień cały, miał osobne biurko, a raczej wysoki pulpit, na którym spoczywały zawsze dwie wielkie biblje, jedna francuska, druga łacińska: przerzucał je co chwila, szukając dosłownego brzmienia tekstu, który był mu właśnie potrzebny. A tak doskonale znał całe Pismo św., że bez wahania znajdował odpowiednie miejsce. Prócz tego komentował i tłómaczył księgi św., w właściwy sobie prosty, a głęboki sposób; rzadko tylko uciekając się do uczonych wywodów, porównywał zazwyczaj różne ustępy, a znajdował w nich tyle związku i podobieństwa z codziennymi bieżącymi zdarzeniami, że zachwycony tem i uszczęśliwiony, w wymownych słowach wylewał z głębi serca pobożne uczucia i wniosłe myśli. W rozmowie lada

zwrot dawał mu sposobność do przytaczania odpowiedniego ustępu Pisma św. Każde jego słowo wymawiał z namaszczeniem i uszanowaniem, powtarzał po kilka razy, ciesząc się niem i podziwiając jego piękność. Czynił to z taką prostotą i z takim zapalem, że na obecnych ogromne wywierał wrażenie; można go było słuchać całemi godzinami.

Jakkolwiek znał i cenil zarówno wszystkie części Pisma św., w szczególniejszy jednak sposób zachwycal się kilku postaciami Starego Testamentu. W Nabuchodonozorze naprzykład, tak niezwykłą otoczonym wielkością, upatrywał przedstawiciela nicości ludzkiej w obec wszechpotęgi Boga. „Widzę jeszcze Leona—mówił naoczny świadek—jak z wyrazem najgłębszej pokory czytał słowa Nabuchodonozora: Podniosłem w niebo oczy moje, a rozum mój był mi przywrócon; i błogosławiłem Najwyższego... I wszyscy obywatele ziemscy u niego (Boga) za nie są poczytani.“ (Dan. IV, 31 i 32).

Wielką też cześć żywił dla Joba sprawiedliwego, gdyż jak mówił: „Job jest doskonałą figurą Zbawiciela świata. Modli się za fałszywych swych przyjaciół, na siebie ściąga gniew Boży, a dla nich zyskuje przebaczenie. Istotnie jest to sprawiedliwy, cierpiący za grzeszników.“ Jeden z blizkich znajomych Duponta opowiada o nim: „Pewnego dnia mąż Boży zaraz na wstępie przyjął mię zapytaniem, które zrazu niemało mnie zdziwiło: Modlisz się też czasem do Joba sprawiedliwego? Przyznać muszę, że nie,—odrzekłem,—jakkolwiek wobec mego gwałtownego usposobienia powinienem prosić go o cier-

pliwość, której tak bardzo potrzebuję. Źle czynisz, nie modląc się do tego wielkiego Patryarchy—odpowiedział Dupont, i w otwartej biblji wskazał mi następujący ustęp z księgi Joba: Idźcie do sługi mego Joba, a ofiarujcie całopalenie za siebie: a Job sługa mój będzie się za was modlił: oblicze jego przyjmę, aby wam głupstwo nie było poczytane.“ (Job 42, 8).

Widzisz, Pan Bóg obiecał wysłuchać Joba sprawiedliwego—dodał następnie—a nikomu innemu nie uczynił podobnego przyrzeczenia, uciekajmy się więc do jego pośrednictwa.—„Modląc się za drugich, nigdy nie tracimy czasu—mówił innym razem—Pan zlitował się nad Jobem, gdy tenże modlił się za przyjaciół.“ Pismo św. było dla Duponta źródłem światła niebieskiego i pociech obfitych; pragnąc, aby i inni ludzie mogli obficie czerpać z tego źródła, zachęcał ich do rozczytywania się w Piśmie św., a zwłaszcza w listach św. Piotra i Pawła. „Listy te—mawiał—pisane są niejako do każdego chrześcijanina z osobna, a myśl ta szczególny posiada dla mnie urok. Pan Jezus powiedział apostołom: Nauczajcie wszystkie narody—i oto, wypełniając rozkaz Pański, piszą listy dla tych, którzy ich słów słyszeć nie mogli.“

Pewna pobożna pani po śmierci męża, chcąc prowadzić życie prawdziwie chrześcijańskie i oddane dobremu uczynkom, udała się po wskazówki pod tym względem do Leona. Mąż Boży, zamieniwszy z nią zaledwie słów kilka, począł jej czytać ustępy z listu św. Pawła o obowiązkach wdowy chrześcijańskiej,



a czytał go z tak nabożnem wzruszeniem, że słowa Pisma św. tem silniej przenikały do jej serca, niezatarte pozostawiając wrażenie.

Biskup d'Outremont, zeznając, iż podobnie jak wielu innych kapłanów Leonowi zawdzięcza przejęcie się Pismem św., mówi: „On to przelał we mnie upodobanie do zgłębiania wiary świętej i był pierwszym moim nauczycielem na tej drodze. Zapamiętałem wiele jego spostrzeżeń i komentarzy i cieszę się, gdy mi się teraz przypominają.“

W żywotach świętych pańskich i wielkich mężów chrześcijaństwa spotykamy niejednokrotnie wzmiankę o wielkiej czci, jaką żywili względem Pisma św.; niektórzy czytali je tylko klęcząc, inni nosili na sobie, lub w kosztownej zamykali oprawie. O ile jednak wiemy, nikt inny prócz Leona nie powziął myśli, aby nabożną swą cześć dla Słowa Bożego okazać w ten sposób, by dniem i nocą palić przed niem lamkę, tak samo, jak to czynimy przed Najświętszym Sakramentem. Pełen żywej wiary, mawiał: „W każdym słowie Pisma św. widzę całego Pana Jezusa.“ Palenie lampki było zatem w myśli jego aktem wiary, a także i aktem zadostojowania za bluźnierstwa tylu ludzi bezbożnych, albo nieoświeconych w rzeczach wiary, którzy, nie uznając boskiego pochodzenia Pisma św., widzą w niem zwykłe dzieło ludzkie. Myśl palenia lampki powziął i wykonał Dupont 29 marca 1865 r., była to ważna chwila w jego życiu; najbliżsi jednak tylko przyjaciele zauważyli małe światelko, umieszczone w rogu biórka naprzeciw wielkiej księgi Pisma św. Druga

lampka paliła się również bezustannie przed cudownym wizerunkiem Oblicza Pańskiego, a pomiędzy temi dwoma światłami, mającemi na celu zadostojowanie Bogu za bluźnierstwa, płonęło życie Leona, tego męża sprawiedliwego, gorejącego miłością Boga i dusz ludzkich, a oddanego zupełnie modlitwie i wielkiemu dziełu wynagradzania. Zaisiste było to miejsce naznaczone mu wolą Bożą; nie pragnął też innego, i myślą nawet prawie go nie opuszczał.

Umierając, przeznaczył testamentem pewną kwotę pieniędzy na utrzymanie lampki przed Pismem św., a opatrnościowym zbiegiem okoliczności pragnienie jego zostało spełnionem w sposób, przewyższający wszelkie oczekiwania.

## ROZDZIAŁ XIII.

### Początek nabożeństwa do Przenajśw. Oblicza.

Aż dotąd zniewoleni byliśmy w osobnych rozdziałach przedstawiać poszczególne fakta, świadczące o pobożnej gorliwości i o miłosierdziu Leona Dupont. Z tego, co już opowiedzieliśmy, możnaby przypuszczać, że życie tego sługi Bożego rozpraszało się niejako na różnorodne drobne sprawy bez związku i wyraźnego celu. Tymczasem rzecz miała się wręcz przeciwnie: umysł jego i serce zajmowało

bezustannie jedno wielkie i święte pragnienie wynagradzania Bogu za zniewagi, wyrządzane Mu przez ludzi. Coraz więcej przejęty tą myślą i cały jej oddany, Dupont stał się założycielem, a przynajmniej inicjatorem wielkiego dzieła zadośćuczynienia, tak doskonale odpowiadającego obecnym potrzebom Kościoła \*).

Mówiąc o Bractwie, założonem w celu wynagradzania Bogu za bluźnierstwa, zaznaczyliśmy stosunek jaki z tego powodu istniał pomiędzy Siostrą Maryą od św. Piotra a Leonem Dupont. Z rozkazu przełożonych pokorna zakonnica spisywała udzielane jej przez Boga nadprzyrodzone objawienia; Dupont, żywo się niemi zajmując, dowiadywał się o najdrobniejsze szczegóły i znajdował w nich coraz to nowe światło względem dzieła, które tak mu było drogim. Uderzył go zwłaszcza jeden środek wynagrodzenia, wskazany Siostrze przez Pana Jezusa, to jest cześć bolesnego Oblicza Pańskiego.

D. 11 listopada 1845 roku Siostra Marya od św. Piotra pisała w tym względzie: „Pan przeniósł duszę moją na drogę Kalwaryjską i ukazał mi pobożną przysługę Weroniki, która chustą swą otarła Przenajświętsze Oblicze, okryte plwocinami, potem,

\*) Obszerniejsze szczegóły o nabożeństwie wynagradzającym, jako też o ściśle z niem połączonem nabożeństwie do Oblicza Pańskiego znajdują czytelniczki w książeczce pod tytułem: „Nabożeństwo Wynagradzające,” która równocześnie opuściła prasę, a jest streszczeniem obszerniejszego dziełka O. Honorata Kapucyna, p. t.: „Nowy Dar Jezusa,” lub w nowem tutejszem wydaniu p. t. „O czci wynagradzającej.“

krwią i kurzem. Następnie Boski Zbawiciel dał mi do zrozumienia, że bezbożni bluźnierstwa swemi odnawiają dziś zniewagi, wyrządzane wówczas Najświętszemu Jego Obliczu i rozumiałam, że wszystkie te obelgi, które miotają przeciw Bogu, nie mogą Go osiągnąć, jak owe plwociny żydów, spadają na Oblicze Jezusa, który się dobrowolnie ofiarował za grzeszników. Następnie powiedział Pan, że biorąc udział w nabożeństwie wynagradzającym za bluźnierstwa, oddajemy Mu tę samą usługę, jaką oddała Mu św. Weronika, i obiecał wejrzeć na nas równie łaskawym wzrokiem, jak wejrział na tę bohaterską niewiastę podczas swej męki.“

Po wszystkie czasy w Kościele katolickim znano i praktykowano to nabożeństwo do Przenajświętszego Oblicza; nowem jednak, a zupełnie zastosowanem do chwili obecnej było uczczenie Przenajświętszego Oblicza jako widomego godła dzieł wynagradzających, których za dni naszych świat zepsuty tak bardzo potrzebuje. To też cały szereg objawień, udzielonych w tym względzie Siostrze Maryi od św. Piotra, silne wrażenie wywarł na umyśle Duponta i przejął go wielkim nabożeństwem do Przenajświętszego Oblicza. Z jakim weselem rozpamiętywał on następujące naprzykład słowa:

„O ile ty starać się będziesz, by oczyścić Oblicze moje, zeszpecone bluźnierstwami, o tyle ja będę miał staranie o duszy twej, zeszpeconej grzechami. Wyrażę na niej na nowo mój obraz i uczynię ją tak piękną, jak była po chrzcie św.“

„W państwie rzecz każdą można kupić za monetę, stęplowaną wizerunkiem panującego, tak samo w królestwie niebieskiem, co tylko zechcesz, otrzymasz za okazaniem drogiego wizerunku człowieczeństwa mego.“

„Na ziemi znajdują się ludzie, posiadający sztukę przywracania ciała utraconego zdrowia i piękności; ale odnowicielem duszy na podobieństwo Boże mnie tylko nazwać można. Tę oto łaskę przyrzekam każdemu, ktokolwiek oddawać będzie należną cześć i chwałę Obliczu memu, i to w intencji wynagradzania zniewag, jakie wyrządzają Mu bluźniercy.“

„Na przykładzie św. Piotra — zeznaje Siostra Marya — pokazał mi Pan moc Przenajśw. Oblicza. Apostoł ten po trzykroć zaparł się Pana Jezusa, zgrzeszył, a tem samym zaćmił obraz Boży, wryty na swej duszy, ale skoro Jezus zwrócił ku niemu Oblicze swoje, żałował przewinienia swego i pokutował za nie. *Jezus spojrzal na Piotra, a Piotr gorzko zapłakał.*“

Na innym miejscu, opisując jedno z ostatnich objawień, mówi Siostra, co następuje: „Pan ukazał mi, jako bezbożni bluźnierstwa swemi znieważają Przenajśw. Oblicze, a wierni cześć Mu oddają, wielbiąc Osobę i św. Imię Jego. W istocie pogarda wyciska na obliczu człowieka szczególne jakies piętno; dziwny związek istnieje pomiędzy jego obliczem, a imieniem. Weźmy naprzykład człowieka wielkich zasług i sławnego imienia, którego nieprzyjacie, zamiast mu oddać cześć należną, wyszy-

dzają i znieważają. Zdaje się wtedy, jakoby te wszystkie uwłaczające słowa z ust nieprzyjaciół spadały na oblicze jego. Rumieniec wstydu i upokorzenia okrywa twarz jego, cierpi męki niewymowne, bo hańba i sromota przykrzejsze są dlań od uderzeń, od bólu fizycznego. Wyobraźmy sobie teraz tego samego człowieka w otoczeniu przyjaciół, którzy dowiedziawszy się o zniewadze, wyrządzonej mu tak niesłusznie, pocieszają go, oddają cześć należną jego godności i wielkości jego imienia. Na obliczu owego człowieka odbije się teraz zadowolenie z powodu czci odbieranej, chwała opromieni mu czoło, uśmiech powróci na usta; słowem, cześć przyjaciół może mu wynagrodzić zniewagi, wyrządzone przez wrogów. I to jest właśnie zadaniem dzieł wynagradzających względem Pana Jezusa, tak okrutnie znieważanego przez bluźnierców. Oblicze jest tarczą, na której odbija się cześć i hańba; ci zatem, którzy przez nabożeństwa wynagradzające chwałą Pana, wynagradzają Mu cierpienia, zadawane przez bluźnierców i niosą pociechę świętemu Jego Obliczu.“

„Dzielo wynagradzające — mówi jeszcze Siostra — ma dwa cele: zadośćuczynienie za bluźnierstwa, oraz za gwałcenie niedzieli i dni świątecznych. Nabożeństwo do Przenajśw. Oblicza stanowi najpiękniejszą jego ozdobę i największe bogactwo i ściśle jest z niem złączone. Oblicze Pańskie dane jest Bractwu jako przedmiot czci i uwielbienia i sposób niezawodny prześlągnięcia Ojca niebieskiego, zagniewanego na grzeszników.“

„Błagajmy Go, by spojrział na Oblicze Syna swego, a wtedy nie spuści na nas kary zasłużonej: Obrońco nasz, Boże, wejrzyj, a spojrzuj na Oblicze Chrystusa swojego.“

„Córko moja — wyrzekł Pan — daję ci moje Oblicze i moje Serce, moją Krew i Rany moje. Czerpaj, wylewaj, kupuj bez zapłaty, moją krew wykupuj dusze. Jakaż boleść dla mego serca widzieć, że te źródła ożywcze, te środki cudowne, które mię tyle kosztowały, zapomniane są i wzgardzone!“ „Korzystajmy z daru tak wspaniałego — woła Siostra — prośmy Boga, aby podczas dni utrapienia ukrył nas w tajnikach Oblicza swego.“

Powyższe słowa, spisane przez pokorną zakonnicę, niegdyś prostą szwaczkę bez wyższego wykształcenia, nosiły tem wyraźniejsze znamię Bożego objawienia, łatwo też zrozumieć głębokie wrażenie, jakie wywarły na umyśle Duponta.

Siostra Marya od św. Piotra zakończyła świątobliwy swój żywot 8-go lipca 1848 r. Trzy lata upłynęły od tego czasu, a Dupont zawsze czcił jej pamięć i rozpowszechniał nabożeństwo wynagradzające, gdy nowa i mało znacząca na pozór okoliczność sprawiła, że duszą i ciałem oddał się wyłącznie na służbę Przenajśw. Oblicza.

Pod koniec postu 1851 roku matka Marya od Weielenia, przełożona Karmelitanek w Tours, podarowała Leonowi dwa wizerunki Najśw. Oblicza, nadesłane jej przez ksienią Benedyktynek z Arras, także gorliwą zelatorkę nabożeństwa wynagradzającego. Wizerunki te, pochodzące z Rzymu, były

wierną kopją chusty św. Weroniki, na której podczas bolesnej swej męki Pan Jezus w cudowny sposób odcisnął swe Oblicze. — Przed dwoma laty, w styczniu 1849 r., podczas wygnania Piusa IX do Gaëty, gdy we wszystkich kościołach rzymskich zanoszono publiczne modły dla uproszenia zmiłowania Bożego, w bazylice św. Piotra wystawiono na widok publiczny relikwie Krzyża św. i chustę świętej Weroniki. Na chuście tej jednak najświętsze rysy Zbawiciela świata prawie zupełnie były już zatarte. Tymczasem trzeciego dnia wystawienia pierwotna barwa chusty powróciła sama z siebie, a Oblicze Pańskie zupełnie wyraźnie znowu się na niej ukazało. Kanonicy, odbywający straż przed św. relikwią, kazali natychmiast uwiadomić duchowieństwo i uderzyć w dzwony. W jednej chwili zgromadziły się tłumy ludu; na wszystkich twarzach malowało się wielkie wzruszenie, wielu od łez nie mogło się powstrzymać. Cud trwał trzy godziny. Notariusz Apostolski stwierdził prawdziwość faktu, spisał protokół, którego kopię posłano Ojcu św. do Gaëty. Wieczorem dnia tego o cudowną chustę ocierano białe jedwabne chusty, na których było wyrażone Przenajśw. Oblicze. — Odtąd z powodu mnożących się coraz więcej prześladowań Kościoła św., weszło w zwyczaj posyłanie do Francji autentycznych, to jest wiernych kopji wizerunku Najświętszego Oblicza — a te, które otrzymał Dupont, były jedne z pierwszych.

Możemy sobie wyobrazić z jak wielką radością przyjął te obrazy; jeden umieścił w kaplicy Adoracji



nocnej Najśw. Sakramentu, a drugi, oprawiony w skromne czarne ramy, powiesił w swym salonie na widocznym miejscu. Rozmyślając nad sposobem uczczenia tego drogiego obrazu, postanowił dzień i noc palić przed nim lampkę. Ale w tejże samej chwili, jak sam zeznaje, przyszło mu na myśl, że lampka paląca się w samo południe w pokoju, w którym zwykł był wszystkich przyjmować, zadziwi i zaciekawi obojętnych przybyszów i pytać będą, co ona znaczy. „Zastanawiając się nad stosowną odpowiedzią—mówi Dupont—ułożyłem następującą: Światło, które widzicie, oznacza, że po załatwieniu sprawy, z jaką ktokolwiek do mnie przychodzi, należy mówić tu o Panu Bogu, lub oddać się.“ Świątobliwy sługa Boży chciał tym sposobem obudzić ciekawość najobojętniejszych nawet osób i móżdż z nimi rozmawiać o Przenajświętszem Obliczu, o konieczności zadośćuczynienia. Jako świecki, żadnymi nie krępowany obowiązkami, uważał, że jest jakby umyślnie przez Boga postawiony dla szerzenia pomiędzy ludźmi, w świecie żyjącymi, objawienia, udzielonego świątobliwej zakonnicy, względem nabożeństwa wynagradzającego i czci Przenajświętszego Oblicza.

Obraz Oblicza Pańskiego został zawieszony w salonie Leona w wielki poniedziałek 1851 roku, a w następną środę zapalono przed nim po raz pierwszy małą lampkę. Z początku nikt nie zwracał na nią uwagi, aż dopiero w wielki piątek w samo południe kupiec podróżujący naszedł Leona, ofiarując mu wino na sprzedaż, a jakkolwiek odmowną wziął

odpowiedź, wcale odejść nie myślał. Dupont nie mogąc się pozbyć natręta, wskazuje na lampkę i powtarza przygotowane zdanie, iż „tu należy mówić o Bogu, lub odejść,“ a korzystając z zadziwienia kupca, przez pół godziny z takim zapalem tłómaczył mu sprawy niebieskie, że rozbudził w jego sercu przygasłą wiary iskierkę. Kupiec dotąd zupełnie obojętny, tegoż samego dnia poszedł do spowiedzi i prawdziwie chrześcijański zaczął wieść żywot.

Nazajutrz, w wielką sobotę, pewna osoba z Richelieu przybyła do Duponta w celu załatwienia jakiejś sprawy. Mąż Boży, będąc właśnie zajęтым, prosił, aby zechciała zaczekać, a tymczasem pomodlić się przed obrazem Najśw. Oblicza. Wspomniana osoba, idąc za tą radą, uklękła i prosiła Boga o uleczenie chorych oczu, na które bardzo cierpiała. Dupont wkrótce przyłączył się do niej, a po skończonej modlitwie przyszło mu na myśl, by oczy jej namaścić oliwą z palącej się lampki; zaledwie to uczynił, gdy chora zawołała z najwyższym zdumieniem: „Oczy nic mię już nie boją.“ Istotnie w tejże samej chwili została zupełnie uzdrowioną.

We wtorek, po Świętach odwiedził go pewien młodzieniec, w skutek bólu w nodze kulawy i z trudnością chodzić mogący. Widząc to Dupont powziął myśl namaszczenia chorej nogi olejem z lampki, palącej się przed obrazem Najświętszego Oblicza, przyczem modlił się gorąco. Młodzieniec natychmiast uzdrowiony, mógł jaknajlepiej chodzić i biegać po ogrodzie.

Początkowo zamierzał Dupont palić lampkę

tylko przez czas niejaki, następnie postanowił zostawić ją aż do miesiąca lipca, poświęconego Najświętszej Krwi Pana Jezusa, a w tym czasie około dwadzieścia osób zostało zupełnie uleczonych, lub znacznej doznało ulgi. Wiadomość o tych cudownych zdarzeniach rozszerzała się coraz więcej; przed obrazem Oblicza Pańskiego poczęto wspólnie odmawiać litanje do Przenajśw. Oblicza, ułożone przez Siostrę Maryę od św. Piotra. Niepodobna już było zliczyć wszystkich uzdrowień ludzi chorych, głuchych, czy to innymi cierpieniami dotkniętych. W jednym z listów Duponta z dnia 3 maja 1852 r. czytamy: „Od drugiego grudnia zeszłego roku rozdałem przeszło osm tysięcy flaszeczek oliwy. Tłumy pielgrzymów wzmagają się coraz więcej; niekiedy, w każdą zwłaszcza sobotę, przychodzi do trzechset osób, w inne dni trochę mniej. Najwymowniejszym jednak dowodem działania łaski Bożej jest ta okoliczność, że wszyscy chorzy zrozumieli, iż nowenny i namaszczenia cudowną oliwą należy łączyć z godnym przystępowaniem do spowiedzi i Komunii św.“

Na widok tych bezustannych pielgrzymek, których celem było skromne jego mieszkanie, wołał w uniesieniu pokory: „Dla czegoż, o Panie do tak wielkich rzeczy obrałeś sobie dom niegodnego sługi! Niestety iluż to ludzi, wzruszając pogardliwie ramionami, może to samo o mnie powiedzieć: *Infirma mundi et ignobilia ea quae non sunt... elegit Deus.* Bóg wybrał co jest najniegodniejszego i pogardy najgodniejszego w świecie... co jest niczem.“

Zanim w dalszym ciągu zajmować się będziemy

pielgrzymkami do Przenajśw. Oblicza i licznymi cudami, uzyskanymi przed tym obrazem, wypada nam jeszcze nadmienić, że zwyczaj namaszczenia oliwą nie był nowym, ani też pomysłu Leona. Układając dziełko o pielgrzymkach na każdy dzień roku, dowiedział się mąż Boży, iż w kościele św. Augustyna w Rzymie przed cudownym posągiem Matki Boskiej dzień i noc pali się lampka. Oliwą z tej lampki chorzy namaszczają zbolale członki, a ufność ich niejednokrotnie bywa nagradzana w cudowny sposób. Czytając ten opis Dupont pomyślał sobie: „Czyż we Francji Matka Boska nie jest równie potężną jak we Włoszech?... I zaraz zaczerpnąwszy oliwy z lampki, palącej się przed cudowną figurą w jednym z kościołów miasta Tours, udzielił tej oliwy kobiecie, dotkniętej niebezpiecznym piersi cierpieniem. Chora, idąc za jego radą, czyniła namaszczenia, wskutek czego, według świadectwa doktora, w przeciągu dwóch tygodni zupełnie została uleczoną. Działo się to w r. 1840 i odtąd Dupont myślał często o pięknym zwyczaju, zatwierdzonym i używanym w Rzymie, palenia lampki przed obrazem Matki Boskiej, a później sam go zastosował względem wizerunku Oblicza Pańskiego. Czyż to nie wyraźne zrządzenie Opatrzności, że obraz Przenajśw. Oblicza, zwyczaj palenia lampki i czynienia namaszczeń oliwą, z niej zaczerpniętą, bierze Leon wprost z Rzymu, tej stolicy chrześcijaństwa, pierwszego źródła wszelkiej łaski i wszelkiego światła.

Salon Leona, odkąd tak cudowne działały się tam rzeczy, przemieniony został w rodzaj kaplicy, w któ-

rej prawie bezustannie modlono się do Przenajśw. Oblicza. Było to miejsce zborne pielgrzymów wszystkich narodowości. Trudno oznaczyć, choćby tylko w przybliżeniu, liczbę cudownych uzdrowień i łask przeróżnych, jakie tam otrzymano; znaczną część wieczna pokrywa tajemnica; opis tych, które nam są wiadome, całe zajęłyby tomy. Nie do nas należy stwierdzać, o ile pojedyncze fakta były istotnie cudowne, a tem mniej wyrokować o tem. Rzecz to władzy kościelnej; powiedzieć tylko możemy, że liczne vota, listy dziękczynne, ze wszystkich stron nadsyłane, świadectwa lekarzy i innych wiarogodnych osób, stwierdzają wymownie przeliczne i nadzwyczajne łaski, jakimi podobało się Bogu wynagradzać modlitwy, zanoszone przed obrazem Przenajświętszego Oblicza. Cuda te zbyt ważne miejsce zajmują w życiu Duponta, abyśmy choć kilka nie mieli tu jeszcze przytoczyć.

W pierwszym rzędzie należy wspomnieć uzdrowienie słynnego lekarza paryskiego, dr. Noyer. Przybył on do Duponta z listem rekomendacyjnym od znajomego doktora, opisującym chorobę jego, to jest suchoty bez nadziei wyjścia, tak, że liczono mu zaledwie trzy tygodnie życia. Dupont list odebrany czytał zrazu głośno, lecz doszedłszy do tych smutnych szczegółów, zawahał się, co widząc dr. Noyer, prosił, aby nie obawiał się przestraszyć go, gdyż zna swój stan i wie, że jest na śmierć skazany. „To prawda—odrzekł mąż Boży—ale czy masz pan żywą wiarę?” A odebrawszy potwierdzającą odpowiedź, dodał: „Uklęknijmy zatem i pomódlmy się.” Klęka-

ją, poczem Dupont namaścił piersi chorego i kazał mu wypić kilka kropel oliwy z palącej się lampki. Dr. Noyer, pełen ufności, spełnił to polecenie i w tejże samej chwili uczuł się zupełnie uzdrowionym. Później utrzymywał wciąż stosunki z Dupontem, posyłał do niego swych chorych i na podziękowanie Panu Bogu aż do końca życia odbywał coroczne pielgrzymki do Przenajśw. Oblicza.

Urzednicy kolejowi w Tours, przywykli do napływu podróżnych, przybywających do Leona, z wielką byli dla nich grzecznością; to też gdy pewnego dnia pani jakaś, z siedmioletniem chorem dzieckiem na ręku, zapytała o mieszkanie Duponta, jeden z nich wskazał jej drogę, a nawet dopomógł nieść dziecko. Przybywszy, klękają przed wizerunkiem Oblicza Pańskiego i rozpoczynają modlitwę. Dupont przypatruje się dziecku i pyta, dla czego nie dano mu trzewików. Rzecz to aż nazbyt widoczna, że nie można ich włożyć z powodu nabrzmienia i kalectwa nóżek. „Idź i kup pani trzewiczki na tej, a na tej ulicy,” — mówi jednak Dupont. — Matka posłuszna odchodzi, a tymczasem sługa Boży namaszcza oliwą zboliałe członki dziecka; gdy matka powróciła, na zupełnie już zdrowe nóżki z łatwością było można włożyć przyniesione obuwie.

Inne, także siedmioletnie dziecko, ale rodem z samego miasta Tours, od trzech miesięcy w skutek choroby, straszliwe cierpiąc boleści, nie mogło ani jeść, ani chodzić. Ojciec, widząc bezskuteczność ziemskich środków, zaniósł chore dziecko do mieszkania Duponta. Modlono się nad niem i czyniono

zwykle namaszczenia; zaraz po pierwszym, chłopiec mógł się na nogach utrzymać, po drugim zaczął chodzić, a po trzecim odzyskał zupełną władzę, siły i apetyt; wybiegł do ogrodu, zerwał dość wysoko na drzewie rosnące czereśnie i zjadł je coprędzej razem z dużym kawałem chleba. Chłopiec ten później został kapłanem, a pełen czci dla Duponta, sam zeznał powyższe cudowne zdarzenie.

Jeden z miejscowych katedralnych wikarjuszy opowiada, że w r. 1855 znajdował się przypadkiem u Duponta, gdy wobec dwudziestu kilku osób została uzdrowioną kobieta kulawa i od lat dwudziestu o krakwiach tylko chodzić mogąca. Innym razem przybył młody wieśniak o bezwładnej i sztywnej ręce, której nie mógł ani zgiać, ani zamknąć. Dupont, biorąc ją w swe dłonie, rzekł: „O, ta ręka musi się zamknąć.“ „Przyznaję — mówi naoczny świadek — że na te słowa przeszedł mię dreszcz od stóp do głowy i pytałem sam siebie: czy się też istotnie zamknie?“ Dupont rozkazał obecnym ukłknąć i modlić się gorąco — a sam od czasu do czasu ponawiał namaszczenia. Za dziesiątym dopiero razem otrzymano żadaną łaskę; ręka poczęła nabierać władzy; podano wieśniakowi rydel, wyszedł do ogrodu i na próbę począł kopać, a czynił to bez żadnego wysiłku, był zdrow zupełnie. Co widząc przytomni, wzniesli na cześć Najśw. Oblicza hymn uwielbienia i dziękczynienia.

W roku 1856 podróżny o dystyngowanej powierzchności, wytwornie ubrany, przejeżdżając przez miasto Tours, spostrzegł na jednej z jego ulic

tłum ludzi, dążących w jedną stronę. Na zapytanie o przyczynę tak licznego zbiegowiska, odebrał odpowiedź, że wszyscy udają się do mieszkania pana, który cuda czyni. Zdziwiony i jeszcze więcej zaciekawiony wszedł za innymi do salonu Duponta. Zaraz na wstępie zagadniony przez niego o powód przybycia, odpowiedział po prostu jak się rzecz miała. „Istotnie — odrzekł Dupont — z łaski Pana Boga codziennie dzieją się tu cuda.“ A widząc oczywiście niedowierzanie i zdziwienie nieznajomego, dodał: „Chrześcijanina dziwić to nie powinno, gdyż wiemy, że wystarcza szczerze i z ufnością odezwać się do Boga, a otrzymamy od Niego cud z równą łatwością, jak możemy naprzykład kupić trochę grochu od przekupki na rogu ulicy. Chcesz się pan naocznie przekonać? Oto kobieta zupełnie niewidoma, pomodlimy się za nią i ufam, że Bóg wzrok jej przywróci.“ „Ukląkłem za innymi — mówi podróżny — i modliłem się pierwszy raz od lat może dziesięciu. Oczy chorej kobiety namaszczone oliwą z lampki, palącej się przed obrazem Oblicza Pańskiego, i to po kilka razy — a w miarę jak powtarzano namaszczenia, niewidoma poczęła rozróżniać otaczające ją osoby i przedmioty, zrazu niedokładnie, potem coraz wyraźniej, aż w końcu z zupełną łatwością mogła czytać z podanej książki.“ Podróżny, poruszony do głębi tym cudem, a więcej jeszcze słowy Duponta, pojednawszy się przez szczerą spowiedź z Bogiem, odmienił zupełnie lekkomyślne dotąd życie.

Pod rokiem 1851 czytamy następujące podzię-



kowanie: „Od dwóch lat cierpiąc na zupełny brak głosu, a opuszczona przez kilku doktorów, uciekłam się do Przenajśw. Oblicza. Po namaszczeniu czoła i gardła zaczęłam odmawiać po cichu litanję, i oto Bóg wejrzał na mnie i ulitował się. Przy Baranku Bożym mogłam już głośno odpowiadać; nie dowierając memu szczęściu, tak byłam wzruszoną, że łzy obficie z oczu mi płynęły; mogłam jednak zaraz odśpiewać: Wielbij duszo moja Pana—a uzdrowienie moje tak było cudownem, że przez ciekawość przychodzono mię oglądać; doktorzy nawet byli zniewoleni przyznać, że Bóg tylko jeden mógł mię uleczyć.“

Nie poprzestając na cudach, które działy się w jego mieszkaniu, pragnął Dupont, aby łaski obficie mogły spłynąć także i na ludzi innych miejscowości. W tym celu rozsyłał odbicia prawdziwego wizerunku Oblicza Pańskiego i faszeczek z oliwą, palącą się przed cudownym obrazem, jakkolwiek mu to wszystko przysparzało niemało zajęcia. Już w r. 1846, zanim jeszcze otrzymał ów drogocenny obraz z Rzymu, Oblicze Pańskie polecał jako znak zewnętrzny dzieła zadośćuczynienia. Następnie, posiadając prawdziwy wizerunek chusty św. Weroniki, kazał go odfotografować i odbić na czele karteczki z modlitwami wynagradzającemi. A że wszystkiemu, co czynił, zwykł był oddawać się duszą i ciałem, do rozszerzania tych kartek zabrał się też wytrwale i energicznie. „Dwadzieścia pięć tysięcy obrazków odebrałem już od litografa,“ pisze w r. 1854. Następnie liczba ich podniosła się do kilku set tysięcy.

Z niemiejszym zapalem rozsyłał buteleczki

z cudowną oliwą. „Czy uwierzysz, mówił w r. 1854, że rozdałem i rozesłałem przeszło sześćdziesiąt tysięcy buteleczek... Ze wszystkich stron zgłaszają się po nie, i codziennie mam nowe dowody, jak miła jest Zbawicielowi cześć, oddawana Przenajświętszemu Jego Obliczu.“

„Dzisiaj, pisze pod dniem 1-go lutego 1857 r., odebrałem z Anglii opis cudownego uleczenia osoby, dotkniętej rakiem w piersi, a uznanej przez doktorów za nieuleczalną. Osoba ta jest protestantką; syn jej, który niedawno przeszedł był na łono Kościoła katolickiego, chroniąc się przed gniewem ojca, czas niejaki przebywał w Tours. Wracając do domu, zabrał ze sobą kilka faszeczek św. oliwy, a teraz stwierdziwszy nie wiem ile łask odebranych, nowej żąda przesyłki.“

Rozsyłanie buteleczek stanowiło dla Duponta bardzo zmułne i ważne zajęcie. Nieraz zastać go było można, jak siedząc w rogu salonu przed stołem, zastawionym całym szeregiem systematycznie uporządkowanych buteleczek, napełniał je, z wielką starannością dobierał korki, układał i opakowywał, a następnie rozsyłał nietylko po całej Francji, ale i do Polski, Anglii, Ameryki, aż do Chin nawet i Kalkuty. Wysyłki te czynił własnym kosztem, najczęściej dodając słów kilka; nawzajem odbierał pełno podziękowań za uzyskane nawrócenia i uzdrowienia; które radością przepelniały jego serce.

Dla braku miejsca nie podobna nam przytoczyć tych podziękowań; wyjątek pragniemy tylko zrobić dla jednego cudu, a to z powodu towarzyszących

mu nadzwyczajnych okoliczności. Pan Cleret, daleki krewny Duponta, kapitan marynarki, załogując w Toulonie, wskutek nieszczęśliwego wypadku, został zraniony w nogę tak niebezpiecznie, że lekarze stwierdzili konieczność odjęcia nogi, choć wynik operacji bardzo był wątpliwy, a to z powodu febry i skomplikowanej choroby. Pani Cleret, telegraficznie uwiadomiona, podażyła do ukochanego męża, z wielką w sercu obawą, czyli zastanie go jeszcze przy życiu. Ponieważ pociąg zatrzymał się w Tours kilka godzin, skorzystała z tego, by odwiedzić Duponta. Był on jednak tak obłożony przez pielgrzymów, że wszystkich stron przybywających, że za ledwie kilka słów mógł z nią zamienić o Obliczu Pańskim, o cudach otrzymanych; zachęcał do wspólnej modlitwy przed obrazem, mówiąc, że szczegółowo prosić będzie za jej męża. „Być może, że stan jego od dzisiaj się polepszy, rzekł w końcu. Donieś mi o tem, skoro staniesz na miejscu. Jutro podczas adoracji nocnej modlić się będziemy za niego i ofiarujemy Komunię św.“ „Przyznaję, mówi ze swej strony pani Cleret, że do żywego czułam się wzruszoną tem wszystkim, co widziałam i słyszałam; wielką ufnością napelnily mnie zwłaszcza słowa mego kuzyna; jego wiara bez granic, udzielając się bezwiednie, ukoila moje serce: odchodząc czułam się lepszą.“ Stanąwszy na miejscu, dowiedziała się dopiero, jak wielkie niebezpieczeństwo groziło życiu jej męża, ale zarazem powiedziano jej, że w nocy z poniedziałku na wtorek doktorzy stwierdzili tak oczywiste polepszenie, że noc tę nazwali cudowną.

„Na ponowne moje pytanie — są to słowa pani Cleret — odpowiedziano mi, że w poniedziałek dało się zauważyć małe polepszenie, a we wtorek niebezpieczeństwo zupełnie przeminęło.

Pojmiesz moje wzruszenie, gdy przypomnialam sobie, że to właśnie w poniedziałek Leon powiedział mi: mężowi twemu lepiej dziś będzie. Pospieszywszy copędzej do łoża drogiego chorego, opowiedziałam szczegóły pobytu mego w Tours; wszyscy podzielali moje wzruszenie, twierdząc, że cudowi jedynie zawdzięczam życie i zachowanie nogi mego męża.“ Jenerał Cleret, niemniej przejęty wdzięcznością za otrzymaną łaskę, słowem i pismem głosił cud, jaki Bóg na nim pokazał.

#### ROZDZIAŁ XIV.

##### Druga epoka czci Przenajśw. Oblicza.

Czytając opis cudów, dopiero co przytoczonych, które w swoim czasie tak wielki miały rozgłos i ogólnie przypisywane były Leonowi, mimowoli nasuwa się pytanie, jakie pod tym względem były uczucia i zapatrywania świątobliwego sługi Bożego. Za odpowiedź niechaj nam posłużą słowa jego w liście do przełożonej Benedyktynek, której, jak wiemy, zawdzięczał wizerunek Przenajśw. Oblicza. „Za każdym nowem cudownem wydarzeniem, pisze on,

myśl moja zwraca się do was, do Rzymu, do Boga; upokarzając się coraz więcej, utrzymuje się w tem uczuciu, jedynie właściwem dla ludzi, uważanych przez ogół za narzędzie Boże.“

„Łaska Boża, mówi na innem miejscu, objawia się coraz więcej względem osób, odprawiających nowenny na cześć Przenajśw. Oblicza i żywiących pragnienie zadośćuczynienia Bogu za zniewagi, wyrażane Świętemu Jego Imieniu.“

Zadośćuczynienie—oto co zawsze i wyłącznie zajmuje Duponta, temu nabożeństwu przypisuje on wszystkie otrzymane cuda i łaski. Kilkakrotnie zachęcany do spisywania cudownych wydarzeń, które działy się u niego, oparł się temu stanowczo, poprzestając na przechowywaniu nadsyłanych ze wszystkich stron poświadczeń i podziękowań. „Kiedyś, gdy się o nie upomną, mawiał, z największą radością oddam je władzy duchownej. Wtedy może przypomną sobie pisma Siostry Maryi od św. Piotra, i te nowy popęd nadadzą dziełu zadośćuczynienia, do którego i tak już skłaniają się serca. Czas wielki, by świat, poznavszy zamiary Boże pod tym względem, lękał się straszliwej sprawiedliwości Jego i uciekał się do Serca Pana Jezusa, tak miłościwie dla nas otwartego.“

Dupont czekał spokojnie tej chwili, a nie chcąc zezwolić na rozszerzanie czci Przenajśw. Oblicza za pomocą dzienników, lub broszur, listownie odpowiadał na wszelkie, czynione mu pod tym względem zapytania.

Prawdziwy ten chrześcijanin wiedział, że poko-

ra najlepiej zdoła Boga uwielbić, to też za nic w świecie nie byłby dopuścił, aby się zajmowano jego osobą. Ludziom, którzy przychodzili do niego z naiwną, ale zupełnie ziemską wiarą, odpowiadał surowo: „Czyż macie mnie za doktora?... Ja jestem niczem. Bóg jest dobry i wszechmogący, uklękniecie i módlmy się. Jeśli z wiarą prosić będziecie, otrzymacie... Inni, więcej od was chorzy, odzyskali zdrowie, iż zaufali Bogu.“ Smutek i niezadowolenie, malujące się na jego twarzy, świadczyły dostatecznie, że mylili się ci wszyscy, którzy pragnąc pozyskać jego względy, wyrażali się z uznaniem o jego enocie, lub o skuteczności jego modlitwy.

Ale daremnie gniewał się i upokarzał, pomimo wszelkich usiłowań opinja publiczna jego pośrednictwu przypisywała coraz liczniejsze cuda; ze wszystkich stron odbierał listy, wyrażające obok hołdu dla Przenajśw. Oblicza, wdzięczność i uwielbienie dla jego własnej osoby. Cóż robić wówczas? Oto pełen pokory, odnosił wszystko do czci Oblicza Pańskiego i do dzieła zadośćuczynienia; w tej myśli zbierał nadsyłane dokumenta, mogące przyczynić się do oświecenia władzy duchownej, gdy takowa uzna za stosowne sprawę tę zbadać i o niej orzec.

Papierów tych nie uważał za swoją własność; siebie nazywał stróżem, naznaczonym przez Opatrzność, by je zbierać, a w razie potrzeby uzupełniać. Wkrótce biurko jego zaległy całe stosy świadectw; lubił powoływać się na nie, odczytywać; z pomocą przyjaciela d'Avrainville zaprowadził w nich pewien porządek, a testamentem jemu przekazał. Dziś do-

kumenta te, ostatecznie uporządkowane, znajdują się w ręku władzy dycieczalnej, która zezwoliła nam łaskawie czerpać.

Korzystając z tego pozwolenia, przytoczymy jeszcze kilka cudownych uzdrowień, odnoszących się do epoki między rokiem 1856 a 1860.

Przed obraz Najśw. Oblicza przyprowadzono raz ze szpitala dziewczynkę garbatą i krzywą, której plecy okryte były wizykatorjami! Po modlitwie Dupont, który własnoręcznie nie namaszczał osób innej płci, chyba tylko na czole, poprosił obecną właśnie panią R., aby zechciała to uczynić. Pani R., przeszedłszy do przyległego pokoju, obnażyła plecy dziewczynki i przekonała się naocznie, iż garb jej cały pokryty wizykatorjami, jedną wielką tworzył ranę, to też nie bez wstrętu zrobiła na nim olejem kilka znaków krzyża świętego. Namaszczenie i modlitwy powtórzono trzy razy, a następnie, gdy Dupont i pani R. czem innem byli zajęci, dziewczynka, chodząc zwolna po pokoju i trzymając krzyżyk w ręku, modliła się gorąco. „Czy mi się zdaje, zawołał nagle Dupont, czy też garb zniknął? Proszę rozbierz pani dziewczynkę i przekonaj się.“ Pani R. przeszła do drugiego pokoju, rozebrała chorą, i oto plastry, wizykatorje upadły na ziemię; nie było śladu garbu, rany, ani żadnej wypukłości. „Czy to nie złudzenie, czy nas oczy nie mylą?“ pytała się nawzajem pani R. i Dupont. Przywołano panią Arnaud i nie wspominając o tem, co zaszło, mówią jej: „Patrz pani na to biedne dziecko, jakże jest ułomna?“ „Ona ma być ułomną?—odparła p. Arnaud,

ależ bynajmniej, nie dostrzegam żadnego garbu.“ „A więc oczy nas nie mylą; dziewczynka ta miała garb, który znikł cudownie przed chwilą.“

Niekiedy sama modlitwa Leona dostateczną była do uzyskania cudownych uzdrowień, jak to widzimy na przykładzie chrzestnej jego córeczki Marji R. Dziewczynka tak była chora, że doktor nie czynił nadziei utrzymania jej przy życiu, a uzdrowienie nazwał po prostu cudownem.

Pewna pobożna zakonnica, Benedyktyńska z Anglii opowiadała nam następujące zdarzenie. Piotr Swiry, uczeń szkół Donside, dla choroby oczu zniewolony zaprzestać nauk, przybył z rodzicami do Tours. Oczy miał na pozór zdrowe, tak że nikt nie byłby się mógł domyślić jego kalectwa. Zaledwie jednak przestąpił próg salonu Duponta, mąż Boży zbliżył się do niego i kładąc mu rękę na oczy rzekł: „Odzyskasz pan wzrok, o który przyszedłeś prosić.“ Młodzieniec zbladł jak chusta, takie wrażenie uczyniło na nim wyjawienie kalectwa, które nikomu w Tours nie było wiadome. Modlił się gorąco i zdrów powrócił do Anglii.

Osoba wiarogodna nadesłała nam opis następującego zdarzenia, posłyszanego z ust samego Duponta. „Pewna pani, są to własne słowa świątobliwego męża, przyszła raz pomodlić się przed obrazem Przenajśw. Oblicza o nawrócenie brata swego, wyższego oficera, obozującego w północnej Francji. Ukłękłem z nią razem i pomodliwszy się, powiedziałem kilka słów pociechy, skłaniając ją do ufności w Boga. W czasie tej rozmowy dostrzegłszy, iż



pani ta zyzowała, uderzony nagłą myślą, rzekłem jej: „Pani masz błąd w oku, namaść je oliwą z lampki.“ „Ależ panie, odparła, w moim wieku, to taka mała rzecz, zżyłam się z tem.“ „Nawet o małe rzeczy wolno i dobrze jest prosić Boga,“ nalegałem nie zrażony odmową. Usłuchawszy mię w końcu, namaściła oko, pomodliła się, a wkrótce za drugim namaszczeniem zupełnie została uzdrowioną. Podziękowawszy Bogu, pełna otuchy, iż otrzyma i drugą, stokroć ważniejszą łaskę, poleciła się modlitwom adoracji nocnej i powróciła do domu. Wczoraj odebrałem list, w którym mi pisze, że brat zaraz po powitaniu, spostrzegłszy, że już nie zyzuje, zapytał ze zdziwieniem: „Kazałaś sobie oko operować?“ „Ależ bynajmniej.“ „Cóż się zatem stało?“ Wtedy opowiedziałam mu co zaszło, a brat poruszony do głębi tem zdarzeniem, pojednał się z Bogiem!“

Pewien kapłan z Normandji zapadł na tak silne przytłumienie głosu, iż od dziewięciu miesięcy, nie mogąc mówić, pisał na tabliczce, którą zawsze nosił przy sobie. Dupont po zwykłej modlitwie i namaszczeniu, zachęcił go do wymówienia po łacinie: Niech Imię Pańskie będzie błogosławione. Chory obawiał się zrazu tego wysiłku, wreszcie wymówił żądane słowa, ale głosem przytłumionym. Następnie podczas odmawiania litanji do Przenajświętszego Oblicza, odpowiadał na wezwania, a głos jego stawał się coraz siłniejszym, aż wreszcie na rozkaz Duponta zaśpiewał Magnificat.

Oprócz świadectw na piśmie, zbierał jeszcze Dupont innego rodzaju dowody cudów, spełnianych

wobec Najświętszego Oblicza, były niemi mianowicie kije i krukwie, zapelniające pokoik, przytykający do jego salonu. Nie podobna było oglądać bez wzruszenia tego muzeum, jedyne w swoim rodzaju. Od prostego ordynarnego kija aż do kunsztownie wydoskonalonych krukwi, ujrzeć tam było można najróżniejsze podpory cierpiącej ludzkości, po większej części ze śladami długiego używania. Kulawi, chromi, z członkami wykrzywionemi, reumatyzmem lub pedagrą, przybywali codziennie do mieszkania Leona. Odprawiano zwykle modlitwy i namaszczenia, a wiara ich zazwyczaj bywała nagrodzoną, prośby wysłuchane. Chorzy zostają uzdrowieni, kulawi poruszają się swobodnie, kalecy, którzy przed chwilą nie byli w stanie utrzymać się na nogach, teraz powstają o własnej sile, prostują wykrzywione niedawno członki, a chcąc się przekonać o zupełności tak cudownego uzdrowienia, przebiegają pokój i ogród Duponta. Przepelnieni wdzięcznością za otrzymaną łaskę, w mieszkaniu męża Bożego składali niepotrzebne odtąd krukwie, a następnie, stosując się do jego rady, obchodzili wszystkie kościoły miasta Tours, zostawiając w każdym jałmużnę dla ubogich. A działo się to wszystko publicznie, wobec pielgrzymów, przybyłych ze wszystkich stron świata, którzy każdej chwili zdarzenia te mogą potwierdzić.

„Widziałem, mówi między innymi Zefyrin, służący Duponta, siedemnastoletnią panienkę, która, przywieziona w powozie ze stacji kolei, na rękę ojca swego wniesioną została do salonu; a natychmiast odzyskawszy zdrowie, postawiła swój kij przed

obrazem Przenajsw. Oblicza, i o własnej sile powróciła na kolej." A jest to tylko jeden przykład z pomiędzy wielu, na które patrzył codziennie.

Miejscowy proboszcz odwiedziwszy dnia pewnego dobrze w mieście znaną staruszkę, od bardzo już dawna przykutą do łóżka, przekonał się, że ta nie szczęśliwa z największą tylko trudnością poruszać się mogła. Jakież było jego zdziwienie, gdy nazajutrz ujrzał tę samą kobietę, zbliżającą się szybko do konfesjonału, i klękającą bez niczyjej pomocy. „Co się z wami stało?“ zapytał ksiądz, zdumiony do najwyższego stopnia. „Byłam u pana Dupont, odparła spokojnie starowina, i oto jestem zupełnie zdrową.“ I opowiedziała mu, jak namówiona przez sąsiadkę, z jednej strony na niej oparta, z drugiej dopomagając sobie pożyczoną krukwią, zawlokła się przed obraz Najsw. Oblicza, gdzie też wkrótce została uleczoną. Ponieważ miała tylko pożyczoną krukwię, musiała ją oddać, a jako votum złożyła inną, zupełnie nową, którą po dziś dzień można oglądać.

Podczas wojny 1870 r., gdy urządzone w Tours ambulanse przepełnione były chorymi i rannymi, dla użytku tych ostatnich zażądano od Duponta jego krukwi. Wielką i bolesną było to dla niego ofiarą, spełnił ją przecież. pełen miłosierdzia, ze zwykłą pogodą ducha, ale cenny i drogi zbiór bardzo na tem ucierpiał. Nie oddano mu sześćdziesięciu do siedmdziesięciu krukwi, mimo tego liczba ich wynosi dzisiaj jeszcze 146; ustawione w kaplicy Przenajświętszego Oblicza obok ołtarza, zwracają na

siebie uwagę wszystkich pielgrzymów. Ci, którzy je niegdyś złożyli, z łatwością rozpoznać je mogą, a zdarza się to bardzo często.

## ROZDZIAŁ XV.

### Korespondencja Duponta.

Dupont, oddany w zupełności służbie Przenajświętszego Oblicza, przebywając bezustannie pośród kalek i chorych, którzy przychodzili z prośbą o modlitwę, lub namaszczenie cudownym olejem, umiał jeszcze znaleźć czas na niezwykle ożywioną korespondencję. W życiu jego zajmowała ona bardzo ważne miejsce i przez nią wiele też czynił dobrego. Odbierając niekiedy do piętnastu listów dziennie, miał sobie za obowiązek natychmiast na nie odpowiedzieć; co też ściśle wypełniał pomimo nadmiaru pracy, przeróżnych ofiar i przykrości, jakie to za sobą pociągało. Od dawna wyrzekł się był wszelkich zebrań i rozrywek światowych; nad czem wprawdzie nie ubolewał, gdyż jak pisał żartobliwie do przyjaciela: „Zadziwiłbym się niemało, dostrzegając wyraz prawdziwej radości na obliczu ludzi, zabawiających się jaką grą towarzyską, obliczoną na zabicie czasu. Pismo św. mówiąc, że *czas jest krótki*, przypomina nam, że należy zeń korzystać, a nie godzi się zabijać go.“

Uciążliwą była mu natomiast systematyczna  
Życie Leona Dupont.

praca i długie godziny, spędzane nieruchomie przy biurku; czynił to jednak z tak pogodną i wesołą twarzą, że nikt nie byłby się domyślił doniosłości ofiary. Z pomiędzy mnóstwa napisanych przez niego listów, udało nam się zebrać bardzo tylko niewiele, ale i te kilka dają pojęcie o pozostałych. Dupont maluje się w nich takim, jakim był istotnie, uprzejmy, miłosierny, pełen chrześcijańskiej miłości. Uwydatnia się w nich również wielka jego pobożność i gorliwość niestrudzona o chwałę Bożą i sprawy Kościoła św., a przytem właściwa mu wesołość, prostota, niezachwiana ufność w Bogu, naturalność i zupełne o sobie zapomnienie. W każdym liście, choćby najkrótszym lub wyłącznie interesom poświęconym, znajdujemy jaką pobożną wzmiankę lub uwagę. Rozpoczynał je zwykle od pozdrowienia Anioła Stróża, Matki Najśw. lub Świętego, którego pamiątkę w dniu tym obchodzono; kończył następującymi naprzykład słowy: „Kochajmy Pana Jezusa, by udzielił nam łask, potrzebnych do służenia Mu wiernie,“ a w innym liście: „Pozdrawiam Cię u stóp Jezusa i Maryi.“ Rzadkim był list, w którymby nie przytoczył jakiego ustępu z Pisma św. i nie wyjawił poglądu swego na bieżące polityczne, lub religijne sprawy, a zapatrywania jego pełne były zawsze żywej wiary.

Treść listów jest najrozmaitsza, stosownie do spraw, poruszających chwilowo umysły i opinię publiczną, albo ze względu na osoby, do których pisze. Troszcząc się przedewszystkiem o potrzeby duszy bliźnich swoich, umiał się zastosować do we-

wnętrznego ich usposobienia; a gdy miał na celu uzyskanie powrotu do Boga drogą jakiej osoby, rozpoczynał z nią nieraz ożywioną korespondencją, od której żadne inne zajęcie oderwać go nie zdołało.

Zrazu, gdy mógł jeszcze swobodnie rozporządzać swym czasem, lubił rozwodzić się obszernie nad drogiemi mu sprawami, dotyczącemi miłości Boga i Kościoła św. Listy jego miewały przeszło pięć stron, a pisząc z obfitości serca, wylewał na papier uczucia pięknej swej duszy. W miarę jak coraz liczniej napływający pielgrzymi zabierają mu wszystkie wolne chwile, listy stają się coraz krótsze. W końcu są to już tylko kartki, o kilku zaledwie wierszach, z których niby promienie światła, tryskają święte zdania i myśli. Bez najmniejszej do tego pretensji posiadał Dupont dar pięknego pisanja listów, styl jego łatwy, prosty i miły, nacechowany był wykwintnym smakiem, oryginalnością i siłą wyrażen. Przypuszczając, że miło będzie czytelnikowi poznać i pod tym względem sługę Bożego, przytaczamy z obszernej jego korespondencji kilka listów, a to z epoki, gdy najwięcej był zajęty dziełem św. Marcina, adoracją nocną i pielgrzymkami do Przenajświętszego Oblicza, to jest z lat między rokiem 1844 a 1860.

*Do ks. Le Pailleur.* 8 grudnia 1845 r. „Drogi przyjacielu! *O quam bonus Israel Deus.* Jakże dobrym jest Bóg Izraela! O! jakże godnym uwagi jest ten przymiot Boski! Sam Bóg jest dobrym, powiedział Pan Jezus. Ale i my, o ile pozwala nam słabość nasza, dążyć powinniśmy do tego, by zostać dobry-

mi, gdyż tylko dobrzy staną po prawicy, a źli po lewicy. Co za straszna chwila! Ufam, że wszyscy, którzy powtarzają często za życia te słodkie słowa: „Jakże dobrym jest Bóg!“ nie doświadczą po śmierci ciosów Jego sprawiedliwości. Módlmy się zatem, aby te słodkie słowa: „Jakże dobry jest Bóg“ odświeżały często nasze usta, módlmy się byśmy miewali często sposobność powtarzania ich ludziom, z którymi obujemy.“

„Skoro wiara przychodzi nam ze słuchania, jaśną jest rzeczą, że Bóg zażąda rachunku ze słów daremnych. O dobry Boże, proszę pokornie, przebac mi wszystkie próżne słowa, których winnym się stałem, lub których słuchałem z przyjemnością. Proś dla mnie Boga o łaskę miłowania Go, a nadto pociągania innych do tej Jego świętej miłości.“

*Do przyjaciela mieszkającego w Kajennie, 8 kwietnia 1849 r.* „Bóg jeden wie, co się stanie z Europą, Azją i Ameryką. Nam wiadomem jest tylko, drogi przyjacielu, że wszystko przyczynia się do dobra wybranych; chcąc zatem spokojnie w przyszłość spoglądać, należy, o ile można najwięcej, postępować drogą sprawiedliwości. Droga to ciasna i mało uczęszczana, lecz nad wyraz przyjemna.“

„Nie potrzeba długo żyć na świecie, aby dojść do przekonania, że trudniej jest stracić swą duszę, niżli ją zbawić. Nie ludźcie się, życie obecne jest krótkie, lecz za to w przyszłym tron chwały zgotowany jest dla tych, którzy go całym sercem pragną. Niestety, jakże często głupi ludzie odtrącają ze wzgardą te pocieszające słowa, naigrawając się z obietnic Pisma św., powracają do niemądrych zdań

tego świata, i jakgdyby niedosyć im było nurzać się w błocie, jeszcze się z tego chęłpią. O zgrozo!“

*Do tegoż, 7 października 1848 r.* „Skarżysz się, drogi przyjacielu na brak nabożeństw i innych środków religijnych, wolałbym jednakże, abys umacniał się przeciw tej przeszkodzie i aby ten brak właśnie stał się dla ciebie kamieniem węgielnym wielkiego postępu duchowego. Drzewo, wzrosłe na skale, miotane wichrem i nawałnicą, bywa silniejsze i wytrzymalsze od drzewa wybujałego wśród wilgotnej i cienistej doliny.. Szczęście niebieskie godne zaprawdę wysiłku, a zresztą pewien jestem, że trudności zuikną, skoro zamienimy je na stopień, po którym wznosimy się do Boga. Pierwsi chrześcijanie co dopiero poznali prawdy wiary, a już gotowymi byli przelać krew w jej obronie; a my zaledwie między sobą odważamy się przyznać do nazwy chrześcijan. Ale chwila stanowcza nadchodzi, wiara poczyna się budzić; Bóg w tym celu nie szczędzi cudów. Podczas obecnego przesilenia, prawda jedynie zdoła się oprzeć zacieklej walce przewrotnych nauk, których źródłem jest zasada przewagi rozumu, zasada, którą Lutrowi podsunął szatan, ten stary kłamec.“

*Do pewnego młodzieńca po śmierci matki. 12 grudnia 1857 r.* „Drogi przyjacielu! Miłościwe są drogi Opatrzności. Bolejesz nad tem, że nie mogłeś zamknąć oczu twej matce, lecz kto wie, czy jej Anioł stróż wespół z twoim Aniołem tak nie pokierował, by tem większy spokój napełnił jej serce w chwili, gdy Jezus nie sędzia, ale utajony w Najświętszym Sakramencie miał ją wprowadzić do wieczności. Cóż



może być piękniejszego nad śmierć po przyjęciu Komunii świętej? Wtedy słusznie zawołać można z Apostołem: „O śmierci, gdzie jest twoje zwycięstwo?” Śmierć taka nie tylko zmarłym bramy niebieskie otwiera, ale dla pozostałych staje się balsamem pociechy. Modlić się będziemy, aby ten balsam rozlał się w twojem i w ojca twego sercu. Za powrotem twym pomówimy obszerniej o szczęściu dusz, które dobrze żyły i zachęcać się będziemy do naśladowania ich przykładu, aby dla tych, którzy nas przeżyją, nie stać się kiedyś powodem nieutulonego żalu.“

*Do pewnej pani po stracie męża. 3-go października 1855 r.* „Pani, doświadczenia tego życia są dla nas zadatkiem wiecznego szczęścia. Myśl ta winna w pierwszym rzędzie osładzać nam boleść rozstania z przyjacielem, który tak mężnie pracował nad osiągnięciem zbawienia wiecznego. W niebie, a nie gdzieindziej, szukać nam należy myślą tych, którzy już doszli do kresu ziemskiej pielgrzymki. „Czemuż szukacie żyjącego między umarłymi? Wstał, nie masz Go tu“... wyrzekł Anioł przy grobie Pańskim do świętych niewiast, szukających zmartwychwstałego Jezusa. Słowa te, zastosowane do ukochanych osób, które śmierć nam wydarła, po wszystkie czasy darzyć będą pociechą serca zbolale. Tak, nie masz go tu, w tej ziemskiej powłoce, która w proch się rozsypie i czekać będzie na dzień zmartwychwstania. W górę oczy wzniesić nam potrzeba, a wtedy nadzieja połączenia się z przedmiotem łez naszych, osuszy je i w wesele zamieni. Ileż mielibyśmy sobie

do powiedzenia! Dom żałoby cenniejszy jest nad przybytek radości. Pismo św. wyraźnie to twierdzi. Stosownie do życzenia Pani podczas adoracji nocnej modlić się będziemy za drogiego Jej zmarłego.“

*Do przyjaciela. 3 kwietnia 1853 r.* Co nam przeskadza, drogi przyjacielu, nam, którzy wierzymy w Jezusa i Maryą, poświęcić się za ich przykładem pracy nad zbawieniem dusz ludzkich. Niechaj Izy gorzkie wyciska nam z oczu widok straszliwego nieszczęścia, do jakiego samowolnie dążą, ludzie bezbożni i ten cały tłum bezmyślny, który ślepo im wierzy i naśladuje ich. Będą to niejako Izy sióstr Łazarza, Izy, które przyczyniły się do tego, że Łazarz powstał z grobu, choć one nie mogły sobie przypisać żadnej w tym względzie zasługi. Płacmy zatem nad umarłymi duchowo, a Jezus dla chwały Bożej przemówi wtedy do wielu z nich: „Wynijdźcie z grobu.“

*Do tegoż 17 maja 1751 r.* „Horyzont polityczny zaciemnia się istotnie, ale za to wyjaśnia się horyzont niebieski; trzeba być ślepym, by nie widzieć słodkiej rosy łask Bożych, na zeszlą spływających ziemię. Zbyt wiele podnosi się do nieba modłów, aby Bóg mógł nas opuścić; zbyt wiele dusz świętych leje Izy gorzkie, abyśmy mieli obawiać się poniżającego chaosu, w który filozofja chce zepchnąć ludzkość, w przeciwieństwie do wyższych jej przeznaczeń. Płacmy więc wspólnie z tymi, którzy pragną zbawić swych braci; kochajmy Boga, ponieważ On sam godzien jest miłości; kochajmy siebie nawzajem, gdyż nam to nakazał, i ponieważ spełniając to pra-

wo możemy sobie zapewnić na całą wieczność udział w Jego świętej miłości.“

*Do tegoż. Życzenia noworoczne 15 stycznia 1855 r.*  
„Gdybym był mógł znaleźć choć najkrótszą wolną chwilkę, byłbym z pewnością napisał do Ciebie z okazji Nowego Roku. Zwyczaj towarzyskiej grzeszności uświęca w tym przypadku myśl wyższa, z wiary płynąca; rzeczą nader poważną jest jeden rok więcej, z którego rachunek Bogu zdać będzie trzeba. Bóg nam go użyje na to, abyśmy czynili pokutę, a tym sposobem stali się godnymi nagrody wiecznej. Niestety, ci wszyscy, którzy składają życzenia noworoczne, sprawą zbawienia zbyt mało się zajmują, a bardzo potrzebowaliby choć raz do roku usłyszeć chrześcijan, mówiących o niebie.“

Wylew rzeki Loary, nad którą leży miasto Tours, wylew przerażający, a w skutkach swych straszny, ważne zajmuje miejsce w korespondencji Leona. Widział on w tej kłęsce ostrzeżenie z nieba; niedoścignione, ale opatrnościowe zrządzenie Boga najmędrszego, który objawił swą sprawiedliwość a zarazem miłosierdzie.

Wylew r. 1846 był już w mniemaniu Duponta ważną przestrogą, udzieloną miastu, które od niedawna zamieszkiwał; od razu uznał on potrzebę usilnej i wytrwałej modlitwy. A gdy przeciwnie zaczęto urządzać skandaliczne zabawy, w których najzaciejsi nawet ludzie brali udział, trwożył się tym, jak go nazywał, szatańskim wpływem. „O gdybyśmy wszyscy — mówił — umieli skorzystać z tej straszliwej przestrogi. Ale oto bale i widowiska

urządzają na korzyść dotkniętych powodzią! — Szatan nie jestże bezlitośnym. Miłosierdzie jego polega na rozsmieszaniu ludzi. Duch św. wyrzekł, że ubogi jest miłosiernym. A oto duch kłamstwa, chcąc pokazać, że miłosierdzie jest w sercu bogacza, nęci go zabawą; i bogacz sądzi, że spełnił miłosierny uczynek, gdy ostatecznie urąga tylko nieszczęściu. Jedna to z najgłębszych ran obecnego wieku i natrudniejsza do zwalczenia. Ale uciekajmy się do naszego drogiego Mistrza. Świętym dreszczem niechaj nas przejmuje widok tylu nieprzyjaciół, pragnących wymazać św. Imię Jego z serc naszych. Aby się oprzeć skutecznie ich ohydny zaczepkom, miejmy często na ustach najczcigodniejsze Imię Jezus. Przez to Imię wszystko możemy. I jakże jeszcze potrzebna nam pomoc! „O Jezu! bądź nam Jezusem.“

W czerwcu 1856 r. pisze do przełożonej Benedyktynek w Arras: „Wzruszony jestem współczuciem, okazywanem nam obecnie. Niezawodną jest rzeczą, że w nocy z trzeciego na czwarty całe miasto byłoby nieomal zniknęło z powierzchni ziemi. Przez dni kilka pozostawaliśmy pod grozą niebywałego zalewu. Bóg miłosierny cios ten powstrzymał; nie chciał tak niespodzianie powołać przed swój trybunał trzydziestu tysięcy dusz ludzkich.“ — Uspakajając obawę, jaką żywiono o jego własne bezpieczeństwo, dodaje: „Gdyby woda była się podniosła o jedną tylko stopę, mój pokój byłby zalany; Bóg nas oszczędził.“ — W owym to czasie zaszło następujące zdarzenie, o którym Dupont nie wspomina, ale za którego prawdziwość na pod-

stawie zeznań kilku naocznych świadków śmiało ręczyć możemy.

W chwili, gdy wezbrane fale rzeki, coraz się wyżej podnosząc, groziły z dwóch stron mieszkaniu sługi Bożego, on, jak zwykle, pełen żywej wiary i ufności bez granic, zakreślił w swym ogrodzie linię równoległą z salonem, w którym znajdował się wizerunek Przenajśw. Oblicza. I rzecz dziwna, woda zatrzymała się właśnie w tem miejscu, i ani salon, ani reszta domu nie została uszkodzoną; w tem wydarzeniu uznano dowód szczególnej opieki Boskiej.

Nie wszystkie jednak części miasta uniknęły strasznej katastrofy; jedno przedmieście skutkiem zerwania tamy stanęło pod wodą. Niektórzy mieszkańcy zdołali ujsć z życiem, inni natomiast, zbyt nagle zaskoczeni, nie mogli opuścić mieszkań. Noc była straszna. Co chwilę dawał się słyszeć wśród ciemności trzask walących się domów. Nieszczęśliwi powodzianie z trwogą w sercu wyczekiwali brzasku dziennego, a z niem pomocy miłosiernych współbraci. Za ledwie świtać zaczęło, gdy całe miasto było pogrążone w najwyższej trwodze i niepewności. Dupont, jeden z pierwszych, w łódce podążył do nieszczęśliwych, ofiarując im swe usługi i zapasy żywności. Wkrótce przybył za nim arcybiskup, kardynał Morlot i wspólnie nieśli biedakom duchowną i materjalną pomoc.

Kilka listów Leona nosi datę miejscowości kąpielowej Neris. Jakkolwiek bowiem obdarzony czerstwem i silnem zdrowiem, uległ w końcu reumaty-

zmowi i pedagrze; przyczyną tych cierpień był zapewne przeciwny jego naturze brak ruchu, do jakiego zniewolonym został przez liczny napływ pielgrzymów, nawiedzających obraz Przenajświętszego Oblicza. Cierpienie tak się wzmogło, że lekarze namówili Duponta, aby poddał się kuracji u wód w Neris. „Drogi przyjacielu, pisze z tamtąd 3 lipca r. 1843, list twój odebrałem u wód, gdzie z rozkazu doktora od tygodnia leczę mój reumatyzm, który we wszystkich członkach boleśnie się odzywa. Zaręczają mi, że po dwudziestu ciepłych kąpielach zdrów będę. Bóg to jeden wiedzieć raczy! Czy zechce zdrowie mi przywrócić? Niech się dzieje Jego wola, ta wola jest najświętsza, najlepsza.“ Wyjeżdżając do wód przez posłuszeństwo lekarzom, spełniał wolę Bożą, a zobaczymy, w jaki sposób umiał uświęcić i tę, jak nazywał, szeroką drogę, po której był zmuszony wlec się mozolnie. „Wyjeżdżając, pisze dalej, obrałem sobie za hasło następujące słowa O. Avancin: „W podróży przyzwyczajajcie się do rozmawiania nie o błahostkach, ale o Bogu i o rzeczach Boskich, abyście zasłużyli mieć Jezusa towarzyszem drogi waszej.“ Co do pobytu u wód dodaje: „Trudno mi tu znaleźć kogo, ktoby chciał zawrzeć ze mną układ rozmawiania wyłącznie o Bogu. Ludzie zazwyczaj udają się do miejsc kąpielowych w celu pielęgnowania ciała, a z tego zwierzęcego usposobienia korzysta obficie zwierz piekielny.“

Roku 1859 cierpienie jego znacznie się wzmogło, przepisano mu inne wody w Bourbon l'Archambault. Znajomi jego dziwili się, że zamiast jechać

do wód, nie używa dla siebie namaszczenia olejem i modlitw, które już tylu ludziom zdrowie przywróciły; na ich zapytania Dupont odpowiadał: „Przed wyjazdem do wód prosiłem Pana Jezusa o uleczenie z reumatyzmów, które wkrótce mogą mnie uczynić zupełnym kaleką. Nic nie uzyskawszy, czemu się bynajmniej nie dziwię, musiałem spróbować przyrodzonych środków, całym sercem poddając się woli Bożej.“ Ale i tym razem nie odzyskałszy zdrowia, zaniechał dalszych wycieczek. Krótki pobyt w Bourbon wystarczył wszelako, aby mu tam zjednać sławę wielkiej świątobliwości; mieszkańcy nazywali go „świętym panem z Tours“ i przynosili do niego swych chorych. Między innemi pewna wieśniaczka prosiła go o uzdrowienie dwunastoletniej córeczki, mającej jedną nogę krzywą. Na to Dupont odparł z największą pokorą: „Ja nie mogę uleczyć waszej córki, Bóg jeden posiada tę władzę. Oto olej z lampki, płonącej przed obrazem Przenajsw. Oblicza, namaść nim chorą nogę i z wielką ufnością prosź Pana Boga, a ja połączę się z twemi modlitwami.“ Krótka jednakże była ta modlitwa, gdyż po upływie kilku minut noga wyprostowała się i do naturalnego powróciła stanu, a uszczęśliwiona dziewczynka mogła zaraz w podskokach zbiedz po schodach z drugiego piętra. Trudno opisać wrażenie, spowodowane u obecnych tak nagłym uzdrowieniem.

Codzienny tryb życia Duponta u wód ująć można w kilku słowach. Wypełniał sumiennie przepisy jekarskie, a zresztą nie tracił czasu na czeze i zmysłowe przyjemności, jak to zwykli czynić inni goście

kąpielowi. Co rano o w pół do piątej był już w kościele, udawał się tam jeszcze na chwilę po obiedzie; odwiedzał proboszcza, chorych w szpitalu, dozorowanych przez Siostry miłosierdzia, rozmawiał z nimi o rzeczach świętych; w okolicznych wioskach wyszukiwał biednych i chorych, mówił im o Bogu, wspierał w razie potrzeby. Jałmużny te, często nieznaczne, podwójnej nabierały ceny przez to, że z wielką uprzejmością i miłością umiał je rozdzielać. Tak samo, jak w Tours, zakupywał i tu jarzyny, lub owoce od przechodzących kobiet z poleceniem, by je zaniosły zakonnicom, uszczęśliwionym i zdziwionym tak delikatną jałmużną.

Dowiedziawszy się, że w okolicy mieszkał pewien nieszczęśliwy kaleka, zwany Bollin, o wstrętnej powierzchowności i tak zgryźliwym charakterze, że wszyscy stronili od niego, a własna matka zaledwie zdołała go uspakajać; kazał się doń zaprowadzić i z czasem słodyczą i łagodnością tak umiał wpłynąć na zgorzkniałego kalekę, że ten dumny z jego przyjaźni, uległ słodkiemu wpływowi, pojednał się z Bogiem i ludźmi, i po kilku latach umarł jako dobry katolik.

Opatrzność wbrew jego upodobaniu, zawiodłszy go do miejscowości kąpielowej, miała swoje osobne cele i zamiary. A mianowicie wobec rozpowszechniającego się zwyczaju nawiedzania tych miejsc odpoczynku i zabawy, chciała zapewne budujące postępowanie i przykład cnót świątobliwego swego sługi dać nam za wzór, jak się tam zachować należy. Prócz tego wiemy, że Dupont przyczynił się do



nawrócenia lub pociągnięcia na drogę doskonałości wielu osób, z którymi właśnie u wód zawiązał stosunki, a następnie, utrzymując je listownie, stał się dla nich pośrednikiem wielu łask cudownych.

## ROZDZIAŁ XVI.

### Śmierć matki. — Serdeczne związki przyjaźni i pokrewieństwa.

Pani Arnaud, matka Leona, mieszkała, jak wiemy, razem z synem. Podług świadectwa osób, które ją pamiętają, była to osoba bardzo cnotliwa i pobożna. Po nieszczęśliwym pożyciu z drugim mężem, a zwłaszcza od śmierci Henryni, całą swą miłość przelała na ukochanego syna.

On nawzajem otaczał ją czcią i uszanowaniem; w sprawach domowych nic nie czynił bez jej porady, na nią zdał całkowity zarząd domu. — Wiedząc jak bardzo była wrażliwą i skłonną do niepokojenia się, z nadzwyczajną delikatnością strzegł się, by jej nie zmartwić i nie sprzeciwić się. — Pilnie przestrzegał godzin posiłku; powracając wieczorem do domu, nieomieszkał nasamprzód udawać się do matki, aby nie niepokoila się przedłużoną jego nieobecnością. Korzystał z codziennych drobnych okoliczności, by ciągle dawać jej dowody synowskiego przywiązania.

Pobożna matka umiała ze swej strony cenić tak dobrego syna. Czuwała z przesadną nieraz troskliwością nad jego zdrowiem i potrzebami, a Dupont poddawał się temu ochotnie, w duchu posłuszeństwa. I tak przy stole w przytomności obcych osób na najłżejszy znak matki odsuwał potrawy, które, jak ona sobie wyobrażała, szkodzić mu miały. We wszystkim innem pani Arnaud pozostawiła zupełną wolność synowi, a nawet dopomagała mu w pełnieniu miłosiernych uczynków. — W harmonji i zgodzie, niczem niezamąconej, dożyli tak do roku 1860, to jest do chwili, gdy Pan Bóg zażądał od swego sługi bolesnej ofiary rozłączenia się z ukochaną matką.

Oto jak sam zgon jej opisuje:

„Wyobrazić sobie trudno, jak śmierć drogiej mej matki była lekką i cichą. Około drugiej godziny rano, miałem sobie za obowiązek przestrzedz ją o zbliżającej się chwili rozstania. „Zdaje mi, rzekła, że wkrótce żyć przestanę. I nic się nie obawiam.“ Słowa te w jej ustach tem większe miały znaczenie, ponieważ przez całe życie dręczoną była bójką sądów Boskich. Teraz z uśmiechem na ustach, z sercem, przepelnionem miłością, powtarzała gorące modlitwy. Zmówiliśmy jeszcze wspólnie Anioł Pański, a następnie odważyłem się powiedzieć jej, że konać zaczyna. „Tak sądzisz, odrzekła z słodkim uśmiechem,“ a wznosząc ręce do nieba, dodała głośno: „Przybądź Jezu, Zbawicielu mój, przybądź.“ Konanie trwało zaledwie jedną chwilę, zdażyłem tylko położyć rękę jej na mem czole, by otrzymać ostatnie

błogosławieństwo, gdy rękę tę chciałem ucałować, dostrzegłem, że oczy same się zamknęły, zasnęła słodko w całym znaczeniu tego słowa.“

Śmierć matki przyjął Dupont prawdziwie po chrześcijańsku. Pisząc do przyjaciół, przez kilka miesięcy o niej tylko wspomina, a w listach tych obok najżywszych wyrazów smutku i boleści przebija zawsze pociecha, z wiary płynąca. W gorących słowach dziękuje za pamięć o jej duszy: przyznaje, że myśl o matce nigdy go nie opuszcza, nie przeskadzając mu jednakże w zwykłych zajęciach. Śmierć jej była tak słodka i cicha, pisze, że nie mogę się oderwać od tej błogosławionej chwili rozstania. Ostatnie słowa matki: „Nie boję się,“ wymówione z niebiańskim uśmiechem, przywiodły mu na pamięć pewnego człowieka, który, lekceważąc sobie przez całe życie chwilę śmierci, umarł ze słowy: „Boję się.“ Uderzony tą sprzecznością, Dupont stosował chętnie do swej matki słowa Pisma św., wyrzeczone o niewieście mężnej i bogobojnej: „Śmiać się będzie w dzień ostateczny.“ Pani Arnaud żyła w bezustannej bojaźni sądów Bożych, dręczona skrupułami, ale posłuszeństwem dla spowiednika i prawdziwą bojaźnią Bożą, wysłużyła sobie w godzinę śmierci zupełny i błogi spokój. Bojaźń Pańska jest zatem ową drogocenną perłą, dla której nabycia wszystko sprzedać należy.

Ze śmiercią pani Arnaud nie rozluźniły się serdeczne związki, łączące świątobliwego męża z resztą rodziny i wyspą ojczystą. Martynika, tak nazwana przez Krzysztofa Kolumba od imienia wielkiego

Apostoła, św. Marcina, była zawsze dla Leona ukochaną ziemią rodzinną. Lubił o niej rozmawiać, chwalił i popierał jej przemysł i produkta. Polityczne i religijne sprawy rządów kolonialnych, w ówczas na porządku dziennym będące w parlamencie, żywo go zajmowały, budząc na przemian obawę i nadzieję; miewał często odmienne od ogółu zapatrywania, których trafność przyszłe dopiero okazały wypadki.

Kłęski, nawiedzające wyspę, bolesnem echem odbijały się w jego sercu; jeden z pierwszych spieszył z pomocą nieszczęśliwym mieszkańcom, zachęcając innych do tego samego. Ale i tu jak zawsze, szukał nadprzyrodzonej tych nieszczęść przyczyny, a bronią wiary i modlitwy usiłował zwalczać ducha przewrotu.

Pragnąc zapoznać współziomków z nabożeństwem do Przenajśw. Oblicza, posyłał im całe paki cudownej oliwy, która niejednokrotnie stała się przyczyną zadziwiających uzdrowień. To też mieszkańcy wyspy mieli wielkie o jego świątobliwości wyobrażenie, dzielone zresztą przez całą jego bliższą i dalszą rodzinę, a na które w rzeczy samej zasługiwał zarówno świątobliwym życiem, jak niezrównaną uprzejmością.

Z początku, gdy mógł jeszcze rozporządzać swym czasem, dla odpoczynku chętnie przebywał na wsi u krewnych. A z jaką radością, jak gościnnie przyjmował ich nawzajem u siebie. Wszyscy wiedzieli, że nawet i wtenczas gdy był nieobecny, cały dom był zawsze na usługi krewnych i przyjaciół;

podczas pobytu w Tours u niego tylko wolno im było mieszkać.

W obcowaniu uprzejmy, wesoly, otwarty, przyjmował ich zawsze z radosnym uśmiechem, ale dla nikogo nie zaniedbywał ćwiczeń pobożnych, ani nie zmieniał zwykłego przedmiotu rozmowy. Rodzinne sprawy nie były zdolne wyrwać go ze sfery nadprzyrodzonej, w której myślą bezustannie przebywał.

Tajemnicą między nim a Bogiem pozostał wpływ zbawienny, jaki na rodzinę wywierał i łaski, które dla niej u Boga wyprosił. Że tak było, wnosić możemy z następującego zdarzenia, opowiedzianego przez jedną z jego kuzynek, matkę chłopca od kilku miesięcy chorego, a który nie mógł znieść widoku obcych osób. — W dniu, w którym obawiano się silniejszego niż zazwyczaj paroksyzmu febrы, Dupont, pomimo zakazu, wszedł do pokoju dziecka i zawołał je do siebie. „Przestraszona śmiałością Leona—mówi matka chłopczyka—spodziewałam się gwałtownego płaczu dziecka; syn mój tymczasem posłuchał coprędzej wezwania Leona, usiadł mu na kolanach i pozwolił zawiesić sobie na szyi szkaplerz z zaszytą modlitwą: „O Jezu bądź mi Jezusem.“ Dupont popieścił chłopczyka, a następnie rzekł: „Podziękujmy Bogu, jest uleczony.“ Istotnie, febra nie powróciła, a chłopiec rósł odtąd zdrow i czerstwy.“

Do rodziny zaliczał i chrzestne swe dzieci, których posiadał około czterdziestu i to ze wszystkich sfer towarzyskich. Równie chętnie podawał bowiem do chrztu dzieci krewnych i znajomych, jak i bie-

dnych ludzi, którym nikt inny nie chciał wyświadczyć tej przysługi. On to sobie uważał jako zaszczyt, a później spełniał nader sumiennie trudne nieraz obowiązki ojca chrzestnego. Troszczył się o przybrane dzieci, zastępował im nieobecnych, lub zmarłych rodziców, służył radą i pomocą, a często i znacznym datkiem pieniężnym.

Kilka razy był też ojcem chrzestnym przechodzących na wiarę katolicką protestantów lub żydów. W jednym liście z uniesieniem wspomina o śmierci osoby, która przed dwunastu laty powróciła na łono Kościoła, a która, umierając, powtarzała radośnie: „jestem katoliczką! jestem katoliczką!“ A w końcu dodaje: „Miałem szczęście być jej ojcem chrzestnym i sownie za to zostałem wynagrodzony widokiem jej śmierci, która była wielkiem zwycięstwem nad potęgą piekła.“

Niektóre chrzestne dzieci Leona, żyjące dotąd, w wdzięcznej pamięci zachowały jego dobroć i mądrość rady. Służący Duponta są również niewyczerpani w oddawaniu pochwał tak dobremu i świętobliwemu panu, który tylokrotnie dawał im dowody prawdziwej życzliwości. Wierną zwłaszcza sługę, Adelę, od opuszczenia Martyniki stale przy nim będącą, podczas ciężkiej choroby doglądał z rozczulającą troskliwością, a następnie mówił: „Adela pochowała wszystkich moich, Bóg mi ją zostawił, aby się mną do końca opiekowała.“

Mówiąc o przywiązaniu Duponta do rodziny, niepodobna nie wspomnieć i o jego delikatnem, serdecznem a stałem uczuciu przyjaźni. Chociaż dla

braku czasu u nikogo nie bywał, troszczył się najmniej o swych przyjaciół, cieszył się ilekroć go odwiedzali, umiał okazywać im swą radość z tego powodu i prawie zawsze obdarzał jakim upominkiem, książeczkami lub medaljonikami; najkrótsza z nim rozmowa zostawiała po sobie jaką myśl dobrą, tem łatwiej przenikającą do serca, że towarzyszył jej zawsze wdzięk niezrównany, uprzejmość i urok prawdziwej świętobliwości.

Zawsze umiał znaleźć sposób przysłużenia się, lub zrobienia innym przyjemności, nie zanedbując nawet takich drobnostek, jak przysłanie wybornych owoców, dostarczenie ze swego ogrodu sławnej fasoli. Zawsze gotów na usługi innych, czuł się nawzajem bardzo zobowiązany, odbierając choćby najmniejszy dowód uprzejmości.

A jakże się cieszył, gdy dalej mieszkający przyjaciele spędzali u niego kilka dni lub tygodni. Corocznych zwłaszcza odwiedzin pana d'Avrainville oczekiwał z wielką niecierpliwością, naglił go i zapraszał do przyjazdu, pisząc między innymi: „Z radością widzę nadchodzącą chwilę tych corocznych odwiedzin. Ja ruszyć się nie mogę, Ty za to, niby dobry Samarytanin, zbliżasz się do biednego wę drowca.“ Innym razem dodaje: „Musimy koniecznie zobaczyć się i pomodlić wspólnie przed wizerunkiem Przenajświętszego Oblicza. Niechaj Cię to nie gniewa, że biorę na siebie koszta podróży. Ale przyjedź w którąkolwiek niedzielę do Tours. To przecież nie tak trudno.“ Te kilka dni, spędzonych w domu przyjaciela, były dla pana d'Avrainville koniecznym

nieomal wytchnieniem. — Od niego wiemy też wiele ciekawych szczegółów z domowego życia Leona; niech nam wolno będzie przytoczyć tu jedno jeszcze zabawne zdarzenie na dowód, jak świętobliwy sługa Boży ogólnem cieszył się uznaniem. We wrześniu 1861 roku — mówił pan d'Avrainville — siedziałem wraz z żoną moją przy biurku Duponta, zajętego właśnie czytaniem co dopiero odebranych listów. Nagle rozśmiał się serdecznie, a złożywszy trzymany w ręku papier, rzekł mi: Nie zgadłbyś nigdy w życiu, co ten listy zawiera. Ni mniej ni więcej, tylko propozycję małżeństwa.“ Istotnie jakaś poczciwa dusza pisała, że zasłyszawszy o jego cnocie i pobożności, sama też będąc pobożną, gotowa jest połączyć się z nim węzłem małżeńskim, w celu tem łatwiejszego postępu w cnocie i dopomagania mu w pełnieniu miłosiernych uczynków. Posiada dzie więć tysięcy franków rocznego dochodu; o czem łatwo przekonać się może; ma sobie jednak za obowiązek uprzedzić, że od lat kilku cierpi na solitera. Dupont przeczytał nam następnie odpowiedź swą, w której, o ile pamiętam, mówił tej pani, że źle się udała do niego, gdyż nie mógłby zajmować się jej pieniężnymi interesami, nie mając dość czasu dla swych własnych, dalej, że skoro posiada już jednego solitera—co po francusku znaczy tyle, co samotnik—radzi jej szczerze, aby na nim poprzestała, gdyż dwóch nie ścierpiałoby się wzajemnie. Odpisawszy w tak dowcipny i żartobliwy sposób, już więcej o tem nie wspominał.“

Dupont był zwłaszcza nieporównany — zdrowił.“



braku czasu u nikogo nie bywał, troszczył się niemniej o swych przyjaciół, cieszył się ilekroć go odwiedzali, umiał okazywać im swą radość z tego powodu i prawie zawsze obdarzał jakim upominkiem, książeczkami lub medaljonikami; najkrótsza z nim rozmowa zostawiała po sobie jaką myśl dobrą, tem łatwiej przenikającą do serca, że towarzyszył jej zawsze wdzięk niezrównany, uprzejmość i urok prawdziwej świętobliwości.

Zawsze umiał znaleźć sposób przysłużenia się, lub zrobienia innym przyjemności, nie zaniedbując nawet takich drobnostek, jak przysłanie wybornych owoców, dostarczenie ze swego ogrodu sławnej fasoli. Zawsze gotów na usługi innych, czuł się nawzajem bardzo zobowiązany, odbierając choćby najmniejszy dowód uprzejmości.

A jakże się cieszył, gdy dalej mieszkający przyjaciele spędzali u niego kilka dni lub tygodni. Corocznych zwłaszcza odwiedzin pana d'Avrainville oczekiwał z wielką niecierpliwością, naglił go i zapraszał do przyjazdu, pisząc między innymi: „Z radością widzę nadchodzącą chwilę tych corocznych odwiedzin. Ja ruszyć się nie mogę, Ty za to, niby dobry Samarytanin, zbliżasz się do biednego wędrowca.“ Innym razem dodaje: „Musimy koniecznie zobaczyć się i pomodlić wspólnie przed wizerunkiem Przenajświętszego Oblicza. Niechaj Cię to nie gniewa, że biorę na siebie koszta podróży. Ale przyjedź w którąkolwiek niedzielę do Tours. To przecież nie tak trudno.“ Te kilka dni, spędzonych w domu przyjaciela, były dla pana d'Avrainville koniecznym

nieomal wytechnieniem. — Od niego wiemy też wiele ciekawych szczegółów z domowego życia Leona; niech nam wolno będzie przytoczyć tu jedno jeszcze zabawne zdarzenie na dowód, jak świętobliwy sługa Boży ogólnem cieszył się uznaniem. We wrześniu 1861 roku — mówił pan d'Avrainville — siedziałem wraz z żoną moją przy biurku Duponta, zajętego właśnie czytaniem co dopiero odebranych listów. Nagle rozśmiał się serdecznie, a złożywszy trzymany w ręku papier, rzekł mi: Nie zgadłbyś nigdy w życiu, co ten listy zawiera. Ni mniej ni więcej, tylko propozycję małżeństwa.“ Istotnie jakaś poczciwa dusza pisała, że zasłyszawszy o jego cnocie i pobożności, sama też będąc pobożną, gotowa jest połączyć się z nim węzłem małżeńskim, w celu tem łatwiejszego postępu w cnocie i dopomagania mu w pełnieniu miłosiernych uczynków. Posiada dziewięć tysięcy franków rocznego dochodu; o czem łatwo przekonać się może; ma sobie jednak za obowiązek uprzedzić, że od lat kilku cierpi na solitera. Dupont przeczytał nam następnie odpowiedź swą, w której, o ile pamiętam, mówił tej pani, że źle się udała do niego, gdyż nie mógłby zajmować się jej pieniężnymi interesami, nie mając dość czasu dla swych własnych, dalej, że skoro posiada już jednego solitera—co po francusku znaczy tyle, co samotnik—radzi jej szczerze, aby na nim poprzestała, gdyż dwóch nie ścierpiałoby się wzajemnie. Odpisawszy w tak dowcipny i żartobliwy sposób, już więcej o tem nie wspominał.“

Dupont był zwłaszcza nieporównanym w obco-

waniu z osobami, dotkniętymi smutkiem, lub nie-  
szczęściem. Jednem słówkiem wlewał nieraz pocie-  
chę w zbolące ich serca. — Gdy raz pewna matka  
wynurzała przed nim swój żal nad stratą córki, słu-  
ga Boży wysłuchał ją spokojnie, a następnie zapytał  
z wielką powagą: „Gdybyś pani posiadała w tej  
chwili moc wskrzeszenia córki i sprowadzenia jej na  
nędzny padół, czyżbyś to uczyniła?“ A gdy matka  
zniewoloną była odpowiedzieć, że nie—dodał: „A za-  
tem nie rozpaczaj!“

Nie będąc kapłanem, posiadał jednak isticie apo-  
stolską miłość i gorliwość; można było o nim po-  
wiedzieć to samo, co o Boskim Zbawicielu, że był  
„przyjacielem grzeszników.“ Szukał wszędzie zbłą-  
kanej owieczki, aby ją przywieść do owczarni. Wra-  
cając wieczorem, zwykł był spotkanym dzieciom,  
lub też obcym zbłąkanym, lub zapóźnionym przy-  
byszom dopomagać do odnalezienia najbliższej drogi  
do domu.

Miłosierdzie jego rozciągało się nawet do pi-  
janych żołnierzy, którzy pomimo, że godzina apelu  
minęła, nie mogli, lub nie chcieli wracać do koszar,  
a przez to ściągali na siebie surową karę. Spotka-  
wszy pewnego razu podochoconego żołnierza, począł  
prosić go i namawiać do spiesznego powrotu, a gdy  
wszelkie przedstawienia okazały się daremnymi, co  
robi mąż Boży?—Oto, niewiele myśląc, daje pijako-  
wi dwa franki, aby tym sposobem skłonić go do  
posłuszeństwa. Żołnierz uszczęśliwiony otrzymanemi  
pieniędzmi, zawraca coperdziej do szynkowni, aby,  
jak mówił, poczęstować swego dobroczyńcę. Dupont

i teraz nie daje za wygraną, ale, zawezwawszy po-  
mocy mieszkającego w pobliżu przyjaciela, dawnego  
wojskowego, przywiódł do upamiętania niesforne-  
go szeregowca, odprowadził go do koszar i polecił wy-  
rozumiałości przełożonych.—Nie poprzestając na tem,  
nazajutrz poszedł przekonać się, co porabia jego  
protegowany, a ten oprzytomniawszy, wzruszony tak  
wielką dobrocią, wyrzekł się zgubnego nałogu i od-  
tąd stał się przykładnym chrześcijaninem.

Pelen gorliwości o zbawienie dusz ludzkich,  
Dupont wyróżniał z pomiędzy wszystkich zgroma-  
dzeń religijnych szczególnie zakon, istniejący od  
niedawna pod nazwą Matek Miłosierdzia, a mający  
na celu przygarnianie upadłych moralnie dziewczyn  
i sprowadzenie ich na dobrą drogę. Nawiedzał czę-  
sto ów święty przytułek, wspierał jałmużną, starał  
się umieszczać w nim jak najwięcej tych nieszczę-  
śliwych istot. „Nieraz — opowiadała przełożona —  
widziałam, że klękał przed młodemi pokutnicami,  
zaklinając ich, by nie ulegały pokusie opuszczenia  
Zakładu i nie powracały do dawnego życia. A gdy  
prośbą nie mógł ich skłonić do wypełnienia nazna-  
czonej pokuty, sam ją za nie odprawiał.“

Trudno wypowiedzieć, jak uprzedzająco dobrym  
był względem kalek i chorych, odbywających piel-  
grzymkę do Przenajśw. Oblicza.

Pewna służąca, z powodu choroby nie zdolna  
mówić ani połykać, przybyła do mieszkania jego  
w chwili, gdy właśnie z domu wychodził. Chwyta  
go więc za suknie i szeptem ledwie dosłyszalnym  
głosem: „Przychodzę do pana, abys mnie uzdrowił.“

Dupont wrócił natychmiast do domu, a wybadawszy chorą, kazał jej połknąć kilka kropli oliwy, poczem uklęknawszy przed wizerunkiem Oblicza Pańskiego, począł odmawiać litanję. — „W miarę, jak odpowiadałam — zeznaje służąca — nieznośny ból ustawał, a głos powracał mi zwolna. Pan Dupont podał mi potem posiłek, który z łatwością mogłam przełknąć. Co więcej, uważając, że jeszcze niezupełnie jestem zdrową, zatrzymał mnie u siebie, mówiąc: Potrzeba ci lepszego pożywienia, będziemy cię pielęgnować. Miesiąc cały byłam pod opieką pani Arnaud, a czasu tego nie zapomnę nigdy. Polepszenie utrzymało się przez dwa lata.“

Niemniejszą wspaniałomyślność i dobroć okazywał Dupont w obejściu z robotnikami. Cieszył się, gdy biednym tym ludziom mógł zrobić przyjemność i nie zaniedbywał najmniejszej sposobności, by im się przysłużyć. Gdy tymczasem kaplica św. Marcina została ukończoną, rzemieślnikom, zatrudnionym przy jej budowie, zapragnął sprawić miłą niespodziankę. — Na ich intencję zamówił mszę św., na którą wszyscy zebrali się w kaplicy, a następnie czekało ich sute śniadanie, urządzone kosztem i staraniem Duponta. W takich rządzach płacił hojnie, ale jak zawsze skromny i nie lubiący naprzód się wysuwać, zaledwie się ukazywał i nigdy głosu nie zabierał.

Względy, okazywane robotnikom, jakkolwiek ze szczerego płynące serca, miały jeszcze u niego cel inny, nadprzyrodzony; — wszelkimi sposobami dążył do tego, by zbliżyć tych ludzi do Boga

a przez to wyświadczał im największe, bo moralne dobrodzieństwo.

Nie było to dla nikogo tajemnicą, że uprzejmość tego prawdziwego chrześcijanina zmierzała zawsze do pozyskania dusz Bogu i do przelania w ich serca gorącego przywiązania do Kościoła świętego. A dziwnie mu się to udawało: — ludzie byliby poszli za nim w ogień i co tylko chciał mógł z nimi przeprowadzić. Był, stosownie do słów Piśma św.: wszystkim dla wszystkich, aby wszystkich Jezusowi pozyskać.

## ROZDZIAŁ XVII.

### Trzecia epoka czci Przenajśw. Oblicza.

W chwili śmierci pani Arnaud Dupont liczył już sześćdziesiąty trzeci rok życia, a lat jedenaście upływało od czasu, gdy wyłącznie poświęcił się czci Przenajświętszego Oblicza. Troskliwa matka aż do końca zawiadowała domem ukochanego syna, była dlań najmiłszem towarzystwem, zastępowała mu całą rodzinę. To też strata jej nad wyraz była dlań bolesną i da reszty oderwała go od świata; odtąd duszą i sercem oddał się już tylko dziełu, do którego Pan powołał go w tak opatrnościowy sposób. Życie jego upływało wyłącznie przed obrazem Oblicza Pańskiego, zwłaszcza pomiędzy rokiem 1860 a 1870 prawie się ztamtąd nie ruszał. Modlitwa, przyjmo-

wanie chorych, korespondencje, nie pozostawiały mu literalnie jednej wolnej chwili. Zdrowie jego cierpiało na tem, widzi to i czuje, ale poddaje się woli Bożej i czyni z siebie ofiarę zupełną. Za to pokorne poddanie się wynagrodził go Pan łaskami wewnętrznymi, które go podniosły do wysokiego stopnia doskonałości, oraz wielką ilością cudów, których był czynnym świadkiem, jeśli już nie mamy powiedzieć, że widocznem i niezaprzeczonem narzędziem.

Główne święta i publiczne miejscowe uroczystości przysparzały mu zawsze zajęcia, ściągając całe tłumy pielgrzymów lub ciekawych. Posłuchajmy, jak się na to skarży do przyjaciół, a najprzód w liście do p. d'Avrainville 1864 roku: „Rzadko kiedy byłem więcej pracą obciążony. Szczać listów czeka odpowiedzi, cztery paczki z oliwą do wysłania, prócz tego całe tłumy pielgrzymów.“ A na innym miejscu: „Mamy tu zjazd prowincjonalny bardzo ożywiony i dziesięciodniowy jarmark, skutkiem czego obciążony jestem przez pielgrzymów, a w dodatku czeka mnie dziś odpowiedź na piętnaście listów... Zmęczony jestem. Kończę zatem.“ „Znajdziesz mnie zmienionym i zestarzałym, pisze jeszcze do przyjaciela, a zawsze obciążonym pracą. Zaledwie mogę podać nader licznej korespondencji. Od rana do wieczora coraz nowe zajęcia, niby gradem spadają na mnie, a skutkiem tego jest mi wprost niepodobnem podjąć choćby najmniejszą systematyczną pracę.“

„Nie możesz sobie wyobrazić, drogi przyjacie-

lu, ile i jak różnorodnych zajęć przysparza mi nabożeństwo do Przenajświętszego Oblicza.“

Do innych osób powtarza mniej więcej to samo, ale wyrażając głównie radość z powodu licznych cudów, których jest świadkiem.

„Nie mylisz się, twierdząc, że jestem obciążony korespondencją, która powiększa się bezustannie, ponieważ Pan Jezus nie przestaje nagradzać wiary ludzi, uciekających się z ufnością do Przenajśw. Oblicza. Czy uwierzysz, że od 1 stycznia odebrałem czterdzieści i dwa podziękowań za otrzymane łaski z powodu używania św. oliwy, a listów przynajmniej ośm dziennie.“

Do przyjaciela, znajdującego się w podróży, pisze 11 kwietnia 1863 r.: „Co do mnie nie mogę nawet zamarzyć o wyjeździe z Tours. Sprawy Oblicza Pańskiego trzymają mnie niejako w więzieniu i to jako skazańca na ciężkie roboty, z pracą co dzień większą. Nowe łaski otrzymujemy bezustannie.“

Zniewolony był wyrzec się ulubionych pobożnych pielgrzymek, nawet do Paray le Monial, miejscowości wślawionej pobytom błogosławionej Małgorzaty Alacoque, której tam właśnie Pan Jezus objawił nabożeństwo do Boskiego swego Serca.

„Namawiano mnie bardzo — pisał 17 czerwca 1861 r. — abym się udał do Paray le Monial, ale to niepodobna, nie mogę oddalić się choćby na dni kilka. Z głębi serca wołam: Fiat! przyjmuję tę ofiarę na zadosyćuczynienie za tak małe owoce, jakie wyniosłem z mych poprzednich licznych pielgrzymek.“

To dobrowolne zamknięcie się, przeciwne przy-



zwyczajeniom i ruchliwej naturze Leona, przyczyniło się do rozwinięcia u niego w wysokim stopniu stawowego reumatyzmu i pedogry. Nad wyraz bolesne było to cierpienie. W roku 1862 próbował raz jeszcze zwalczyć je kąpielami w Bourbon. Pobyt u wód nieznaczną tylko przyniósł mu ulgę, kuracja nie była zdolną przytłumić choroby; to też nie chciał już nadal opuszczać naznaczonego mu przez Boga stanowiska, w kalectwie swem upatrując znak woli Bożej, by się z Tours nie oddalał.

„Nogi moje — pisze 20 marca 1867 r. — wciąż mi służbę wypowiadają, — widzę, że na cierpienie moje nie ma już rady, — znak to oczywisty, że Bóg chce, abym więcej jak kiedykolwiek przebywał przed obrazem Przenajśw. Oblicza. Ale z Psalmistą dodać mogę z głębi serca: Hic habitabo, quoniam elegi eam.“

Dzień cały siedząc przy biurku, lub klęcząc w rogu pokoju, a zawsze z oczyma zwróconemi na cudowny wizerunek, modlił się, pracował, lub przyjmował odwiedzających go chorych i pielgrzymów. Napływ ich bywał niekiedy tak wielki, że brama, dziedziniec, ulica nawet przed domem zapełnione były ludźmi i powozami. Nie wszyscy jednak otrzymywali upragnione zdrowie; niektórzy chwilowo uleczeni, po pewnym czasie w dawne popadali cierpienie, ale tak jedni jak i drudzy, zbudowani przykładem Leona, z obcowania z nim i rozmów odnosili wspomnienie, umacniające ich później w rozlicznych okolicznościach życia. Przekonać się o tem możemy z listu pewnej, wysoko postawionej pani, z którego

wyjątek tu przytaczamy, aby dać czytelnikom po- znać, że to zbliżenie dusz do świątobliwego sługi Bożego, było właśnie tajemnym celem Opatrzności.

„Dupont zrobił na mnie wrażenie świętego, — pisze wspomniana pani. — Liczyłam szesnasty rok życia, gdy matka, zaniepokojona oplakany stanem mego zdrowia, wybrała się ze mną i z mą siostrą do pana Dupont do Tours. Powitawszy nas, mąż Boży zapytał zaraz, czy byliśmy u spowiedzi, a odebrawszy odpowiedź, że byliśmy niedawno, rzekł: „To nic nie znaczy, — jeśli chcecie otrzymać jaką łaskę, musicie najpierw przystąpić do Sakramentów św.“ Następnie udzielił nam oliwy z lampki i modlił się z nami. Powróciliśmy do niego jeszcze jeden lub dwa razy; nazajutrz opuszczając Tours, czułam się już znacznie lepiej, i przez półtora roku dobrem cieszyłam się zdrowiem. Po upływie tego czasu cierpienie powróciło, stan mój się nawet pogorszył, ale rzecz dziwna, nie czułam już dawnej ufności, aby Pan Bóg przywrócił mi zdrowie, którego tak mi widocznie odmawiał, a jeśli pragnęłam udać się do Tours i zobaczyć Duponta, to jedynie dla zbudowania się jego widokiem.“

Wszyscy którzy go znali mogą poświadczyć, że nawet powierzchowność jego świadczyła wymownie, iż był to człowiek umarły światu i sobie samemu, żyjący jedynie miłością Boga i bliźniego. — Jakże wielkiego zaparcia siebie było potrzeba, aby całe życie spędzić na usługach ludzi, najczęściej obcych; nie znudzić się tem ciąglem napominaniem, modleniem się z każdym osobno i to zawsze z niczem

niezmaconą słodyczą i pogodą ducha. Zniewolony powtarzać bezustannie te same modlitwy, z wielkiem odmawiał je skupieniem i nabożeństwem, w razie potrzeby po kilka razy z tą samą osobą zawsze kłęcząco, żądając, aby go w tem naśladowano. A przytem ani słowa o samym sobie; zdawało się, że zrzekł się najzupełniej własnego *ja*, aby się poświęcić jedynie służbie Boskiego Mistrza. Nieotrzymanie żądanej łaski przypisywał zazwyczaj niedostatecznej wierze, lub ufności proszących. Ten brak potrzebnego usposobienia umiał rozpoznać z drobnych wskazówek, które sam tylko dostrzegał i z miłością, po prostu upominał odnośne osoby. I tak, gdy dwie panie w przejeździe do wód, daremnie prosiły o zdrowie, rzekł im: „Zazwyczaj otrzymuje się łaski nie jadąc do wód, lecz wracając z tamtąd, gdy już ludzkie środki zostały wyczerpane, jak to widzimy na przykładzie niewiasty z Ewangelji, chorej od lat dwunastu, która cały majątek straciła na lekarzy, nie doznawszy żadnej ulgi.“ Nie dokończył dalszego brzmienia tekstu, który mówi, jako kobieta owa, przybliżywszy się do Pana Jezusa, dotknęła kraju jego szaty, a w tejże samej chwili uzdrowiona, zasłużyła sobie na pochwałę Zbawiciela: *Córko, wiara twoja ciebie uzdrowiła. Skoro wszystkie środki zawiodą i od ludzi niczego już spodziewać się nie możemy, zwracamy się wtedy wyłącznie do Boga, w Nim tylko nadzieję pokładając.*

Niekiedy Pan w niezbadanych wyrokach swoich, odmawiał łaski uzdrowienia osobom świątobliwym i pełnym gorącej ufności, jak np. prałatowi

de Ségur. Innym razem próśby bywały natychmiast wysłuchane, i to nawet przesyłane listownie lub telegraficznie. Pewnego dnia, służący, wołając Duponta na obiad, doręczył mu telegram, w którym proszono o modlitwę na intencję konającego dziecka. Dupont, pełen szacunku dla starej swej matki, która naonczas jeszcze żyła, nie chcąc, by czekała na niego z obiadem, złożył telegram przed wizerunkiem Przenajśw. Oblicza, mówiąc: „Widzisz o Panie, że rzecz ta zwłoki nie cierpi.“ Po upływie kilku dni otrzymał list dziękczynny z doniesieniem, że o tej samej godzinie zauważono u dziecka pomyslny zwrot choroby i życie jego zostało ocalone.

Wszyscy, którzy doznali na sobie łaski uzdrowienia, zarówno jak i ci, którzy byli świadkami cudów; sławili jednogodnie moc Przenajświętszego Oblicza, i stawali się krzewicielami tego nabożeństwa. Świadectwa ich uzupełniają i potwierdzają się wzajemnie.

I z tej epoki przytoczyć należy choćby kilka tylko uzdrowień. Jedno z najgłośniejszych, panny Hortensji D., w następujących słowach stwierdza miejscowy proboszcz.

„Poświadczam, jako piętnastoletnia panienska, Hortensja D., była chorą od siedmiu miesięcy i na próżno przez doktorów leczoną, tak że, podług ich mniemania czas tylko zdolen był ulgę jej przynieść. Zrazu z trudnością mogła jeszcze chodzić, ale w końcu zupełnie straciła władzę w nogach. We czwartek przed Zielonemi Świątkami zawieziono ją do Tours, a ojciec na rękę przeniósł ją z powozu

do salonu Duponta. Mąż Boży modlił się wespół z matką i córką, dał im oliwę z lampki, palącej się przed wizerunkiem Oblicza Pańskiego, dla namaszczenia kolan i pleców dziewczynki. Nazajutrz powtórzone dwukrotnie namaszczenie, poczem Hortensja o własnej sile mogła chodzić po mieszkaniu Duponta. Ztamtąd udała się do katedry, uklękła przed obrazem Matki Boskiej, nawiedziła jeszcze kościół św. Juljana i następnie wróciła do hotelu. Nazajutrz, przybywszy do rodzinnego miasta, wyskoczyła z powozu na powitanie ojca i od tej chwili chodzi zupełnie dobrze, a choroba znikła bez śladu.

A teraz posłuchajmy, jak Hortensja sama pisze o tem do Duponta: „Wszyscy tu dziękują Bogu i zdumiewają się nad cudem. Doktor, który od siedmiu miesięcy napróżno wszelkich dokładał starań, aby mię uleczyć, zdziwił się niemało posłyszawszy, że chodzę o własnej sile, przyszedł sam, by się o tem przekonać i oczom swym nie chciał wierzyć, widząc mię poruszającą się swobodnie. Kilku osobom, które go o to pytały, powiedział, że jest przekonany, iż jedynie moc Boża mogła mię uzdrowić; żaden lekarz, zwłaszcza w tak krótkim czasie nie byłby zdolny tego dokazać. Kalectwo moje było ogólnie w mieście wiadomem, to też uzdrowienie tem powszechniejsze wywarło wrażenie; nawet z okolic, o ośm mil odległych, przychodzono mię oglądać. Chorzy zapragnęli, aby zanoszono ich do Pana i namaszczano św. oliwą, a chociaż po jej użyciu nie wszyscy odzyskali zdrowie, to w każdym razie znacznej doznawali ulgi. Miejscowi księża, uszczęśli-

wieni mem uleczeniem, cieszyli się wszelako więcej jeszcze widokiem wielu osób, które dawniej w nie nie wierzyły, od wielu lat nie przystępowały do Sakramentów św., a które przed użyciem św. oliwy przez szczerą spowiedź jednały się z Bogiem.“

Dupont celował, jeżeli godzi się tak wyrazić, w sztuce rozbudzania w sercach ludzkich gorącej wiary i ufności, przez które w modlitwie wszystko otrzymać można.

Pani G. od półtora roku rażona paraliżem na nogi, wyczerpała napróżno wszelkie ludzkie środki; przybywszy do syna, mieszkającego w Tours, zapragnęła za przykładem tylu innych chorych, poszukać pomocy u Duponta. Gdy z trudem wielkim do niego się zawlokła, namaszczone chore jej członki, ale bez widocznego skutku. Wtenczas Dupont pokrzepił ją na duchu, zachęcał do ufności w Bogu i udzielił buteleczki cudownej oliwy, polecając odprawienie nowenny. Pani G. wróciwszy do domu, tak się czuła znużoną, że nazajutrz syn jej oparł się stanowczo powtórzeniu pielgrzymki. W domu więc odprawiła zlecone modlitwy i namaszczenia, aż dnia jednego, czując się znacznie zdrowszą, o jednej tylko krukwi chodzić poczęła, a widząc, że nadspodziewanie to jej się udało, odrzuciła i drugą, poruszając się przytem z zupełną łatwością. — „O patrz! zdrową jestem! — zawołała na syna — teraz nie zabronisz mi już udać się do mieszkania Duponta.“ I jakoż poszła tam bez krukwi, bez niczyjej pomocy — i odprawiła zwyczajne dziękczynne modlitwy. „Odzyskałaś pani zdrowie — rzekł jej mąż Boży — ale to

nie dosyć, trzeba teraz nogi wypróbować. Na podziękowanie Bogu, obejdz nasze parafjalne kościoły.“ Pani G., posłuchawszy tej rady, nawiedziła z kolei siedm kościołów, bardzo od siebie odległych, a uczyniwszy to bez znacznego utrudzenia, powróciła do domu zupełnie uleczona.

Pewna młoda osoba, skutkiem nabrzmienia, pozbawiona władzy w nogach, gdy przyniesiono ją przed wizerunek Oblicza Pańskiego, modliła się głośno: „Jeśli Ci się to Boże podoba, i jeśli taka jest wola Twoja, proszę, przywróć mi zdrowie.“ Słyszając te słowa Dupont, zganil ją łagodnie, mówiąc: „Nie tak modlić się trzeba! Wiara twoja nie jest dość silna!... W bardziej stanowczy sposób należy odzywać się do Boga: Panie, ulecz mię.“ — „O, to niepodobna, nie mogę rozkazywać Panu Bogu.“ „Nie masz dość żywej wiary — odpowiedział Dupont — trzeba mówić: Chcę być uzdrowioną, — uzdrów mnie Panie! Modlić się należy z bezgraniczną ufnością.“ — „O Boże — skarżyła się biedaczka — mnie się jednak zdaje, że ja mam wiarę.“ I pobudzając się do większej żarliwości, na nowo modlić się poczęła, poczem stan jej trochę się polepszył, tak, że pieszo, choć z wielkim trudem, mogła powrócić do domu. Zachęcona tem niespodzianem polepszeniem, i wyrzucając sobie brak wiary, mówiła do Boga: „To prawda Panie, nie dość zaufałam Twojej potędze i miłosierdziu. Widzę i wierzę, że chcesz i możesz mnie uzdrowić; proszę Cię więc o tę łaskę, racz mi jej udzielić.“ I ponownie udała się do Duponta, z kąd powróciła zupełnie zdrowa. Mąż

Boży wlał w jej serce wiarę tak silną, jaką sam posiadał, o której powiedział Pan Jezus: „Przeć wam powiadam: wszystko o cokolwiek modląc się prosicie, wierząc, że otrzymacie, a stanie się wam.“ (Marek XI, 24).

Nie wszystkie jednak świadectwa i podziękowania doszły naszych rąk, Dupont, pelen pokory, niszczył bowiem te, które zbyt pochlebnie o nim wspominały, jak naprzykład opis następującego cudownego zdarzenia, stwierdzonego nam niedawno powtórnie przez pana d'A., który pisze:

„Żona moja tak bardzo była chorą i osłabioną, że od kilku tygodni nie mogła nawet poruszyć ręką o własnej sile, ani przyjąć posiłku; najmniej sześc męczył ją nieznośnie. Stan był rozpaczliwy, widzieliśmy śmierć zbliżającą się niechybnie. Teś mój i ciotka, zważpiwszy o wszelkich ziemskich środkach, postanowili udać się do Tours do Duponta. Wyjechali we wtorek 4 czerwca 1867 r., ale dla niespodziewanego opóźnienia pociągu, dopiero nazajutrz mogli się udać do Duponta. Nic nie wiedząc o tej zwłoce, łączyliśmy się z nimi myślą i modlitwą do Przenajsw. Oblicza. — Dnia tego nie zauważyliśmy jednak u chorej najmniejszej zmiany na lepsze. — W przypuszczeniu, że pielgrzymka skończona, że wysłańcy nasi powracają do domu, byliśmy blizcy zwątpienia i rozpaczy. — Tymczasem w południe, w tejsze samej chwili, gdy teś mój i ciotka wespół z Dupontem modlili się przed wizerunkiem Przenajsw. Oblicza, a żonie mojej zmieniano bieliznę, z największem zdumieniem spostrzegła, że bez



obcej pomocy może unieść głowę i poruszyć ręką. Nazajutrz za przybyciem pielgrzymów, namaszczone ją oliwą i odprawiono zwykle modlitwy; w tejże samej chwili żona moja o niemałe przyprawiła nas zdziwienie, mówiąc, że chce wstać, a poruszając ręką, jak tego od trzech miesięcy uczynić nie mogła, wyprostowała zgięte kolana. — Bez śladu cierpienia uklękła przy łóżku, dziękując Bogu za tak oczywiste i zupełne uzdrowienie. — Oto dokładny opis cudownego zdarzenia, miało ono miejsce dziesięć lat temu, ale są rzeczy, których się nie zapomina, choćby się żyło i sto lat.“

To proste opowiadanie świadczy wymownie o wielkości cudu i o tem, jak bardzo skuteczną była modlitwa Duponta. — W roku 1877 państwo d'A. wraz z dwojgiem dzieci odbyli dziękczynną do Tours pielgrzymkę, ze łzami oglądali salon Duponta, zamieniony w kaplicę, sławiąc męża Bożego, zowiąc go świętym cudotwórcą.

Hrabina de Vaux, w zakonie Siostra Teresa, przełożona Zgromadzenia św. Ludwika w Suilly, zeznaje co następuje:

„Jedna z naszych uczennic, piętnastoletnia panienka, 1862 r. zapadła na galopujące suchoty. Miejscowy lekarz, zarówno jak i specjalista, sprowadzony z Paryża, orzekli jednogłośnie, że cierpienie jest nieuleczalne, a chorej przepowiadali zaledwie miesiąc życia. Nie pozwolili nawet przewieźć jej do mieszkającej w Paryżu siostry, twierdząc, że to śmierć przyspieszyłyby mogło, i zalecili przysposobić rodzinę do smutnej ostateczności. Słuchając wyniku

konsultacji lekarskiej,—mówi dalej przełożona,—pomyślałam o cudownej oliwie Duponta, za pomocą której uzyskałam już kilka uzdrowień, i raz jeszcze prosząc doktorów o powtórzenie, że nie masz rady, że istotnie chora jest na śmierć skazaną, zamiast smuć się, pełna spokoju i ufności, byłam przekonana, że Bóg ją uleczy. Po odejściu lekarzy, namaściłam piersi dziewczynki oliwą Duponta i rozpoczęłam nowennę, pięć Ojczy nasz i pięć Zdrowaś Marya. Podczas nowenny, jak to się zdarza zazwyczaj, stan chorej się pogorszył, lecz w miarę tego rosła wiara moja. Ostatniego dnia doktor, widząc brzydką flegmę, którą chora wypłuka, rzekł, w przypuszczeniu blizkiego końca: „To już ostatni raz.“ „O tak,—odrzekłam, ale w zupełnie innem znaczeniu,—to już ostatni raz.“ Nazajutrz nie było śladu gorączki, ani bólu piersi. Doktor, odwiedzając jak zwykle młodą panienkę, znalazł ją zdrową zupełnie, wesolą, zjadającą z apetytem.—Zdumiony zapytał: „Co się tu stało? wytłómacz mi Siostrzolo!“ „Nie gniewaj się doktorze,—odrzekłam — ponieważ wydałeś wyrok śmierci na moje dziecko, zwróciłam się do innego, potężniejszego lekarza.“ A opowiadając mi o namaszczeniach cudowną oliwą, dodałam: Jak pan widzisz, nawet galopujące suchoty nie mogą się oprzeć Bogu, najmocniejszemu, najlepszemu lekarzowi. Odtąd panna L. wolną była od wszelkiego cierpienia, a poświęciwszy Bogu życie, w tak cudowny sposób zachowane, od kilku lat jest zakonnicą w naszym klasztorze.“

Niezawsze jednak osoby, błagające skwapliwie

o pomoc, pamiętały o podziękowaniu za otrzymane łaski. Dupont bolał nad tem, groził karą Bożą za tak wielką niewdzięczność, co też rzeczywiście kilkakrotnie miało miejsce.

Gdy n. p. pewna suchotnica z okolic miasta Angers, cudownie uleczona, po jakimś czasie w inną popadła chorobę, mąż Boży nie dziwił się temu, przepowiedział wyraźnie, że nie odzyska zdrowia, dopóki, nadsyłając świadectwo poprzedniego uleczenia, nie podziękuje Bogu za otrzymaną łaskę. Działo się to przed dwudziestu pięciu laty, świadectwa nie przysłano, chora też nie wyzdrowiała. W ostatnim dopiero czasie, gdy sporządzono żądany dokument, osoba ta, prawie zupełnie uleczona, mogła odprawić dziękczynną pielgrzymkę do Przenajśw. Oblicza i ustnie potwierdzić nam wszystkie szczegóły tego cudownego zdarzenia.

Niekiedy napływ pielgrzymów znacznie się zmniejszył, o czem Dupont w listach swych kilkakrotnie wspomina, i tak pisze pod dniem 19 stycznia 1864 r. „Od miesiąca nie masz prawie pielgrzymów, w tym czasie otrzymałem jedno jedyne poświadczenie. Nie pytam z kąd to pochodzi, stwierdzam tylko jak rzeczy stoją. A w dwa lata później 19 września 1866 r. „Jestem zawsze na posterunku, który znasz dobrze... Od pewnego czasu liczba pielgrzymów zmniejsza się, o co się wcale nie gniewam, gdyż siły moje słabną, a potrzeba mi ich jeszcze dosyć, aby zadośćuczynić licznej korespondencji i rozsyłaniu świętej oliwy.“

Co było istotną przyczyną zmniejszenia się pielgrzymek? Wiemy, że czasem urok każdej nowości słabnie, tak też i w tym przypadku, przywyknęto do cudownych wydarzeń, ciekawych mniej przychodziło, pozostali tylko pielgrzymi i chorzy. Ci ostatni nawet poprzestawali często na piśmieniem poleceniu swej sprawy i na prośbie o świętą oliwę.

To ograniczenie ruchu było może zrzędzeniem szczególnie liściwej Opatrzności Bożej względem starego, a tak wiernego sługi, aby mu dać więcej czasu do przysposobienia się na ostatnią podróż, gdzie go czekała wieczna nagroda. Dupont nie dziwił się, ani smucił zmniejszonym napływem pielgrzymów, owszem cieszył się nawet, że mniej jest nachodzonym przez ludzi, obsypujących go dowodami czci i uwielbienia, co było zawsze dla niego prawdziwą męczarnią. Odbierane listy przekonywały wymownie, że chwała Boża nie cierpi na tem, łaska i nadal w sercach ludzkich działała tajemnie, ale niemniej skutecznie. Wielką pociechą były dlań rozpoczynające się wówczas tłumne pielgrzymki do Lourdes, gdzie objawiła się Matka Boska i już liczne poczęły się dzieła cuda. W tym ruchu upatrywał nawet jedną z głównych przyczyn, dla których mniej odwiedzano jego kapliczkę w Tours, podług jego zdania Przenajświętsze Oblicze Pańskie skłaniało ludzi do tych pielgrzymek, aby tem liczniejsze łaski mogli otrzymać przez Niepokalaną Dziewicę, tam się objawiającą.

Dupont tak z powodu cierpienia, jak i zajęcia

około nabożeństwa Przenajświętszego Oblicza, nie mógł i nie chciał oddalać się ze swego mieszkania, nie był w Lourdes, ale uwaga, jaką poświęcał temu ważnemu objawieniu, zniewala nas do zatrzymania się nad niem choćby na krótką chwilę.

## ROZDZIAŁ XVIII.

### Lourdes.

Wieść o cudownem objawieniu się Niepokalanej Dziewicy w Lourdes ożywiła w sercu Leona nadzieję rychłego tryumfu Kościoła i zwycięstwa nad wściekłością szatańską, nadzieję, wzbudzoną już pierwszym objawieniem w La Salette. — Jak bardzo Marya troszczy się o zbawienie świata — pisze między innymi — mogli ludzie przekonać się dowodnie z ukazaniem się Jej w la Salette, ale jeśli prawdą jest, że Marya powtórnie zstąpiła na tę ziemię, wdzięczność nasza powinna być bez granic, i śmiało twierdzić możemy, że tryumf Kościoła blizkim jest, bo niepodobna, aby tyle nowych dowodów łaski nie miało przywieść do upamiętania serc zaślepionych. Zaiste niebezpieczeństwo jest groźne, ale Bóg mocen jest poskromić złość szatana, ufajmy, że ją ukroci na większą chwałę swoją i ku zawstydzeniu zwierza piekielnego.“

Porównując la Salette i Lourdes, pisze: „W la Salette Marya płacze, w Lourdes uśmiecha się.

W la Salette na szacie Jej były wyrażone znamiona męki Pańskiej, w Lourdes oblicze Jej promienieje, a biała suknia i niebieska szarfa czyż to nie strój weselny?—W la Salette jest zapowiedź klęsk i wielkich nieszczęść, — w Lourdes jedynie polecenie modlenia się za grzeszników, słodkie polecenie, budzące nadzieję przebaczenia, gdyż Bóg, gdy już przebaczać nie chce, inaczej przemawia. — W la Salette Najsw. Marya Panna, przemawiając do dzieci, miała ręce zakryte, w Lourdes natomiast ukazuje je, wznosi, składa, przybliża do serca... Otóż ręce są symbolem hojności. *Aperis tu manum tuam, et imples omne animal benedictione.*

Maryja dziś chce dawać, a dość jest bogata, aby dać dużo. — Najprzód jednak od nas żąda daru;—a jakiegoż to daru?—Oto wzniesienia świątyni na miejscu, na którem się ukazała, aby tym sposobem uwiecznić pamiątkę swych miłościwych odwiedzin. — I ta właśnie okoliczność szczególną w serca wlać powinna otuchę — W la Salette nie było mowy o wzniesieniu świątyni, a skoro Maryja żąda jej w Lourdes, znak to oczywisty, że przeminął czas burzenia, nastał czas odbudowywania: „Czas rozwalania i czas budowania.“ (Ekl. III, 3).“

A na innym miejscu dodaje: „Ufajmy, że ludzie posłuchają tego drugiego wezwania i rozpoczną wielkie dzieło zadosyćczynienia, czego zapowiedzią jest ogłoszenie dogmatu o Niepokalanem Poczęciu Najsw. Maryi Panny. Ostatni zwolennicy bezbożnych filozofów daremnie miotać będą wściekle obelgi na miejsce święte, podczas gdy dzieci Boże, pochylając

się nad źródłem cudownem, znajdują tam zdrowie i obfitość łask wszystkich! Oto dział nierówny! A różnica wyraźniej okaże się jeszcze, gdy po końcu świata, wykluczeni od niebieskiej ojczyzny wiecznie powtarzać będą: „*Insensati*“ (Sap. IV, 5). *My głupi*. Wiedząc jak wielkiem nieszczęściem jest życie z dala od Boga w czasie i w wieczności, oddajmy się całym sercem pracy około nawracania grzeszników. Niezawodną jest rzeczą, że gdyby cudowne objawienia w la Salette ogólnie znano i uznano, we Francji i w całej Europie zwrot do Boga byłby widocznym. Rozpoczynajmyż teraz to dzieło, spełniając rozkaz Maryi i wnosząc Jej świątynię.“

Powyższe słowa wypowiedział Dupont przed 50 laty, a dziś wobec tylu cudów i wobec gorącego nabożeństwa, ściągającego do Lourdes tłumy pielgrzymów, ze zdumieniem podziwiamy u męża Bożego dar tak wyraźnego przewidywania przyszłości. Zresztą sam Dupont pod koniec życia był świadkiem tego ogólnego zapału do wynagradzania przez przyczynę Niepokalanej Dziewicy w Lourdes zniewag, wyrządzanych Bogu, zapału, który potwierdzało jego przeczucie i radością napępiało serce jego. „Nadzieje nasze opierać możemy na tegorocznych pielgrzymkach — mówi 12 kwietnia 1873 r. — a to tem więcej, że ten potężny objaw pobożności chrześcijańskiej po całej rozszerza się Europie. — Jeżeli ojcowie nasi z czasów wojen krzyżowych mawiali: „Bóg tak chce,“ to my dzieci dziewiętnastego stulecia, pełni ufności, słusznie wolać możemy: „Marya tak chce.“ Ta dobra Matka chce nas wszystkich

przywieść do Jezusa.“ — „O tak—pisze w jednym z listów—leży to w porządku rzeczy, że Marya prowadzi nas do Jezusa!—Nie dla swojej też chwaliłby także wznieść tu świątynię, ale w tym celu, by owe tysiące dusz, dążących tłumnie do cudownej groty, przywieść do domu Syna swego, do stołu Jego, na ucztę Eucharystyczną.“

Dupont, tak przywykły do nadzwyczajnych wodów łaski Bożej, nie dziwił się bynajmniej cudom, otrzymywanym w Lourdes za przyczyną Matki Najświętszej. Rzec nawet można, że jedną z pierwszych łask otrzymano za jego pośrednictwem. Oto jak sam opisuje to zdarzenie: „Kuzynkę moją, zamieszkałą w okolicy Lourdes, prosiłem o szczegóły zaszłych wypadków. Odpowiadając temu życzeniu, przysłała mi opis pierwszych czterech objawień. List doszedł mnie w chwili, gdy udawałem się do Zakładu Siostrzyczek ubogich. Przeczytawszy go, schowałem do kieszeni, więcej o nim nie myśląc. Przeszedłszy na miejsce, zauważyłem, że jedna z Sióstr nie była przy zwykłym zajęciu, zdziwiony tem, dowiedziałem się, że cierpi na moeną fluksję i straszliwy ból zębów. — W przyległym pokoju jęczała biedaczka z bólu; pomimo tego, trzymając różaniec w rękę, usiłowała go odmówić. Powiedziałem jej wtedy, aby po odmówieniu każdej dziesiątki dodała po trzy razy następujące wezwanie: O Maryo, Niepokalanie poczęta, któraś raczyła objawić się w Lourdes, racz mię uzdrowić. Siostra posłuchała tej rady, i oto gdym odchodził, powiedziała mi, że ból zębów przeminął podczas odmawiania różańca, a na-



zajutrz nie było już śladu fluksji.“ „Powracając tegoż dnia od Siostrzyczek ubogich, opowiadała mi kilkakrotnie przełożona Sióstr Miłosierdzia, zadzwonił Dupont do naszej furty, a ponieważ była to właśnie godzina rekreacji, uszczęśliwione Siostry, zebrały się w rozmównicy, ciesząc się nadzieją usłyszenia męża Bożego, tak pięknie zawsze mówiącego o Bogu. Dupont wszedł uśmiechnięty, rozradowany, a wskazując na medaljonik, trzymany w ręku, rzekł: Ten oto medaljonik, co dopiero mi przysłany z Lourdes, już zdziałał cud jeden. I opowiedział nam poprzednie zdarzenie. Wzruszone tem opowiadaniem, chciałyśmy przypatrzeć się z bliska medaljonikowi; przechodził z rąk do rąk, oglądany i nabożnie do ust niesiony. Gdy z kolei dostał się Siostrze Rozalji, kulawej i schorowanej, nie mogącej dla bólu w nodze od dwóch lat chodzić, a tem samem nieść pomocy ubogim, Siostra zapytała Duponta, czy może go zatrzymać czas niejaki. „Jak najchętniej zgadzam się na to,“ odrzekł mąż Boży. „I cóż mam czynić, aby być uleczoną, jakie odmawiać modlitwy, może odprawić nowennę?“ „O nie, — odrzekł z żywością — nie tak długo, powiedz tylko po prostu: Przez przyczynę mej dobrej Matki, Najświętszej Panny z Lourdes, racz mię Boże uleczyć, abym mogła nawiedzać mych biednych.“ Siostra wstała wprawdzie, ale z trudnością, i zaledwie mogła się poruszać. „No i cóż — zapytał — czy jesteś już uzdrowioną?“ — „Nie jeszcze, niezupełnie.“ — Powtórzono modlitwy, ale i tym razem uleczenie nie było całkowite. — Wtenczas chora, idąc za wewnętrznym

natchnieniem, głośno obiecała Bogu, że jeżeli zostanie zupełnie uzdrowioną, odbędzie dziękczynną pielgrzymkę do wizerunku Oblicza Pańskiego w mieszkaniu Duponta. — Nazajutrz mogła już ślub swój wypełnić, a chociaż od dwóch lat nie chodziła, powróciła do klasztoru bez najmniejszego bólu w nodze, — jakkolwiek bardzo zmęczona. — Odtąd ból się nie powtórzył; i aż do samej śmierci, to jest przez lat sześć mogła na nowo nawiedzać swych chorych w parafji św. Kajetana.“

Powyższe zdarzenia dowodzą wymownie, iż od samego początku istniała pewna łączność pomiędzy Lourdes a Tours; pomiędzy objawieniami Niepokalanej Dziewicy, a cudownymi łaskami, jakie otrzymywano przed wizerunkiem Przenajsw. Oblicza, za wstawieniem się pokornego sługi Bożego. — Dla tem lepszego wykazania wspomnianej łączności, należy nam przytoczyć jeszcze cudowne uzdrowienie pana Henryka Lassere, który opisał historję objawień Matki Boskiej w Lourdes. Przytaczamy tu ustęp z własnego listu słynnego tego pisarza, przesłanego Leonowi jako dowód żywej wiary i wdzięczności:

„Przez całe życie — pisze na wstępie — miałem wzrok doskonały, z blizka, jak z daleka widziałem równie dobrze, a noce, spędzane nad książką, nie sprawiały mi najmniejszego zmęczenia, tak że sam dziwiłem się temu. To też przeraziłem się niemało, gdy w miesiącu czerwcu r. 1862 poczułem stopniowe osłabienie wzroku, tak że wieczorem z trudnością przychodziło mi pracować; osłabienie wzmagało się bezustannie, wkrótce zupełnie musiałem zaniechać

czytania. Zasięgnąłem rady kilku sławnych okuli-  
stów, ale kuracja zaszkoziła mi jeszcze.—Wtenczas  
na serjo począłem się trwożyć; cała moja rodzina  
podzielała ten niepokój, wszyscy byliśmy przekona-  
ni, że grozi mi nieuniknione kalectwo, jakkolwiek  
nawzajem staraliśmy się ukrywać przed sobą nasze  
obawy i wlewać w serca nadzieję, której istotnie  
nikt nie posiadał.—Wówczas za radą przyjaciela  
użyłem cudownej wody z Lourdes, skutkiem czego  
wzrok odzyskałem.— Pan Lassere niedługo jednak  
cieszył się uzyskaną łaską. Po jakimś czasie cier-  
pienie wróciło; pełen pokory upatrywał karę Bożą  
w tem, co my nazwalibyśmy raczej zrządzeniem  
Boga, chcącego ujawnić obok potęgi Niepokalanej  
Dziewicy w Lourdes potęgę cudownego wizerunku,  
czczonego w kapliczce Leona. W przejeździe przez  
Tours, pan Lassere, za namową księdza Gratry, za-  
trzymał się kilka godzin w celu odwiedzenia Du-  
ponta. „Zaiste—mówi on dalej—warto zatrzymać się  
w Tours, lub nawet umyślnie tam przyjechać dla  
poznania tego męża Bożego.— W domu jego, przez  
Boga ubłogosławionym, spełniają się co do joty  
słynne prorocтва Izajasza, oraz słowa Pisma św.:  
*Słapi widzą, głusi słyszą, chromi chodzą.*

Idąc do niego, nie miałem zamiaru prosić dla  
siebie o zdrowie, gdyż ponowne częściowe zapadnię-  
cie na oczy miałem nadzieję uleczyć wodą z Lourdes,  
która już raz wzrok mi powróciła; co więcej,—czu-  
łem nawet pewien wstręt do użycia innego środka  
i uciekania się do innego orędownictwa.—Chciałem  
jedynie poznać sługę Bożego, o którym tyle słysza-

łem, skorzystać z obcowania z nim i prosić go  
o modlitwę, w celu uzyskania wielkiej, ale czysto du-  
chowej łaski, to jest zupełnego mego nawrócenia.

Zadzwoniwszy do jego mieszkania, zostałem  
wprowadzony do obszernego parterowego pokoju,  
któremu mogłem przypatrzeć się w czasie, gdy  
oznajmiono mię panu domu.—Umieblowanie nader  
było skromne, kilka votów wisiało na ścianie, obok  
biórka, zarzuconego papierami, rodzaj pulpitu, a na  
nim wielka, otwarta księga Pisma świętego.—Ale  
szczególniejszą uwagę zwracał obraz, przedstawiający  
Oblicze Pańskie, podług odbicia, wyrażonego na  
chudzie św. Weroniki,—przed obrazem gorzała olej-  
na lampka.

Po chwili Dupont wszedł do pokoju, pytając,  
czem mi może służyć?—Przewyciężywszy mimo-  
wolną nieśmiałość, odrzekłem, że przychodzę bez  
wyrażnego celu, jedynie w zamiarze poznania go,  
przywiedziony rozgłosem cudów i nadzwyczajnych  
wydarzeń, które, jak mi mówiono, miały się dzieć  
w jego mieszkaniu. „Istotnie—odrzekł mąż Boży  
z prostotą, która mię zdziwiła—od lat już blisko  
jedenastu w tym pokoju, przed tym wizerunkiem  
Najśw. Oblicza, Bóg raczy pokazywać moc swoją.—  
Obrał sobie dom tak nędznego sługi, jakim ja je-  
stem, a to dla tego, by tem wyraźniej pokazać, że  
ludzka zasługa nic tu nie znaczy, ale On sam jest  
wszystkiem.“—Następnie na prośbę moją opowiedział  
mi szczegółowo, jak powziął myśl wystawienia  
w swoim salonie wizerunku Oblicza Pańskiego, oraz  
historję pierwszych cudów, które aż dotąd codzien-

nie się ponawiają. — „O! — zawołał w końcu — jaki Bóg jest wielki! jaki jest dobry!“ „Tak — odparłem po chwili milczenia, przejęty do głębi tem opowiadaniem — Bóg jest dobry! Nie dziwią mię cuda, które dzieją się tutaj, — gdyż i ja podobnej, nadzwyczajnej doświadczyłem łaski, ale nie umiałem być za nią wdzięczny tak miłościwemu Panu, i oto grozi mi na nowo dawne kalectwo.“ — I opowiedziałem mu okoliczności, towarzyszące mojemu uleczeniu, oraz powtórnemu zapadnięciu. Nie zdziwiony tem bynajmniej, odrzekł mi: „Takie pogorszenie, a nawet powrót zupełny dawnego cierpienia, nieraz już zauważyłem, a to zazwyczaj u osób, które wstydzą się przyznać wobec ludzi do otrzymanej łaski, albo też u takich, które zapomniały podziękować za nie Bogu.“ „Co do mnie, — odrzekłem — nie uległem obawie względów ludzkich, nie wstydzilem się głosić cudu, który na mnie się spełnił, ale nie dziękowałem zań Bogu, i zaledwie uleczony, powróciłem do dawnego trybu życia.“ „Błąd każdy można naprawić, odpowiedział Dupont. Pomódlmy się przed wizerunkiem Oblicza Pańskiego, następnie namaszcę panu oczy oliwą, ufam, że to pomoże.“ „O nie, odparłem z żywością, raz już w Lourdes uleczony, pragnę powtórnie się uciekać tylko do Matki Najświętszej, aby za Jej przyczyną otrzymać zdrowie i przebaczenie; nie chcę innego orędownictwa, gdyż zdaje mi się, jakoby tem ubliżał Królowej nieba.“

Na te słowa Dupont uśmiechnął się łagodnie, mówiąc: „W niebie nie znają zazdrości. Ale jeśli taka jest wola pana, oto medaljonik, umoczony

w cudownej wodzie w Lourdes, który już kilka zdziałał uzdrowień, przyłóż go do oczu i mówmy razem: „O Najświętsza Panno Maryo, okaż, że nie mniej jesteś potężną w Tours, jak w Twej grocie w Lourdes.“

Przykleknawszy, zrobiłem, co zażądał, powtarzając to wezwanie po kilka razy, ale bez najmniejszego skutku! Dupont bynajmniej nie zmieszany, odezwał się, wnosząc w górę oczy: „O Najświętsza Panno Maryo, skoro tak długo odmawiasz nam tej łaski, udamy się wprost do Boskiego Twego Syna.“ Po krótkiej modlitwie zanurzył palec w palące się lampie, namaścił mi oliwą oczy, czoło, słowem wszędzie, gdzie ów przykry czułem ciężar. Ale i tym razem napróżno! Wówczas trochę zdziwiony, zaprosił mnie do siebie na obiad, poczem raz jeszcze powtórzyliśmy modlitwy i namaszczenia. Niebo zdawało się jednak głuche na nasze prośby, nie doznawałem żadnej ulgi. Dupont zasmucony ale nie zachwiany w swej wierze, pocieszał mnie, mówiąc: „Niech to pana nie trwoży, oto buteleczka z oliwą, palącą się w lampce przed Obliczem Pańskim. Dzień dzisiejszy będziemy uważali, jako pierwszy dzień nowenny, powtarzaj namaszczenia, łącz się z modlitwami, które zanoszą tu między godziną jedenastą a drugą z południa. Codziennie będę prosił Boga za ciebie.“

Pożegnawszy go czule, tego samego dnia wieczorem wyruszyłem w drogę do Paryża, gdzie stanąłem nad ranem. Zmęczony drogą, zasnąłem zaraz; przebudziwszy się dopiero o godzinie dziesiątej,

pierwszem mojem staraniem było odprawienie modlitw i namaszczeń, zaleconych mi przez Duponta, ale zawsze jeszcze bezskutecznie. Dopiero około południa uczułem nagle, że zdrów jestem. Znikł ów ciężar nieznośny i osłabienie ustąpiło bez śladu! Łaska Boska spłynęła na mnie z nieba, z gwałtownością, podobną do owych deszczów ulewnych, które długo napróżno wyglądane, ożywiają wreszcie spragnioną ziemię, gdy ich się już najmniej spodziewało. Nagle, jakby natchnienie, błysła mi myśl, że o tej właśnie godzinie modlono się za mnie u Duponta.

Rok minął od tego czasu, a zdrów jestem zupełnie, pominąwszy małe osłabienie, które powtórzyło się dwa lub trzy razy, ale było tak nieznaczne, że wcale mi w pracy nie przeszkadzało, a gdyby nie poprzednie cierpienie, nie byłbym zwrócił na nie uwagi. I ta drobnostka ustępowała natychmiast po użyciu św. oliwy.“

Przytoczyliśmy umyślnie, prawie dosłownie, obszernie sprawozdanie słynnego autora, opisującego wiernie to, co wielu widziało i doświadczyło u Leona Dupont, co powtarzano nam tylekroć, może nie w tak wymownych słowach, lecz z równie mocnem przekonaniem, z wiarą żywą w potęgę Boga i w zasługi świątobliwego męża.

## ROZDZIAŁ XIX.

### Przywiązanie Leona do Kościoła świętego.

Głównem przedmiotem modlitw Duponta przed wizerunkiem Oblicza Pańskiego, jak zarówno podczas adoracji nocnej, były sprawy Kościoła świętego. Smucił się lub radował stosownie do tego, czy katolicyzm był zagrożony, lub większe święcił zwycięstwo, ale ponad temi chwilowemi uczuciami górowała zawsze w jego sercu niczem niezachwiana nadzieja szczęśliwej dla Kościoła przyszłości.

Okiem wiary dostrzegał strumienie łaski, spływające na świat cały, a prześladowanie, które podobą się Bogu zsyłać na Ojca św., na całe duchowieństwo, nawet na wiernych katolików, uważał jako zapowiedź rychłego zwycięstwa. Jakkolwiek widział zacieklą nienawiść złego ducha i nieszczęsnych jego zwolenników, nadzieja przebija jednak co chwila w listach jego, z których pozwolimy sobie przytoczyć kilka jeszcze wyjątków, na dowód wielkiej jego miłości do Kościoła św.: „Pośród obecnych smutnych okoliczności—pisze—jedna rzecz pociesza mnie tylko. Złe rozwielażnia się wprawdzie coraz więcej; ale z drugiej strony, mamy tysiące dowodów, że miłosierdzie Boskie jeszcze się nie wyczerpało. Podług mnie ubliżylibyśmy Bogu, *wątpiąc*, jakoby nie mógł przelamać naszego oporu, zawładnąć nad sercami naszemi. — Jesteśmy w Jego rękę, i nie pozbawiając nas wolnej woli, może za-



pewnie zwycięstwo Kościołowi św., a zniweczyć zabiegi piekła.“ „Sama zaciekłość napaści szatańskich świadczy, że ważne i radosne wypadki oczekują nas w najbliższej przyszłości. — Zwierzęta wpadają w wściekłość dopiero wtenczas, gdy są podrażnione. Tak samo i szatan na widok licznych cudów łaski Bożej, może powiedzieć jako w dzień wcielenia Pańskiego: *Cur venisti ante tempus torquere me*. Czemuś przyszedł mię dręczyć przed czasem.“

Najświętsze Serce Pana Jezusa, Niepokalane poczęcie Najświętszej Maryi Panny, były to dwie niezawodne ucieczki Duponta. Z okazji ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia, znajdujemy w jego listach wyrazy pełne radosnego uniesienia; z sercem przepelnionem weselem wylewa następujące uczucia: „Pragnałem pisać do ciebie, aby wspólnie cieszyć się wypadkiem, tak niezwyklej wagi w dziejach Kościoła św. Jakże Bóg jest dobrym, że dozwolił wypowiedzieć ostateczny wyrok. Co to za dowód jedności wobec zamieszkań herezji. Przypominasz sobie słowa Don Guéranger'a w dniu ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia: „Tryumf Maryi zniechęci szatana, a synowską ufnością napelni wierne dzieci Kościoła świętego, tysiącem łask cudownych okryje ziemię.“

Beatyfikacja błogosławionej Małgorzaty Maryi Alacoque i rozszerzenie czci Najśladszego Serca Jezusowego to podług niego druga wielka i ważna rękojmia zwycięstwa. „Tryumf Serca Jezusowego rozpoczyna nową epokę, jak się zdaje bardzo świetną dla Kościoła a pełną korzyści dla dusz naszych.

Niech żyje Serce Jezusa! Piekło podwaja swą zaciekłość, ale czyż to właśnie nie dowód przyszłej jego porażki? Gdy mówił o tryumfie Kościoła św. przychodziła mu często na myśl Anglja i liczne nawrócenia jej mieszkańców, które zwracały na ten kraj jego uwagę i radosną napełniały otuchą.

Szczególną miłością otaczał osobę Piusa IX. Ogłoszenie dogmatu Niepokalanego Poczęcia, beatyfikacja Małgorzaty Alacoque, Sobór Watykański i tyle innych ważnych wypadków tak pełnego sławy panowania Piusa IX, to w jego oczach niby nowe promienie, dodane do odwiecznej korony Piotrowej, których blask na całe spłynął społeczeństwo. Mówiąc o Papieżu, nazywał go zawsze: „Nasz Ojciec św., nasz ukochany Pius IX.“ „Tak, dodawał, ukochany przez Boga i przez nas, ale znienawidzony przez szatana i nieszczęsne ofiary jego fałszu i złości.“

Podczas burz, miotających nawą Kościoła św. podziwiał spokój i mądrość tego wielkiego pasterza: „Pius IX z całym spokojem trzyma ster swej łodzi i jako Boski Mistrz spać się w niej zdaje.“

Miłość swą do Ojca św. przelewał i na odwieczne miasto papieży. Rzym, Kościół, a Pius IX jedno u niego stanowiły; myślą i sercem towarzyszył też przyjacielom, udającym się do grobu św. Apostołów, co w owych czasach niejedną przedstawiało trudność, utrzymywał z nimi korespondencję, pilnie się o wszystko dowiadując. „Podróż ta, pisał o pewnym znajomym, bawiącym w Rzymie, zbawienną dlań będzie. Wielkie cierpienie, wielkiej potrzebuje pociechy. A Rzym, to ognisko wiary,

posiada wszystko, co nas ściśle łączy z tym, który powiedział: „błogosławieni smutni,“ i który sam tylko może uleczyć rany serc zboliałych.“

Zabór miasta wiecznego r. 1870 niesłychanym był ciosem dla Duponta i na wielką próbę wystawił jego ufność.

Przywiązanie do Kościoła św. i do Rzymu nie ostudziło bynajmniej w sercu jego miłości do ojczyzny. Przeciwnie, trudno było więcej od niego miłować kraj rodzinny, los Francji żywo go zawsze zajmował. Pelen nadziei na widok wielkich cnót i czynów, zwłaszcza współziomków, pisał roku 1845. „Czyś zauważył te wszystkie nowe dobroczynne instytucje i zgromadzenia, powstające we Francji?—to niby rozsadnik, z którego szczepy na cały świat się rozszerzą. Niema rany społecznej, na którąby miłosierdzie nie wynalazło lekarstwa, od złóbków aż do barłogu opuszczonych starców. Duch apostołstwa ożywia każdego prawdziwego chrześcijanina, wielu aż do krańców ziemi roznosi znajomość Imienia Pańskiego.“ Szlachetny zapal młodzieży francuskiej, stojącej w szeregach papieskich, napętnia go radością i podziwem. D. 5 grudnia 1867 roku pisze: „Jak niegdyś św. król Luwik IX i mężni jego rycerze, tak dzisiaj młodzież chrześcijańska tym samym ożywiona duchem, bieży, niosąc pomoc zagrożonej Stolicy św.“ A na innem miejscu dodaje: „Niebezpieczeństwo, grożące Papieżowi, wznowiło epokę wojen krzyżowych.“

Wszystkie klęski Francji roku 1870 bolesnym echem odbiły się w sercu Duponta, nie odbierając

mu jednak nadziei w lepszą dla niej przyszłość. „Francja katolicka—pisał 1872 r.—zdaje się z grobu powstawać. Te liczne pielgrzymki do Lourdes i innych miejsc cudownych, to rzecz nader ważna. Pomnażajmy w sobie nadzieję; ona tylko zapewnić nam może zwycięstwo. Szatan wprawdzie wierzga, bo on wie dobrze, gdzie światło zranić go może.“

Lubo nie opuszczał prawie pokoju, w którym był umieszczony wizerunek Oblicza Pańskiego, dobrze jednak był obeznany ze wszystkimi sprawami Kościoła świętego. Dowiadywał się o nich przez swą, tak niezwykle rozgałęzioną, korespondencję. W całym świecie katolickim nie było radości, smutku, obawy, o którychby nie wiedział, któreby nie znalazły echa w jego sercu.

Pisano doń ze wszystkich stron, prosząc o modlitwę, radę, światło w wątpliwościach. Tym sposobem wielki ten chrześcijanin łączył się duchem z Kościołem i żył jego życiem. Ztąd też płynęło owo wielkie zajęcie, z jakim śledził pisarzy i dziennikarzy katolickich, walczących za dobrą sprawę. O ile czas mu starczył, czytywał ich pisma i artykuły, odnoszące się do spraw wiary, zachęcał ich i wieszował im czy to sam, czy za pośrednictwem przyjaciół. Autorowie przysyłali mu często świeże swe prace, z prośbą o sąd i ocenę, której udzielał z wielką delikatnością, pokorą, ale i gorliwością. Prasie katolickiej przypisywał wpływ wielki, widział jej skutki w rozbudzeniu ducha religijnego w 1882 roku, liczył na jej usiłowanie, iż zdoła osłabić wpływ złego. Z drugiej strony, widząc jak dla

społeczeństwa całego, a zwłaszcza dla młodzieży, zgubnemi są złe książki, bolał nad ich coraz większym rozpowszechnieniem: „Jakąż to przepaść bezdenną prasa wykopuje pod stopami młodzieży naszej“ — wołał z żalem i oburzeniem.

Choć nie był teologiem, ani uczonym, posiadał dar odróżniania w pismach współczesnych najłżejszych uchybień przeciwko wierze; na pierwszy rzut oka oceniał dobre i złe ich strony; był to jakoby instykt duszy katolickiej: „Mam nieszczęśliwą rękę — pisał do biskupa d'Outremont — otwierając jaką złą książkę, z pewnością na najgorsze natrafie miejsce.“

Czytając, miał zwyczaj zapisywania najpiękniejszych myśli i ustępów na wielkim arkuszu białego papieru, przymocowanym w tym celu do biórka. Gdy arkusz został zapelniony, przykrywał go świeżym papierem aż ich się spora zebrała liczba. Nie pozwalał na prędkie i powierzchowne przerzucanie budujących książek, w tej myśli też odzywa się do znajomego 14 czerwca 1858 roku: „Nie odpisuj mi, zanim nie przeczytasz wspomnianego dzieła, a nie spiesz się z tem, nie połykaj, jako zwykłej książki bez treści. Strawa to, którą nasycić się można, a nie lekka pianka lub deser.“

Był jednakże nieublaganym dla złych i bezbożnych książek, nazywał je poplecznikami szatana — i gdzie tylko mógł, niszczył bez miłosierdzia z prawdziwą rozkoszą. I tak, pewnego razu, gdy przyniesiono mu kilka książek pisarzy znanych z bezbożności, zamiast spalić jak zwykle, kazał je zakopać

w ogrodzie, pokryć warstwą mierzwy, a następnie zasadzić na tem miejscu kartofle. Gdy takowe wyśmienicie się udały, a nawet były piękniejsze od wszystkich innych, domownicy poczęli się naradzać co z niemi zrobić, zjeść, lub sprzedać, a może zanieść Siostrzyczkom ubogich. Dupont wysłuchał w milczeniu zdania każdego, aż wreszcie rzekł donośnym głosem: „Dajcie je trzodzie chlewnej, nie zdadzą się na nic więcej.“ A śmiejąc się i zacieraając ręce z radości, wytłomaczył obecnemu właśnie przyjacielowi pochodzenie tych kartofli: „To kartofle Voltaira i Rousseau, czyż mogą zrobić z nich lepszy użytek, jak dając trzodzie na pożarcie.“

Przeciwnie gdy udało mu się spotkać książkę piękną, użyteczną, lub będącą na czasie, umiał ją zawsze ocenić, rozszerzał, a nawet sprowadzał własnym kosztem i rozdawał znajomym. Piękniejsze ustępy, które wypisywał, jak wyżej wspomnieliśmy, dla własnego i innych użytku, następnie ułożył i wydał w osobnych i ślicznych książeczkach, pod tytułem: *Myśli o miłości Bożej, Ogródek niebieski, Zbiór myśli duchownych.* — Wszystkie te myśli proste, a wzruszające, w piękny wypowiedziane sposób, noszą na sobie wyraźne znamię ducha Bożego, są owocem modlitwy i rozczytywania się w Piśmie św. — Przytoczymy tu choć kilka! O Boże! który każesz Ojcem się nazywać, jakżebym chciał kochać Cię miłością synowską, prostotą dziecięcą! — Umrzeć w miłości Bożej, umrzeć, wzbudzając w sobie akt czystej miłości; szczęśliwą byłaby śmierć taka; ale umrzeć z miłości ku Bogu, to szczyt mych

pragnień; jeśli nędznemu grzesznikowi wolno tak śmiało stawiać pragnienie! — Dusza wierna to lilja pośród cierni, nie mogąca przechylić się ani w jedną, ani w drugą stronę; rośnie prosto, a liście kielicha zwraca ku niebu, czekając z tamtąd rosy ożywczej, nie pochyła się ku ziemi, aby nie uрониć ani jednej kropelki. — Serce całkiem Bogu oddane jest pod najlepszą strażą. Serce, rozważając dobroć Boga, musi Go pokochać, albo przestanie być sercem. — Boże mój, Ty jesteś cały miłością, dzieła Twoje tchną miłością, miłością są przykazania Twoje; nasze powołanie — Ciebie miłować. Ale jakże mało ludzi rozumie mowę miłości. — Na widok ołtarza, a zwłaszcza tabernaculum, nie mogę oprzeć się uczuciu wesela, które unosi mię z ziemi do nieba! Patrząc na ciebie, tronie Baranka Bożego, serce moje otwiera się, rozszerza, rozplywa niejako w ogniu miłości! Pukaj do Serca Jezusowego z ufnością i miłością, a otworzy się tobie i obfitość łaski spłynie na ciebie! — Wszystkie pisma męża Bożego odznaczają się tą świętą miłością, a pełen gorliwości zarówno w modlitwie jak w rozmowie, miał jedynie na celu — rozszerzać chwałę Bożą, służąc Kościołowi i pracując nad zbawieniem dusz.

## ROZDZIAŁ XX.

## Żywa wiara i głęboka pokora Leona.

Zastanawiając się nad życiem Leona Dupont, doszliśmy mniej więcej aż do roku 1870, epoki wielkich nieszczęść dla Francji, a również i najboleśniejszych doświadczeń dla sługi Przenajświętszego Oblicza. W ogniu przeciwności chciał go Bóg jeszcze bardziej oczyścić i do większej podnieść świętości. Dotknięty w całej swej istocie, cierpieć będzie i duszą i ciałem; ujrzy ojczyznę zalaną przez nieprzyjaciół, miasto Tours oblegane i zdobyte, a najmilsze swe dzieło zachwiane i zagrożone. — Schorzały, opuszczony, skazany na bezczynność, doświadczy wszelkich dolegliwości wieku podeszłego.

Lecz zanim przyjdziemy do tych smutnych szczegółów, należy nam zatrzymać się jeszcze przez chwilę nad niektórymi wybitniejszymi cnotami Leona, które tworzyły niejako jego istotę i były źródłem tylu podniosłych uczuć i pięknych czynów. Będzie to jakoby ogólny rzut oka na całe jego życie, pozwalający nam przytoczyć nie jeden szczegół, o których dotąd nie wspomnieliśmy.

Żywa wiara, oto główna cnota i rys charakterystyczny Duponta, podstawa całego jego życia i sprężyna wszystkich jego czynów. Przy pierwszym zaraz zapoznaniu się z tym mężem Bożym, nie podobna było jej nie zauważyć, jak to wyznaje pe-



wien czcigodny kapłan. — „Był to chrześcijanin prawdziwie wierzący, o wierze żywej, prostej, niezem nie zachwianej, która na zewnątrz objawiała się raczej w całym jego postępowaniu, w drobnych codziennych sprawach, a nie w nadzwyczajnych aktach życia wewnętrznego i mistycznego. Ta wiara, tak widoczna, niejako namacalna, była, jak sądzę, skutkiem jego posłannictwa na ziemi, czyniła go narzędziem Boga posłusznym i gotowym na wszystko. W postępowaniu łączył pewną, właściwą sobie, godność, bez cienia najmniejszej przesady, jedynie wypływającą z usposobienia poważnego i wyższego umysłu, którym umiał okraszyć sprawy najzwyczajniejsze.

Obdarzony był nadto jakoby instynktem szczęśliwym, pozwalającym mu od razu odróżnić ducha dobrego i złego, kryjącego się pod pozorami enoty. I tak pamiętam, że mówił mi o pewnym oszuście, niejakim Michale Ventras, że od samego początku uczuwał wyraźny do niego wstręt; gdy przeciwnie względem innych wydarzeń wyraźnie nadzwyczajnych, jak np. objawień Matki Boskiej, skłonny był do natychmiastowego uwierzenia, i jakkolwiek oczekiwał z uszanowaniem ostatecznego wyroku Kościoła św. nie mógł się powstrzymać, by nie okazać radości swej na pierwszą wieść o tych wzruszających dowodach dobroci Bożej.

Wiara jego, tak prosta i pokorna, była właśnie dla tego stałą i bez skazy, nie znosząca najłżejszych ustępstw, nie mająca nic wspólnego z swia-

ową mądrością i przezornością, daleka od tego co Pius IX potępił pod nazwą katolicyzmu liberalnego.

Co do prawd wiary i moralności uznanych, nie znosił cienia opozycji i z niezwykłą w takich razach odzywał się stanowczością. Niemniejszej energii dowodził w całym swym postępowaniu; zawsze pogodny, zawsze równy, nie widziano go nigdy zachmurzonym, z niczem nie zakłóconą swobodą oddany bezustannie na usługi osób, uciekających się do Przenajświętszego Oblicza; co nazywał swym codziennym zadaniem.

Wiara, była to w jego mniemaniu owa „góra Boża“ żyzna i urodzajna, o której mówi Pismo św. — O jakże dobrze jest człowiekowi — rzekł pewnego razu — z góry tej przypatrywać się małości ludzkich zabiegów i kombinacji. Przejmujmy się coraz więcej życiem wiary, a zrozumiemy znikomość tej ziemi, unikniemy jej wstrząśnień.“ Sam dosięgnąwszy szczytu tej góry doskonałości, i z tamtąd oceniając prawdziwie rzeczy tego świata, wołał: „Trzeba, by powróciła do nas wiara i zamiłowanie rzeczy niebieskich, w przeciwieństwie do marnych spraw doczesnych; trzeba, by Ewangelję ceniono wyżej od dziennika.“ Duch wiary — powiedział świętobliwy proboszcz w Ars — polega na tem, aby odzywać się do Boga w ten sposób, jak mówimy do ludzi. Dupont postępował najzupełniej podług tej zasady, mówił do Boga, jak gdyby Go widział, a zwracając się następnie do chorych pytał — czy nie zostali jeszcze uleczeni. „Cud — zwykł był mawiać — cóż nad to łatwiejszego? otrzymujemy go zwłaszcza

przez prostotę. Wielu mówi — nie jestem godzien, aby mnie Bóg wysłuchał. Nie lubię tego. Nie tak modlić się należy. Jesteś godzien litości ot i wszystko, o nic więcej nie chodzi, przedstaw Bogu twą potrzebę, wierz a ufaj!“

Bóg jest Stwórcą wszech rzeczy. Creator omnium — powstarzał — chcąc obudzić żywą wiarę i udowodnić, że cuda są rzeczą bardzo prostą, a to poczucie wszechmocy Bożej było u niego żywe, tyle miało w sobie prostoty, że ujawniało się nawet w dźwięku głosu; to też w jego otoczeniu najniezwyklejsze nawet wypadki nie zadziwiałały. Obcując z nim, najpobożniejsi nawet księża, ożywiali i utwierdzali w sobie wiarę.

Niemniej podpadająca i godna podziwu była jego bezustanna pogoda ducha, unosił się niejako ponad sprawy doczesne, ponad najsmutniejsze na pozór zdarzenia, ponieważ w świetle żywej wiary widział we wszystkim działanie Opatrzności i spełnienie woli Bożej.

Żyjąc życiem wiary, przypuszczał, iż ktokolwiek posiada wiarę, świętym być musi, zapominając o złych namietnościach i przeszkodach, które wstrzymują dusze na drodze doskonałości, nawet i wtenczas, gdy umysł jest oświecony prawdami wiary. On sam był niejako zatopiony w Bogu, w pracy i spoczynku, w samotności czy w towarzystwie, poczucie obecności Bożej tworzyło w około niego rodzaj świątyni, był tam Bóg, zawsze Bóg i Bóg tylko sam!

Nieznosną mu była wszelka mowa, nie mająca

Boga na celu, po prostu ścierpieć jej nie mógł. Pewnego dnia zaprosił na obiad kilka znajomych osób,—przy stole rozmowa, jakkolwiek w poważnym zawsze trzymana nastroju, przeszła na temat spraw świeckich. Dupont, który mileczał już od dłuższego czasu, odezwał się nagle z żywością: „Widzę, że jecie jak psy i koty, nie myśląc o Bogu! Czyż nie wiecie, że życie zbyt jest krótkiem, aby mówić o czem innem, jak o Bogu? Życie, to najkrótsza rzecz, jaką znam na świecie.“ Podobne szorstkie odezwanie się w ustach każdego innego mogłoby się nie podobać zaproszonym gościom, ale u Duponta wyraz twarzy, towarzyszący tym słowom, raczej zachwycił obecnych.

Przechodząc ulicą, spostrzegł raz żołnierza ziewającego na odwachu: „Nudzi ci się, rzekł do niego, to nie nowina; nudzimy się zawsze, ilekroć nie zajmujemy się Bogiem, nie rozmawiamy o Nim.“

Trudno wypowiedzieć, jak wielką cześć otaczał kapłanów, jaki okazywał im szacunek, uprzejmość, gotowość na wszelkie usługi, a to bez narzucania się i bez przesady. Cieszył się, ilekroć mógł im służyć do Mszy św., korzystał z każdej do tego sposobności, wystrzegając się tylko, by nie zwracać na siebie uwagi, lub nie naruszać miejscowego zwyczaju. Usuwał łagodnie małego ministranta i zastępował go z powagą i anielskim skupieniem, które na chwilę nie opuszczało go wobec ołtarzy Pańskich. To też widok jego pobożności budował tak świeckich jak duchownych. Ze szczególną zwłaszcza radością służył kapłanowi, odprawiającemu Mszę św.

w jakim nowym kościele lub kaplicy, wierzył, że szczególna łaska bywa do niej przywiązana. Niemniejszy szacunek żywił dla swych duchownych przewodników. Z jakimże to poświęceniem, a zwłaszcza delikatnością korzystał z każdej sposobności, by im się przysłużyć, zrobić im przyjemność, a zawsze tak, że niepodobna było się domyśleć, ile go to nieraz kosztowało. We wszystkim prosty i szczerzy, stan swego sumienia wystawiał jasno i zwięźle, nigdy nie był natrętny swemu spowiednikowi. Od chwili zamieszkania w Tours duchowny swój kierunek powierzał zawsze miejscowym kapłanom, nie szukając obcych księży lub zakonników, jakkolwiek wielką była cześć, którą dla nich żywił.

Po za spowiedzią lubił zasięgać rady osób duchownych, niekiedy po kilka razy, w sposób bardzo szczegółowy, nawet drobnostkowy, zwłaszcza odnośnie jakiego tekstu Pisma św., względem najstosowniejszej formy dla ułożonej przez siebie modlitwy, nowozawiającego się Bractwa, co do pełnienia jakiej cnoty, albo też co do nadprzyrodzonych i cudownych zdarzeń. Nad powyższymi sprawami, które go zawsze żywo zajmowały, zastanawiał się pilniej i baczniej, niżeli po jego usposobieniu przypuszczać było można.

Ulegając pierwszemu natchnieniu, wierzył w prostocie, nie wydawał jednak ostatecznego sądu, nie rozgłaszał, ani też innych do tego zachęcał, dopóki dowodnie nie przekonał się o rzeczy jakiej, nie doczekał śledztwa i wyroku władzy duchownej. Jeśli inaczej orzekła, odwoływał swój sąd pierwotny, mó-

wiąc: „Strzeżmy się, czekajmy, — zły duch umie przemienić się w Anioła światłości.“

W świetle żywej wiary widząc wielkość Boga, uznawał zarazem przepaść swej własnej nędzy, a ta świadomość rodziła w sercu jego głęboką pokorę, tę drugą cnotę główną, którą znał i również doskonale wypełniał. Nader wysokie miał o niej wyobrażenie; to też gdy pewnego razu wysławiano wobec niego jakiś czyn świetny, zamiast pochwały i uznania, odrzekł spokojnie: „Jeden akt pokory większą miałby cenę.“

Duch pychy i niekarność, oto podług zdania Duponta, jedna z największych wad czasów obecnych; to też mąż Boży, o ile tylko mógł, pracował nad rozpowszechnieniem litanji o pokorę. „Zapał, z jakim przyjmują tę modlitwę—mówił—dowodzi, że chrześcijanie zrozumieli, iż społeczeństwo cierpi ogólnie na głupią pychę i że chorobę tę jedynie pokora może uleczyć.“ Zasadą jego było uniażać się i podrzędnym oddawać sprawom; w tym duchu pisał do pewnej osoby, zasięgającej jego rady: „Gdy już wzniosłaś się do nieba i okazałaś Panu Jezusowi ranę serca twojego, niechaj teraz bronią twą na ziemi będą małe rzeczy, a pośród nich to, co jest najmniejsze. Dla zbawienia naszego stał się Jezus małym, otóż i my uniażać się powinniśmy, jeżeli chcemy zbawić siebie i braci naszych. Im bardziej pograżamy się w naszej nicości, tem więcej zbliżamy się do Boga, a wtenczas działanie łaski Bożej nie znajduje w nas żadnej przeszkody.“

W listach wspomina często o koniecznej potrzebie „ducha pokory przed Bogiem i przejęcia się własną nicością.“ „Jakże trudnem nam jest—pisze na innym miejscu—uznanie naszej nicości; skoro trzeba było, aby Ten, który świat z niczego stworzył, sam się nią przyoblekł, by nam dać przykład pokory. — Zobowiązani naśladować Jezusa, powinniśmy także wstępować na drogę najgłębszego uniezienia siebie “

Pewna pobożna pąienka skarżyła się raz Leonowi, że nie jest dość oderwana od świata, nie dość umarła samej sobie; oto co jej odrzekł mąż Boży: „Znam na to jeden dobry sposób, a mianowicie, należy wyobrazić sobie, że już istotnie umarliśmy, że niosą nas do grobu. O zmarłej osobie mogą ludzie mówić, co im się tylko podoba, źle albo dobrze, obojętna ona na wszystko, nic nie słyszy, nic nie odpowiada. I my jeśli zostaniemy czemkolwiek niemile dotknięci, gdy uczujemy burzę, zbierającą się w naszym sercu, powiedzmy sobie: Wszystko mi jedno, co o mnie myślą lub mówią, przecież *nie żyję*. Wówczas spokój powróci do serca, w milezeniu pozwolimy przeminąć nawałności, i słusznie będziemy mogli powiedzieć o sobie: *nie żyję*. A więc to rzecz skończona, ilu nas tu jest—umarliśmy, ukłękawszy zmówmy psalm za umarłych: De profundis.“ „Odtąd, ilekroć Dupont spotkał nas na ulicy pytał: „Czy na prawdę jesteście umarłe?“ tak lub nie,—trzeba było zawsze odmówić De profundis w celu uproszenia sobie nieczułości i obojętności ludzi zmarłych. Z doświadczenia poznałyśmy, jak zbawiennem było to

pobożne ćwiczenie, dopomagające tak skutecznie do oderwania duszy od rzeczy stworzonych i obumierania świata i samym sobie.

Nie poprzestając na nauczaniu innych, wszystkie te zasady stosował Dupont najpierw do siebie. Był do głębi przejęty poczuciem własnej nędzy, mówił o sobie ze szczerą pogardą, zowiąc się niecnym, biednym pielgrzymem. „Ufam—pisał do znajomego—że Bóg pozwoli mi zobaczyć cię jeszcze, tymczasem żyję wspomnieniem twych odwiedzin. Jestem pielgrzymem przeżuwanym, biednym, marnem stworzeniem, nie ukłasyfikowanym jeszcze przez naturalistów, nie mogących go dojrzeć przez najsilniejszy mikroskop.“

Namawiającym go do odprawienia pielgrzymki, tłumaczy się nawałem zajęcia i dodaje: „Dawną nazwę pielgrzymy zamienić muszę na miano sługi, obym je godniej nosił: Módl się, abym był istotnie sługą pokornym, wyrobnikiem wszystkich, którzy żądają odemnie jakiej przysługi.“ Odnośnie do pewnej sprawy, którą mu polecono, zowie się: „Ostatnią miotłą, nie zdolną do jej wykonania...“ „Ludziom i zwierzętom do życia konieczne jest powietrze, ja potrzebuję nadto poczucia własnej mojej nędzy.“

Pelen był zawsze delikatności, nie owej czysto ludzkiej, właściwej osobom światowym i dobrze wychowanym, ale tej prawdziwej chrześcijańskiej, której źródłem jest żywa wiara i miłość pokorna. Wstrętą mu była wszelka wystawność, wszystko



co zakrawa na blask i efekt; brzydził się tem po prostu.

Pokora jego jaśniała zwłaszcza wobec cudów łaski, otrzymywanych przed wizerunkiem Oblicza Pańskiego.—Trzeba było widzieć z jakim niezadowolaniem odbierał i niszczył natychmiast listy z szumnemi pochlebnemi adresami, jak np.: Pan Dupont w swej kaplicy Oblicza Pańskiego, albo Pan Dupont, sprawca cudów w Tours, Pan Dupont, ten, który uzdrawia ludzi. — Pewnego dnia przychodzi do Tours list z napisem: Cudotwórca w Tours. Wielki kłopot na poczcie, aż listowy, nie wiele myśląc, przynosi go Leonowi, który ubawił się nie mało, z ironją nie do opisania powtarzając: cudotwórca! Niekiedy nazywano go wielkim lekarzem, żartując na ten temat, mówił: „Po ludzku sądząc, nie mógł Pan gorszego wybrać narzędzia, mędrcy tego świata zaiste nie uczyniliby tego.“

Prośby, które przedstawiał Bogu z największą żarliwością, niekiedy pozostawały niewysłuchanemi, wtenczas mawiał: „Należy korzystać z każdej okoliczności do poskromienia starego człowieka i tym razem muszę się poddać z pokorą, zarówno jak przy innych okolicznościach, gdy Bóg nie spełnił mej prośby, pomimo, że modliłem się całym sercem. Dowód to oczywisty, że w tem co się tu dzieje, ja nic nie znaczę. Zadanie moje ogranicza się na zapisywaniu prośb.“

O ile mógł, trzymał się na uboczu, unikał wszelkich stosunków, które mogły podnieść dzieło jego w opinii świata, a jemu samemu cześć zjednać.

Prawdziwą łaską Bożą mienił tę okoliczność, iż blizki jego przyjaciel, biskup Wersalski, nie został arcybiskupem w Tours. W pałacu arcybiskupim bywał bardzo rzadko i tylko zagnalony potrzebą; pomimo usilnych nalegań, nigdy nie zasiadł do stołu biskupiego. Osobom smutnym i w niepewności zostającym służył chętnie radą, byle tylko nie obrano go za kierownika: „Jakto — pisał do przyjaciela — ja mam tobie dawać rady? ależ ten, który pisze do ciebie, powinien zagrzebać się w jakim nieznanym śmietniku i cicho tam siedzieć, a nie rozmawiać z osobami, dobrze się mającemi.“

Obrażał się na serjo, jeśli kto przez wdzięczność lub uszanowanie chciał go w rękę pocałować. Pomimo prośb usilnych nigdy nie udzielał swego błogosławieństwa, a przeciwnie wielką wagę przywiązywał do błogosławieństwa kapłańskiego. Skoro odzywano się do niego w sposób pochlebny, tak przykry dla jego pokory, gromił bez ceremonji, albo też milczeniem okazywał swe niezadowolenie, a gdy i to nie pomogło, dawał niejako za wygraną, śmiał się i uważał słowa pochlebne, jako żart, czyniony jego kosztem.

Zawsze wymowny, jeśli spostrzegł, że słów jego ze zbyt wielkiem przejęciem i uszanowaniem słuchają, przywiązując do nich wielką wagę, mięszał się i urywał w środku najwięcej ożywionego opowiadania. Najbliższym przyjaciołom i krewnym nie odkrywał szczegółów swego życia, jeśli jakkolwiek chwałę przynieść mu one mogły. W kościele umiał wyszukać sobie zawsze jakieś ostatnie, ukryte miej-

sce, a gdy mu to wymawiała pewna pobożna pani, rzekł jej: „Czy sądzisz, że napróżno czytam Ewangelię? Nie chcę, aby Boski Mistrz kazał mi niżej usiąść, gdybym zbyt wysokie obrał sobie miejsce. A tak pewien jestem swego, gdyż ostatni będą pierwszymi.“ Ostatni zbliżał się też do Stolu Pańskiego, ubolewając nad tem, jak w dni świąteczne ludzie nieraz się cisną i popychają, zamiast czekać cierpliwie i innym miejsca ustąpić.

Jedną tylko wadę miał Dupont; — on, który tyle i w tak miły sposób innym rozdawał, sam nigdy prosić o nic nie umiał; brakło mu niejako odwagi. Ale z jakiegoż to powodu? Oto dla tego, bo w każdej potrzebie udawał się z prośbą do Boga, bo wiedział, że Bóg tylko wszystko nam dać może. Bezinteresowność jego dorównywała pokorze. „Pewnego dnia—dodaje jeszcze wyżej wspomniana osoba—przyszedłszy, zastałam go pod wrażeniem cudu co dopiero spełnionego, jeszcze w towarzystwie osób, które otrzymały łaskę Bożą. Byli to ludzie bogaci, a w uniesieniu radości oświadczyli Leonowi gotowość dostarczenia mu środków, potrzebnych do jego dzieł miłosiernych, nalegając usilnie, aby ich jałmużnę przyjąć zechciał. Ale Dupont odmówił jak zawsze i w postanowieniu swem pozostał niewzruszony. Po odejściu tych osób, zapytany, czemu dobrowolnie pozbawił się tak znacznej sumy, za pomocą której byłby mógł zrobić tyle dobrego, wspomagając np. dzieło tych nieszczęśliwych, których los tak go obchodził. — „A Bóg, ten wielki biedny!... A Jego chwala!...— odpowiedział, wskazując na niebo z wy-

razem, którego nigdy nie zapomnę i którym przekonał mnie od razu. — Mam brać tu pieniądze?... Nigdy! W każdym kościele znajdują skarbonkę, niechaj tam złożą swą jałmużnę.“

Jakkolwiek znaczny posiadał majątek, był rzeczywiście ubogim w duchu i cnotę tę umiał doskonale wypełniać. Znacznych nieraz strat, ponoszonych w zamorskich swych posiadłościach, nie brał do serca, stosując do siebie tę samą radę, której udzielił pewnej majątnej osobie, w podobnym znajdując się położeniu: „Znane miłosierdzie Pani — pisał jej — powinnyby przyczyniać się do tem żywszego odczucia strat poniesionych, gdyby nie to, że zapatrujesz się na wszystko okiem żywej wiary. I słusznie nie poddajesz się żalowi. Bóg chce nas mieć biednymi, niechaj Imię Jego będzie błogosławione; jeśli nas chce mieć bogatymi, niech również Imię Jego będzie błogosławione! Ach między nami mówiąc, na ileż to niebezpieczeństw naraża nas posiadanie majątku! Znaczne dochody wielkim nieraz stają się ciężarem, a zwłaszcza jakże nam ciężyć będą, gdy Bóg zażąda z nich rachunku i sądzić będzie z użytku, który z nich zrobiliśmy.“

Pewna świątobliwa pani, matka pięciorga dzieci, mówiła mi niedawno: „Posiadanie majątku zastrasza mnie najwięcej. Powinniśmy rozważać te krótkie słowa, w których głęboka mieści się nauka.“

Na zakończenie tego rozdziału, powracając jeszcze do pokory Leona, pragniemy powtórzyć słowa utalentowanego pisarza, Ernesta Hello, który się tak o nim wyraża: „Pokora była głównym rysem chrak-

teru męża Bożego. własne „ja“ przestało jakoby istnieć dla niego. Rozmaite są rodzaje pokory: pokora człowieka, który zastanawia się nad sobą, aby tem lepiej sobą pogardzać, który walczy z miłością własną, źle przytłumioną i bezustannie się odzywającą, albo też pokora człowieka, który prosto nie myśli o sobie, o swoim „ja.“ Ten ostatni rodzaj pokory posiadał Dupont w wysokim stopniu... Niejeden powtarza, że jest niczem, ale serce jego i uczynki przeczą tym słowom, zdradzając, że się jednak ma za coś, a w głębi serca nawet za coś wielkiego, a pokora jest tylko u niego czezą formułką; gdy przeciwnie u Leona stanowiła tło życia, była życiem samem; w prostocie największej nie przypatrywał się on swej pokorze, nie zastanawiał się nad nią, był pokornym tak samo bezwiednie, jak bezwiednie oddychał. Byłem obecny, gdy pewna pani nazwała go świętym. Trzeba było widzieć, w jaki sposób przyjął to nieopatrzne słówko, jak bez fałszywej skromności, chcąc uniknąć pochwały, umiał dać jej poznać prawdziwe a tak silne niezadowolenie, że niktby się nie ośmielił po raz wtóry na nie narazić. „Gdyby nas wycisnięto pod prasą, rzekł jej, pozostałoby z nas tylko trochę błota.“ „W wielkich rzeczach, które tu się spełniają, mawiał jeszcze, jestem tylko przeszkodą.“ „Słońce nie ma własnej woli, nie mu też nie przeszkadza wschodzić i zachodzić, tymczasem człowiek! człowiek wszystko psuje! Bóg tworzy wszystko z niczego, gdy mu się człowiek opiera, obrażony – wstrzymuje się.“

„Od pragnienia, aby się mnie radzono, wybaw

mnie Panie,“ modlił się co dzień. A prośba ta została wysłuchaną! W pokoju jego zawsze pełno było pielgrzymów, ale chociażby byli przyszli z drugiego końca świata, przynosząc mu wyrazy czci najpochlebniejsze, żadnego to na nim wrażenia nie robiło. Można było wcale się do niego nie zbliżyć, zapomnieć o nim, zaniedbać go, zajmować się nim, lub nie zajmować, nigdy miłość własna w nim się nie odezwała, zdawało się, że jej wcale nie posiadał, że z serca jego została doszczętnie wypompowana, brakło jej tam powietrza do życia.

Formy światowej grzeczności nudziły go. Pewnego dnia, gdy obiadując razem z nim i jego matką, przeproszałem za mój ubiór podróżny, zniszczony dłuższą jazdą w kolei, przerwał mi bez ceremonji z wyrazem, którego powtórzyć nie podobna: „Życie jest zbyt krótkie, abyśmy o tem mówili.“ Przeproszam za przytoczenie tak drobnego szczegółu, ale trzeba było słyszeć ton, w jakim te słowa powiedział.“

Nienawidził własnego „ja,“ a wyniszczywszy je w sobie, chłostał i u innych. Każdy miał wolny wstęp do jego pokoju, ale jeśli wyraźnie nie proszono go o modlitwę, mogłeś czekać godzinami, a nie zauważył cię nawet, nie przypuszczał, że możesz go potrzebować. Wchodziłeś, wychodziłeś, nie wital cię, ani żegnał. Istotnie to nie było jego mieszkanie, ale pokój modlitwy.

Jedno zwłaszcza ulubione zdanie powtarzał aż do znudzenia: „*Me, me, ad sum qui feci. Ja, ja to zrobiłem.*“ Tak się odzywa poganin, a chrześcijanin

mówi: *Vivo ego, jam non ego, vivit vero in me Christus. Żyje, już nie ja, ale Chrystus żyje we mnie.*“

Wolnym będąc od zewnętrznych i wewnętrznych utrapień, zwał ten swój wewnętrzny spokój darem Bożym; nalegał przytem na konieczną potrzebę wesołości, mówiąc: „Szatan jest ojcem nudy; na próżno obraca wirujące stoliki; nudzi się jak zwierzę prawdziwy.“ Zewnętrzny swój spokój w następującej charakterystyczny tłómaczy sposób: „Widziałem wiele osób, dręczonych niepokojem z tego powodu, że życie ich różni się od życia ogółu; działo się to zapewne dla tego, że osoby te miały jakieś znaczenie; gdy tymczasem mnie nikt nie dręczy, ani niepokoi, bo jestem *niczem*. Jakże chcesz, aby można dokuczać temu, co jest niczem? Spróbuj wzięść nic w palce i zdusić je.“ I wymownym ruchem usiłował zgnieść coś w rękę, ale napróżno, skoro nic w nich nie miał.

## ROZDZIAŁ XXI.

### Nadzieja.—Miłość Boża.—Umartwienie.

Z żywej wiary i pokory Duponta wypływała jego prostota i owa, *niczem* niezachwiana, pogoda ducha, która zachwycała jego przyjaciół, a wprowadzała w zdumienie osoby, nie znające go z bliska.

Był to niejako zewnętrzny odbłask nadziei tej drugiej cnoty Boskiej, która tak głębokie zapuściła

korzenie w jego sercu, że jej nie osłabić ani zachwiać nie zdołało. Widzieliśmy z jaką modlił się ufnością i to tak długo, póki nie otrzymał upragnionej łaski. „Wiadomą jest rzeczą — mawiał — że nie możemy sprzeciwiać się woli Bożej. Ale ponieważ zazwyczaj aż do ostatniej chwili nie wiemy, jaką jest ta wola święta, aż do końca wytrwale modlić się powinniśmy. Sam Pan Jezus zaleca nam cnotę wytrwałości. Nie-dosć na tem, wytrwałość tem większej nabiera za-sługi, im więcej trudności mamy do przewyciężenia. Któż wiedzieć może, jaka nas czeka przyszłość? Staną się prawdopodobnie rzeczy wręcz przeciwne tym, których się obawiamy. Czas tylko tracimy na tych wszystkich domysłach, na rozbieraniu wypadków, a brakiem ufności w miłosierdzie Boże największą zniewagę wyrządzamy nieskończonemu Jego zasługom.“ „Wstydić się powinniśmy, powtarzał często przyjaciółom swoim, że nie mamy takiej ufności, która wszystko otrzymać może.“ „Módlmy się za Francję, pisał na innem miejscu, w samotności twojej dużo dla niej uczynić możesz. Aby spro-wadzić z niebios łaski nieprzeliczone potrzeba duszy bardzo ściśle połączonej z Panem Jezusem, któraby błagała Go o miłosierdzie.“ Nadzieja jego, oparta na głębokiej rozwadze, wprowadzała w zdumienie nawet teologów. Pewien uczony kapłan, profesor seminarium, rozmawiając z Dupontem o ufności w modlitwie, twierdził, że prosząc Boga o dobra doczesne, powinniśmy to czynić, jeśli nie z pewną obojętnością, to przynajmniej bez natarczywości, mogącej się sprzeciwiać woli Bożej. Na to Dupont odrzekł



z żywością: „Przeciwnie księżu profesorze, należy naprzykrzać się Panu Bogu; wszakże Pan Jezus zachęca nas niejako do tego w owej pięknej przypowieści o dwóch przyjaciółach, z których jeden przychodzi do drugiego w nocy i puka do drzwi tak długo, dopóki mu nie otworzył, znudzony raczej jego natręctwem, niżeli pobudzony uczuciem przyjaźni.“ „Słowa powyższe, tak trafne i przekonywające, zostawiły w mym umyśle niezatarte wrażenie“ dodaje inny świątobliwy kapłan, naoczny świadek tej rozmowy.

Ufność Duponta była tak silną dla tego, że polegała na obietnicy Pana Jezusa: *O cokolwiek prosić będziecie w Imię moje wierząc, weźmiecie* Bezustannie powtarzał powyższe słowa Pisma św., a niemniej i zdanie św. Hilarego, że Bóg, który przez wewnętrzne natchnienie zachęca nas do modlitwy, nie może nas nie wysłuchać.

Pewien gorliwy chrześcijanin skarżył mu się na osłabienie wzroku, grożące zupełnem zaniewiedzeniem. Na to sługa Przenajświętszego Oblicza, wskazując na cudowny wizerunek, kazał mu prosić o zdrowie, ale chory począł wywawiać się pokornie, mówiąc: „Jakżeby Bóg miał się zajmować tak nędznem jak ja stworzeniem; o wiele ważniejsze łaski błagać mi Go należy.“ Dupont, upatrując w odpowiedzi tej brak wiary i ufności, zgromił go surowo: „Należy bez ogródki, śmiało i otwarcie prosić Boga o zdrowie, dodając jedynie: Panie Boże, na Twoją większą cześć i chwałę.“

Jak przystało wiernemu i światłemu katoliko-

wi, Dupont uciekał się z wielką nadzieją do orędownictwa Matki Najświętszej i Świętych Pańskich. Wspomnieliśmy już, jak nadzwyczajną ufność pokładał w medaljoniku św. Benedykta, w wodzie z la Salette, oliwie palącej się przed wizerunkiem Oblicza Pańskiego. Znał i używał także medaljoników Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, zwanych cudownemi, a które zostały wybite, na pamiątkę objawienia się Boga Rodzicy pewnej świątobliwej Siostrze Miłosierdzia. Za pomocą tego medaljonika otrzymał od Boga wiele łask, już to nawróceń, już to uzdrowień.

Podług niego pierwszą przyczyną chorób naszych jest szatan, ów duch zły i odwieczny nieprzyjaciół człowieka, dla tego, chociaż nie gardził środkami lekarskimi, główną nadzieję pokładał w modlitwie i środkach nadprzyrodzonych. Nigdy nie wątpił o ich pomyslnym skutku, a jeśli kto wysłuchanym nie został, przypisywał to zawsze niedostatecznej ufności proszącego.

„Miłościwa dobroć Pana naszego Jezusa Chrystusa,“ jak się wyrażał, była podstawą jego niewzruszonej ufności. Przewroty i klęski społeczne zachwiać jej nie zdołały, a ludziom, których odstraszały trudności, zwykł był powtarzać: „Kto mówi *nie mogę*, ten nigdy celu nie dopnie, gdyż wtenczas na własne liczy siły. Św. Paweł był mędrszy, gdy wołał: *Wszystko mogę w Tym, który mię umacnia.*“

„Godzina walki nadeszła, mawiał jeszcze, zachęcając przyjaciół, ale nie trwożcie się, nie obawiajcie się wrogich zastępów, bo nie wasza to wal-

ka, ale walka Boża. (*Non est enim pugna vestra sed Dei*). Chętnie też powoływał się na ustęp z drugiej księgi Paralipomenon, opisujący, jako król Jozafat pośród niebezpieczeństw i niepewności walki, toczyć się mającej pomiędzy dziećmi Izraela, a nieprzyjaciółmi ich, wołał do Boga: „Panie, skoro nie wiemy, co nam czynić należy, oczy nasze musimy mieć ku Tobie wzniesione.“ „Ta ufność świętego króla została nagrodzona najświetniejszym tryumfem, kończył Dupont, i my zwyciężymy, ale powinniśmy oddać się w ręce Boga i pamiętać, że ostateczny wynik każdej walki nie od nas zależy, ale od Niego samego.“

Kluczem tej niezachwianej ufności i pogody ducha było u Duponta ściśle zjednoczenie się z Bogiem i gorąca miłość Boskiego mistrza. Temi uczuciami ożywiony, wołał: „O gdybyśmy tylko poznali, jak bardzo nas Jezus umiłował, czegożbyśmy nie czynili dla Niego, aby się Jemu przypodobać? Nieprzyjaciele Twoi, o Panie dotarli aż do Serca Twego, przebić je nawet zdołali, a my, którzy chcemy być Twymi przyjaciółmi, zbyt często niestety wydajemy serca nasze na pastwę błahych myśli, zapelniamy je niemi, tak że dla Ciebie niema miejsca. Króluj w nich jednakże, o dobry Jezu! pomimo naszego tchórzostwa, na przekorę nam samym, oswobodź nas i podbij pod Twe święte panowanie.“

„Zastanawiając się, jak za dni naszych Męka Pańska bezustannie przez ludzi bywa znieważana, nie podobna, na wzór św. Weroniki, nie pałać pragnieniem niesienia Panu pociechy. A środek to

najpewniejszy, aby własne swe grzechy obmywać w morzu miłosierdzia Bożego.“

Miłość bliźnich i gorliwość o ich zbawienie wpływa koniecznie z miłości ku Bogu. Pozyskanie Bogu dusz ludzkich było też głównym celem modlitw i uczynków miłosiernych Duponta; przedewszystkiem miał na względzie duchowne dobro bliźnich, a usiłowania jego Pan Bóg cudownie nieraz nagradzał. Gdy jednak nie udało mu się pozyskać jakiego opornego serca, wielką była jego boleść. Widzimy to np. z listu do znajomego misjonarza w Ameryce, któremu skarży się na pewnego młodzieńca, nie chcącego przed wyjazdem w daleką drogę polecieć się Bogu. „Czyż się za niego modlić nie będziesz? kończy. Zaręczam, że twoi poganie nie postąpiliby w ten sposób. Módl się zatem.“

Podróżując, spędzał noce całe na modlitwie, a ilekroć dojrzał na widnokręgu wieżyczkę kościelną, powtarzał pobożne westchnienie św. Franciszka: „Tam i we wszystkich kościołach świata jesteś przytomnym, o mój Jezu.“ I rozważając przytem miłość Zbawiciela, sam coraz gorętszem pałał ku Niemu uczuciem.

Wspominałem już niejednokrotnie, że Dupont pelen miłości Bożej, wyłącznie o Boskich rozmawiał rzeczach: „Jakże to miło i zbawiennie—mawiał nieraz—porozmawiać szczerze o Panu Jezusie, a jednak ludzie tak rzadko to czynią! Pan dziwnie nad tem boleje, wzywa nas i zachęca do rozmowy o sobie. Już w starym Zakonie znajdujemy rozkaz, aby wszystkie mowy były o prawach Najwyższego. „Omnis

enerratis tua in praeceptis Altissimi.“ Pan Jezus, tłumacząc nam nowy Zakon miłości, zaręcza, że choćby tylko kilku zebrało się w Imię Jego, On będzie pomiędzy nimi i da im poznać różnicę pomiędzy pobożnymi rozmowami a czysto ludzką gawędą. — Ludziom, owianym wirem tego świata, należy często przypominać słowa Pana Jezusa, wyrzeczone przy studni Samarytańskiej: „*Gdybyś znała dar Boży.*“ Mielibyśmy istotnie rozmawiać o czym innym, a nie o Zbawicielu naszym? Ale aby mówić, trzeba miłować, gdyż usta mówią z obfitości serca. Żyjmy zatem w Panu, aby nietylko Krew Jego stała się krwią naszą, ale abyśmy tak, jak On myśleli, mówili i czynili. Apostoł narodów, mówiąc: „Jesteśmy dobrą wonnością Chrystusową,“ zapewne już nie żył sam, ale żył w nim Chrystus... Gdy poufnie rozmawiać będziesz z Panem, proś Go dla mnie szczególnie o łaskę, abym nie zapomniał, że tak wiele już otrzymałem. Ileż mielibyśmy sobie do powiedzenia o tem, o czem każdy chrześcijanin mówić tylko powinien — o Bogu samym.“

Istotnie Pan Bóg był jedynym przedmiotem rozmów jego, czy to przy stole, u siebie, w gościnie, lub podróży, inaczej milczał lub zasypiał. Wiemy np. od pewnego starego kapitana okrętu, że Dupont, płynąc raz statkiem parowym, przespał całą drogę, a gdy go zapytano o przyczynę tak niezwykłej senności, odrzekł, wskazując na kilku inżynierów, rozmawiających wciąż o maszynach i okrętach: „Zdaje się, że ci panowie mogą przez cały dzień mówić o wszystkim, byle nie o Panu Bogu. Ja

tymczasem dobrze się przespalem, co mi pozwoli dłużej w nocy o Nim myśleć.“ Podobna senność — jak zaręcza przyjaciel Duponta — opanowywała go częściej podczas długich rozpraw nad sprawami naukowymi, lub światowymi.

Jeśli zaczepiano miłość bliźniego, szarpano dobrą jego sławę, Dupont nie milczał już, ale najpoważniejsze nawet osoby gromił ze szczerością, na jaką nikt inny nie byłby się odważył, złagodzoną jedynie zwykłą jego dobrocią. Nie słyszano, aby z ust jego wyszło kiedykolwiek słowo, przeciwne miłości bliźniego; owszem, dla uniewinnienia błędów drugich znalazł zawsze jaką wymówkę; zawsze błagał Boga za nimi. Pewien młody chrześcijanin, wylewając raz w kościele przed Najśw. Sakramentem gorące uczucia serca swego, spostrzegł nagle, jak jakiś oficer w pełnym mundurze, trzymając psa na smyczy, przeszedł przez cały kościół aż do głównego ołtarza, bez najmniejszej oznaki czci lub uszanowania. Pobożny młodzieniec, poruszony do żywego tym widokiem, udał się do Duponta, by wynurzyć przed nim swą boleść i oburzenie. — Ale mąż Boży przerwał mu łagodnie, mówiąc: „Uspokój się młody przyjacielu i wyobraź sobie, że to biedny niewidomy przeszedł w kościele obok ciebie! Jakże chcesz, aby człowiek ślepy widział tak dobrze, jak ty! Zamiast oburzać się, prośmy Boga, by mu oczy otworzył i udzielił łaski wiary świętej.“ I obydwaj uklękli przed wizerunkiem Oblicza Pańskiego, modląc się za biednego grzesznika.

Owa gorąca miłość Boga i bliźniego, która  
Żywot Leona Dupont.

w sereu Duponta tak tkliwe budziła uczucia, roz-  
taczając przed umysłem jego szeroki widnokrąg,  
skłaniała go zarazem i do umartwienia chrześcijań-  
skiego i ewangelicznej pokuty. — Już wcześniej, bo  
w samym początku osiedlenia się w Tours, poczał  
wieść życie bardzo surowe i umartwione. Posiadał  
rzadki dar modlitwy i skupienia, co noc odprawiał  
godzinę św., starał się rozszerzać to zbawienne na-  
bożeństwo, znane członkom Apostolstwa. — Wielki  
post i inne dni ścisłego postu przestrzegał bardzo  
surowo, pierwszy raz jadał dopiero w południe, za-  
wsze z postem, a na wieczór tylko trochę sałaty. —  
W wielki piątek i sobotę posilał się dopiero o go-  
dzinie szóstej.

Najlżejsze cierpienia i dolegliwości, jakie Bóg  
na niego zsyłał, były dlań zawsze powodem do no-  
wych umartwień, umiał je zużytkować dla dobra  
swej duszy. „Tak chętnie porozmawiałbym z tobą—  
odzywa się w liście do przyjaciela—ale wrzód, któ-  
ry niedogodnie usadowił mi się na prawym ręku,  
pisać nie pozwala. Fiat.—Niech się dzieje wola Bo-  
ża! Jeśli Bóg będzie miał nademną miłosierdzie, zo-  
stawi mię tu jeszcze bardzo długo, abym mógł czynić  
pokutę, której, jak wiem, bardzo potrzebuję.“

W tym samym duchu pokuty, zadał sobie  
umartwienie, drobne na pozór, ale którego donio-  
słość mogą ocenić ci tylko, którzy je kiedy prakty-  
kowali. Dupont, jak prawie wszyscy mieszkańcy cie-  
płych krain, przywykł od młodości do zażywania  
tabaki; otóż na starość, bo w roku 1868, postanowił  
odzwyczaić się od tego. „Czy uwierzysz—pisał do

przyjaciela i współziomka, pana d'Avrainville—że po  
pięćdziesięcioletnim nadużywaniu tabaki, przed czte-  
rema już blisko tygodniami odłożyłem tabakierkę  
i nie czuję najmniejszej ochoty do niej na nowo  
zaglądać.“

Wykwintne i pełne elegancji ułożenie, ubiór  
bez zarzutu, nawet przyjaciółom i domownikom nie  
pozwoliły domyślać się, z jaką surowością katował  
swe ciało. Jedynej tylko przełożonej Karmelitanek,  
Matce Maryi od Weielenia, osobie bardzo świątobli-  
wej i w podeszłym będącej wieku, przed którą  
zwykł był otwierać swą duszę, udało się odgadnąć  
pilnie zachowywaną tajemnicę. Przez nią to wiemy,  
iż mąż Boży po tem, co nazywał swoim nawróce-  
niem, co wieczór lub o północy, gdy wstawał dla  
odprawienia godziny św., biczował się dyscypliną,  
a czynił to w skrytce, przytykającej do jego poko-  
ju, gdzie nikt widzieć go nie mógł. „Tam to—mó-  
wiła czcigodna zakonnica—z wesołem sercem odda-  
wał się surowemu ćwiczeniu pokutnemu.“ A nie  
oszczędzał się naprawdę. Prosił nawet przełożoną  
o włosiennicę i inne pokutnicze narzędzia, używane  
w klasztorze. Za przykładem Świętych starał się  
później niszczyć te zbyt widoczne dowody surowości  
życia; po jego śmierci znaleziono jednak żelazną  
dyscyplinę, którą obecnie zawieszono w zakrystji  
kaplicy Przenajśw. Oblicza z napisem: „Tu mąż  
Boży przez długie i krwawe biczowanie martwił  
ciało swoje. (Castigo corpus meum et in servitutum  
redigo). *Karcę ciało moje i w niewolę podbijam.* Podług  
zapewnień innego poważnego świadka, jadąc koleją,



jeśli sam był w wagonie, biczował się w duchu zadusyćuczynienia za grzechy, popelniane przez ludzi w podróży.

Ten sposób umartwienia, tak wstrętny pysze i zmysłowości naszych czasów, zalecany był wielokrotnie przez słynnego Dominikanina, Ojca Lacordair'a, jako wielki i ostateczny sposób przeciwko pokusom. Dupont, stosując do siebie tę metodę i innym ją zalecał. „Ty sam pomódz sobie możesz — pisał do osoby, zwierającej mu się z przykrych pokus — jest sposób na twe cierpienie, straszny tylko dla tych, którzy go naprawdę nie sprobowali. Mam tu na myśli pokutę cielesną. *Karcę ciało moje i w niewolę je podbijam* — mówił wielki Apostoł — i słusznie, gdyż Pan nie uwolnił go od pokus. Rozumowania nie tu nie pomogą, ciało jest naszą częścią zwierzącą, dla której słowa nie mają znaczenia, jej potrzeba razów. Pokorne biczowanie się, czynione li tylko w intencji ukarania siebie, wkrótce przywraca duszy siłę i dawną godność; ciało poddaje się pod jarzmo i uznaje niższość swego pochodzenia; mając oczy do nieba zwrócone, odzyskujesz pokój wewnętrzny!“ A gdy ten, do którego pisał, nie mógł się odważyć na użycie tak surowego i dziwnego środka, Dupont, nalegając, pisze powtórnie: „Widzę ze smutkiem, że wciąż jeszcze prosisz o nowe rady i dysputy nad stanem twej duszy. Wierzaj mi, źle czynisz, nie chcąc przyjąć sposobu, jaki uważałem za stosowne polecić ci w pierwszym moim liście. Pokuta weselem napelni twe serce i wyjedna ci przyjaźń Pana Jezusa.“

A na innym miejscu: „Daremnie mówisz mi, że już wiele wycierpiałeś! O! gdybyś znał cenę dobrowolnego cierpienia! Proszę Boga, aby pod tym względem, użyty ci swego światła. Święty Paweł martwił ciało swoje, wszyscy Święci w tem go naśladowali; Pan Jezus pragnie, aby ten duch pokuty zakwitł na nowo i aby wiele dusz pracowało z Nim razem nad wskrzeszeniem narodów, uspionych pogańską filozofją. Złe groźniejszym jest, niż sądzimy! Ileż to ludzi miłuje ciało swoje i wyobraża sobie, że cierpienia Pana Jezusa aż nadto wystarczają, że oni nie potrzebują naśladować ostrości życia Świętych Pańskich. A jednak to, na co obecnie patrzemy, dowodzi wymownie, że Pan Jezus chce nas wprowadzić na jedynie pewną drogę, na drogę pokuty, której pierwszy dał nam przykład.“

Powyższe szczegóły i wyjątki z listów Duponta, przekonywają nas, jak ten sługa Boży doskonale pojmował i wypełniał cnoty, stanowiące podstawę życia chrześcijańskiego, a zwłaszcza trzy cnoty teologiczne. Podziwialiśmy prostotę jego wiary, stałość nadziei, żarliwość miłości Boga i bliźniego. Wiara wszelako górowała w nim, ożywiając każdą chwilę jego życia. Latem czy zimą wstawał często o drugiej lub trzeciej z rana, aby modlić się i rozmyślać, a następnie udawał się na najwcześniejszą mszę świętą, podczas której przystępował do Stołu Pańskiego. Za powrotem do domu, siedząc przy biurku, albo klęcząc pomiędzy wizerunkiem Oblicza Pańskiego a księgą Pisma św., spędzał dzień cały, jak wyżej opisaliśmy, na służbie Pańskiej i to bez przerwy

przez dwadzieścia ośm ostatnich lat życia. Moznaby słusznie zastosować do niego słowa Pawła świętego: *Sprawiedliwy z wiary żyje.*

Nie należy wszelako przypuszczać, aby tak wysoki stopień doskonałości był u Duponta darem przyrodzonym, albo że nabył go bez trudu i walki z samym sobą. Widzieliśmy przeciwnie, że w młodym wieku przeważało u niego zamięłowanie przyjemności. Jako dziecko był duszą każdej zabawy, później namiętnie lubił polowanie, taniec, piękne konie. Uspodobienia był żywego, gwałtownego; wesoły, samowolny aż do uporu, innym niechętnie ustępował, ale we wszystkim chciał przewodzić. Ta cierpkość i porywczność odzywały się jeszcze w początkach życia pobożnego, szczególnie gdy występowano przeciwko zasadom religijnym, jakie całym sercem wyznawał. I tak, pewnego razu spotkawszy w hotelu Anglika, protestanta, którego nie udało mu się nawrócić, a który zaczepiał jego własną gorliwość, rzekł do siebie: „Nasza religja katolicka we wszystkim powinna być górą. Muszę dowieść temu Anglikowi, że głowa katolicka silniejsza od protestanckiej.“ I, używając broni niezbyt teologicznej, wyzwał go na próbę, kto więcej wina znieść może. Po pewnym przeciągu czasu Anglik pod stół się zwałił, podczas gdy młody zapaleniec wstał od stołu spokojny pewien siebie.

Powyższe zdarzenie, tak dziwne i mało budujące, jest zupełnie prawdziwem; Dupont wspominał o niem, będąc już w podeszłym wieku, nie z jakiejś junakerji, ale by własnym kosztem zabawić przyja-

ciół. Przytoczyliśmy je na dowód, jako roztropność, znamionująca resztę jego życia, nie od razu daną mu była, przeciwnie u Duponta, tak jak i u Świętych Pańskich, była zwycięstwem łaski; jego zasługa polegała na współdziałaniu z łaską i pilnem z niej korzystaniu.

## ROZDZIAŁ XXII.

Nabożeństwo Leona do Najświetszego Serca Jezusowego, do Matki Boskiej, do Świętych Pańskich, do Aniołów św. i za dusze w czyścicu cierpiące.

Źródłem i początkiem tych wszystkich pięknych cnót, które podziwialiśmy co dopiero u Duponta, był duch modlitwy, do najwyższej posunięty doskonałości. Modlitwa ustna, czy rozmyślanie zarówno drogiami mu były: cenił i pilnie wypełniał wszelkie rodzaje nabożeństw, przez Kościół zatwierdzonych. Można o nim powiedzieć, że modlił się bezustannie, a z jaką pokorą, z jakim poczuciem wielkości Majestatu Boga. Jeśli go nikt nie widział, przybierał postawę, wyrażającą pokorne błaganie: „Gdy raz sam jeden odprawiałem drogę krzyżową — rzekł do pewnej zaufanej osoby — wyciągnąłem ręce na krzyż. Ale doszedłszy do stacji XI, Jezus do krzyża przybity, spostrzegłem, że nie mam dłoni wyciągniętych i wzniesionych w ten sposób, jak to zwykli czynić ubodzy, proszący o jałmużnę. Zmieniłem więc po-

stawę, a natychmiast udzielił mi Bóg kilku pięknych myśli. — Zachęcony tem, miałem sobie za obowiązek podzielić się moją metodą z innymi osobami. Naśladowanie tego zwyczaju wyciągania dłoni ku niebu, wszystkim na dobre wyszło. Sądzę, iż nie potrzeba przytem słów wielu. — Nędzarz mniej naprzykrza się bogatemu, jeśli mu nie wyszczególnia swych potrzeb, a skoro tak jest pomiędzy bratem ubogim, a bogatym, o ileż więcej, gdy zwracamy się do Boga, tak dobrze znającego nasze potrzeby.“

Dupont był rozmiłowany nadewszystko w modlitwach liturgicznych, łączył się z Kościołem w obchodzeniu święta, na każdy dzień przypadającego. Opuszczając po nabożeństwie świątynię, lubił witać spotykane osoby jakim ustępem z dopiero wysłuchanej Mszy św. lub psalmu. Wszystko cokolwiek odnosiło się do męki Pańskiej lub do Najśłodszego Serca Jezusowego, bardzo go zajmowało. W pierwszych zaraz początkach zamieszkania w Tours, zapisał się do Apostolstwa Serca Jezusowego; sumiennie spełniając przyjęte obowiązki. To piękne nabożeństwo już w r. 1854 nazywał: zadatkim zbawienia i rękojmą niezachwianej ufności. „Widocznem jest — mówił — że łaski, spływające tak obficie na ziemię naszą, pochodzą z Serca Jezusowego i że Najświętsza Panna wstawia się za nami do Syna swego. Św. Jan Ewangelista słyszał bicie Serca Jezusowego, błogosławiona Małgorzata Marya Alacoque widziała je gorejące płomieniami miłości, a Pan Jezus chciał, abyśmy w szczególny sposób czcili to Jego cielesne Serce. Święta Gertruda, która już w trzynastym

wieku proroczym duchem przepowiedziała cześć, jaka składaną będzie Sercu Jezusowemu, pytała św. Jana, czemu nie wspomniał o niem w swej Ewangelji. Na co następującą otrzymała odpowiedź: To objawienie zachowanem jest dla czasów ostatnich, aby świat starzejący się, słysząc bicie tego Boskiego Serca, rozgorzał na nowo miłością Bożą.“

„Cudowna łączność objawień świętej Gertrudy i błogosł. Małgorzaty, tłumaczy obecnie wypadki i nową do walki zagrzewa otuchą. Ludzkość przez całe trzy wieki tarzała się w swym rozumie, aż narazie przejrzała i uznała, jakie to było cuchnące błoto! Obecnie z zadziwieniem słucha wezwania: *Hora est jam nos de somno surgere*. Przychodzi godzina, a teraz czas jest, abyśmy ze snu powstali.“

Nie potrzebujemy wspominać o jego synowskiem nabożeństwie do Najśw. Maryi Panny, całym życiem dowiódł go dostatecznie. Nie możemy się jednak powstrzymać, aby nie przytoczyć kilku jeszcze charakterystycznych szczegółów. Na ścianie w swoim pokoju przybił kartę z wypisanymi nazwami świętyń Matki Boskiej, w miarę jak je nawiedzał w pobożnych pielgrzymkach. Długi szereg tych nazw różnorodnych, z biegiem czasu notowanych zmienionem pismem, stanowił jakoby litanję, którą ten wierny sługa Maryi lubił odmawiać. W zagłębieniu naprzeciw drzwi wchodowych umieścił przyniesioną z la Salette statuetkę Najśw. Panny, modlił się przed nią, a zimą i latem świeżemi stroił kwiatami.

Z Najśw. Sercem Jezusa i Niepokalanem Sercem Maryi łączył chętnie i serce Józefa św. Zalecał

i rozszerzał pewne modlitwy do tego świętego Patriarchy, a ufność jego została pewnego razu w cudowny wynagrodzona sposób.

We Francji istnieje osobne Zgromadzenie zakonne Siostrzyczek ubogich, dające przytułek starcom opuszczonym i niedołącznym. Dupont szczególnie troskliwością otaczając to zgromadzenie, starał się od czasu do czasu sprawić przyjemność biednym staruszkom, i w tym celu wyprawiał im kilka razy do roku sute obiady; gdy dzień taki, zawsze niecierpliwie przez biedaków oczekiwany, zbliżał się, Dupont, nie umiejący ograniczyć swych jałmużn, znalazł się bez środków do wyprawienia zwykłej uczy. Powiedział o tem swym starym przyjaciółom, zachęcając, aby udali się do św. Józefa i odprawili nowennę z prośbą o jaką kurę, lub indyka na pieczeń. „Będziemy prosić o dzika,“ odezwało się nagle kilka głosów. „Czemuż właśnie o dzika?“ pytał Dupont, ale ponieważ staruszkom widocznie o to chodziło, przystał i na dzika. Codziennie odprawiano na tę intencję wspólną nowennę. Mąż Boży modlił się ze zwykłą ufnością i gorącością ducha, lecz śmiał się i żartował z dziwnego pomysłu staruszków, żeby prosić o dzika na obiad. — Przedostatniego dnia nowenny, w wigilję wspomnianej uroczystości, zajechał przed dom Duponta wóz pocztowy z ogromnym dzikiem, a równocześnie doręczono mu list od przyjaciela, który pisał co następuje: „Lichy strzelec, nie wiem doprawdy, jakim sposobem zabiłem w mych lasach dzika, a ponieważ sam jestem na wsi i nigdy zjeść go nie zdołam, pomyślałem sobie,

że może ci się przydać dla twoich biednych i posyłam go coprędzej.“

Możemy sobie wyobrazić, jak dar ten mile został przyjęty. Dobrzy staruszkowie, ciesząc się swym szczęśliwym pomysłem, błogosławili św. Józefa, który ich tak cudownie wysłuchał.

Święta Teresa, odznaczająca się tak wielkiem nabożeństwem do św. Józefa, z niejednego względu drogą była Leonowi; nawiedzał godne jej córki, zakonnice Karmelitanki, u których podziwiał cnoty ich świętej matki. Czytywał jej pisma, od niej uczył się tajemnicy rozmyślenia, nosił zawsze przy sobie jej obrazek, na którego odwrotnej stronie zapisał datę różnych epok tego, co nazywał swem nawróceniem, a czemu słuszniej możnaby dać miano nagłego postępu na drodze doskonałości ewangelicznej. Z nabożeństwa do Serca Jezusowego wpływała także cześć do św. Gertrudy. Rozczytywał się z upodobaniem w jej pismach, piękne jej pozdrowienie pięciu ran Pańskich sam chętnie powtarzał, innych do tego zachęcając. Na jej cześć kazał wydrukować broszurkę z wizerunkiem Świętej, okazującej swe serce, w którym Jezus spoczywał jakoby na tronie, a pod spodem były umieszczone słowa Zbawiciela: „Znajdziecie mię w sercu Gertrudy.“ — „Zadrzałem z radości na samo wspomnienie świętej Gertrudy,“ — pisze Dupont. A na innym miejscu: „Chciałbym przesłać ci słówko dzisiaj jeszcze, zanim przeminie dzień poświęcony św. Gertrudzie. Ale zamiast pisać, trzeba by nam zobaczyć się i porozmawiać o tej wielkiej Świętej, którą tak słusznie



wzięliśmy sobie za patronkę. Ileż łask, przywiązanych do czci, jaką jej oddajemy, jej, która była żywym tabernaculum Pana Jezusa.“ „Pozdrowmy miłośnicie tę prorokinię Najśrodszego Serca Jezusowego, tę kochającą powiernicę Pańską, przed którą Jezus odsłania swe tajemnice! O! św. Gertrudo, naucez nas odmawiać z głębi serca wezwanie, które z ust Twoich wybiegło ku niebu, gdyś posłyszała o zniewagach, zadawanych Panu w pretorium: „Pozdrawiam Cię Jezu, perło ożywiająca doskonałości Bożej, pozdrawiam Cię niewiedniejąca kwiecie ludzkiej natury.“ Zbawiciel raczył ci objawić, że któkolwiek słysząc bluźnierstwo, w ten sposób Go pozdrowi, odbierze nagrodę za gorliwość w obronie chwały Bożej. Prosimy cię zatem, święta Dziewico, wyjednaj nam tę łaskę, abyśmy tak jak ty odczuwali zniewagi, Bogu zadawane, i zadosyćczynili za nie tem miłosnem wezwaniem: „Pozdrawiam Cię, o mój Jezu, perło ożywiająca!“

Swego patrona, papieża, św. Leona Wielkiego, otaczał, jak słuszną, szczególną miłością i nabożeństwem: „To mój Anioł stróż i św. patron, natchnęli cię myślą modlenia się za mnie,“ pisze z anielską pokorą, dziękując przyjacielowi za życzenia. A innym razem: „Jakże dobrze zrobiłeś, zwracając mi uwagę, że święto mego patrona przypada w tym roku razem z uroczystością zmartwychwstania Pańskiego! Ale niedość na tem, musisz mi uprosić jeszcze łaskę zmartwychwstania przez zupełne pozbycie się starego człowieka. Liczę na twoje modlitwy.“ Ze świętym Leonem, który był postrachem barbarzyńców,

a opiekunem Rzymu, łączył zawsze w myśli św. Michała Archanioła, który zdeptał piekielnego smoka.

Do św. Antoniego Padewskiego, patrona zgubionych rzeczy, uciekał się z wielką ufnością i nigdy zawiedziony nie został. Oto przykład jeden z tysięcy. Roku 1841, jadąc z Tours do Mans, spotkał w drodze zakonnice, Siostrę Franciszkę Ksawerę, udającą się na misję do Ameryki. Przez czas podróży modlili się wspólnie, lub rozmawiali o Bogu. Stanąwszy w Mans, Dupont odprowadził zakonnice do klasztoru jej zgromadzenia; zanim się jednak rozstali Siostra spostrzegła, iż zapomniała upomnieć się o swój kuferek. Wyręczając ją mąż Boży, udał się do urzędu pocztowego, ale kuferek już tam nie było, znikł bez śladu. Powróciwszy do klasztoru, uspakajał zatrwożoną Siostrę, zaręczając, że jutro będzie mogła w dalszą udać się drogę, niech się tylko modli do św. Antoniego, co i on ze swej strony uczyni. Następnie zamknięto furtę klasztorną i całe Zgromadzenie udało się na spoczynek. Ale jakież było zadziwienie, gdy nazajutrz na dziedzińcu klasztornym ujrzano kuferek, złożony tuż przy bramie, która zawsze była na klucz zamknięta. Nikt nie dzwonił, ani otwierał, nikt nie wchodził. wieczorem kuferek nie było, a teraz leżał spokojnie, ot ten właśnie, o którym sądzono, że był zaginiony. Dupont, dowiedziawszy się szczegółów tego cudownego wydarzenia, mówił, bynajmniej nie zdziwiony: „Św. Antoni zajął się naszymi kuferkami, podczas gdy my byliśmy zajęci modlitwą.“

Wzywając tego wielkiego Świętego, miał cel

jeszcze inny, ważniejszy, a mianowicie odzyskanie łask utraconych, nawrócenie zatwardziałych grzeszników. Już roku 1846 wespół z kilku innymi osobami odprawia na tę intencję osobną nowennę, i innych do tego zachęca. Pisząc do chrzestnej swej córki, dla której obawiał się zgubnych znajomości, w następujący odzywa się sposób: „Odpraw nowennę do św. Antoniego, aby ci dopomógł znaleźć jaką duszę szlachetną, z którą mogłabyś świętą zawrzeć przyjaźń.“ „Módl się do św. Antoniego Padewskiego—zachęca pewną panię, zakłopotaną zgubieniem okularów. I tak na każdym kroku bezgraniczną ufność okazywał temu wielkiemu Świętemu, twierdząc, że nigdy, w najdrobniejszych nawet rzeczach, nie uciekał się do niego napróżno. W ważniejszych razach zalecał nawet, aby zobowiązano się względem niego ślubem, lub obietnicą.

Do św. Franciszka Serafickiego dwie zwłaszcza rzeczy w szególniejszy sposób pociągały Leona. Jego stygmata, przypominająca bolesne rany Zbawiciela, i modlitwa, wyjęta z pism tego Świętego, w której dwukrotnie wzmiankowane jest Oblicze Pańskie. Modlitwę tę kazał Dupont przedrukować na osobnej kartce, odmawiał ją bardzo często, tłuma czył i rozbierał, zachwycając się zwłaszcza drugą jej częścią, odnoszącą się do Boga Syna: „*Ostendat Faciem suam tibi et misereatur tui.*“ „*Niechaj ci okaże Oblicze swoje i niechaj zlituje się nad tobą.*“ — W chorobie powyższa modlitwa była mu lekarstwem, zachęta do cierpliwości i bronią do walki z odwiecznym nieprzyjacielem.

Trzeba nam jeszcze wspomnieć o szczególnem jego nabożeństwie do św. Moniki. „Świat pełen jest zasmuconych żon i matek—pisał—polecam ci zatem litanję do św. Moniki.“ Sam ją często odmawiał i innych do tego zachęcał, utrzymując, że nigdy nie wzywa się napróżno tej czulej matki św. Augustyna. Stowarzyszenie Matek chrześcijańskich, powstałe najprzód w Francji, dziś i u nas rozpowszechnione, a zostające pod opieką tejże Świętej, powitał z wielką radością, przepowiadając, że takowe „uczyni nowy wyłom w twierdzy szatana.“

Miejscowych Patronów otaczał szczególną czcią i miłością, jak to już widzieliśmy, poświęcając osobny rozdział jego nabożeństwu do św. Marcina. Na grobie św. Franciszka à Paulo, własnym kosztem, ale w największej tajemnicy kazał postawić piękny krzyż żelazny.—Niemniej czcił św. Kajetana, pierwszego Apostoła miasta Tours.

Rozczytując się bezustannie w Piśmie św., zapoznał się bliżej z Patryarchami i Świętymi Starego Testamentu, jak na przykład z Jobem, Mojżeszem, Dawidem, Eljaszem, Elizeuszem, Danielem i Tobjaszem. Czcił i miłował ich w szczególny sposób, a przywołując sobie na pamięć ich słowa i charakterystyczne cnoty, wzywał w potrzebie ich przyczyny. Nie zapominał również i o św. Joachimie i św. Annie, rodzicach Najświętszej Maryi Panny, mówiąc: „Zbawienną jest rzeczą oddawać się pod opiekę tych wielkich przodków Zbawiciela świata. Dziadkowie tak są zazwyczaj dumni ze swych wnuków! Nie bez słusznej podstawy możemy zatem przypu-

szczać, że osobne łaski mają zachowane dla tych, którzy wysławiają przed nimi Jezusa i Maryę i im za Nich dziękują.“

W naturalnem rzeczy następstwie nie zapomniał również o św. Aniołach Stróżach. Następujące, drobne na pozór, zdarzenie, utwierdziło jeszcze jego cześć i ufność ku nim. „Idąc raz z panem Dupont ulicą Urszulanek—zeznaje jeden z jego przyjaciół—zauważyłem, że na skrócie pewnej poprzecznej uliczki zdjął z głowy kapelusz, kłaniając się bardzo uniżenie, chociaż nikt nie przebodził. Zdziwiony, spytałem kogoby pozdrowiał. „Mego Anioła Stróża“—odrzekł po prostu. A gdy coraz więcej zaciekawiony, nagliłem go pytaniami, opowiedział mi, jak razu pewnego, przechodząc tą samą ulicą, przeglądał codopiero otrzymaną książkę o nabożeństwie do św. Aniołów, a oczy jego padły na następujący ustęp: „Ilekoć przyjdzie ci jaka myśl dobra, wykonaj ją, gdyż zaniedbanie byłoby zniewagą, wyrządzoną twemu Aniołowi Stróżowi.“ W tem spostrzegł wieśniaka z kijem w rękę, śmiało kroczącego poboczną uliczką, i przyszło mu na myśl, by wieśniakowi temu udzielić jałmużny. — Zawahał się jednak na widok dostatniego ubrania i butnej miny nieznanego, ale czując głos wewnętrzny, by spełnić codopiero przeczytaną radę, w końcu zbliżył się do niego i podał mu srebrny pieniądz.

„Nie byłem wszelako przygotowany na dobre przyjęcie jałmużny—są to własne słowa Duponta— a zamiast wdzięczności spodziewając się oberwać potężne uderzenie kijem, miałem się na pogotowiu,

by razu uniknąć. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy wieśniak, dziękując serdecznie, opowiedział, że przychodzi z bardzo daleka, że w drodze zgubił pieniądze, a nie mając tu nikogo znajomego, troszczył się, jak zdoła głód zaspokoić i do domu powrócić. „Ale skądże odgadłeś pan mój kłopot?“—pytał zdumiony.“ Na to mąż Boży przeczytał mu codopiero wspomnianą radę z książki, którą trzymał w rękę i pierwotny datek zastąpił znaczniejszym; a gdy młody podróżny pieniądze te jako pożyczkę chciał tylko uważać, polecił oddać je później ubogim swej wioski. „Do głębi przejęty tem zdarzeniem, dodaje Dupont, przechodząc tą drogą, zawsze pozdrawiam mego Anioła Stróża.“

O opiece św. Aniołów mawiał z tak głębokiem przejęciem i ufnością, że słowa jego w sercach słuchaczy niezatarte pozostawiały wrażenie. „Bardzo jeszcze byłam młodą, opowiada pewna pani, gdy mąż mój, oficer, został wysłany z pułkiem do Afryki. Pragnęłam za nim podążyć, wahałam się jednak, obawiając się odbyć sama tak daleką podróż. W tym czasie spotkawszy na ulicy Duponta, zatrzymałam go, zwierając się z mej troski i prosząc o radę. „Ależ pani nie będziesz sama, odrzekł mi z powagą, czyś zapomniała o twym Aniele Stróżu? Jedź bez obawy!“ I rzeczywiście na jego zapewnienie szczęśliwie odbyłam drogę. Drobnny to szczegół, ale to jedno słówko do końca życia pozostawiło w mem sercu żywą pamięć na obecność św. Anioła Stróża.“ Listy swe zaczynał Dupont najczęściej od słów: „Pozdrawiam twego Anioła Stróża“ albo „Pozdro-

wienie naszym św. Aniołom Stróżom.“ Usprawiedliwiając raz ten pobożny zwyczaj, pisał: „Spotkawszy przyjaciela w towarzystwie jednej, lub kilku osób, czyż jemu samemu tylko się klaniamy? Co więcej, gdy ów towarzysz naszego przyjaciela jest osobą wysoko postawioną, czyż jemu najpierw pokłon nie złożymy, za jego tylko pozwoleniem rozpoczynając rozmowę?“ A na innem miejscu: „Pozdrawiam twego Anioła Stróża, i proszę go, aby wspólnie z moim, dopomagał nam zawsze spełniać wolę Bożą.“ W stosunkach z licznymi przyjaciółmi, stosunkach tak serdecznych i duchem Bożym owianych, upatrywał pośrednictwo św. Aniołów. Im poruczając okazywanie wdzięczności osobom, które mu się przysłużyły, pisał: Proszę mego Anioła Stróża, aby ci odplacił stokrotnie za wszelkie dobro, jakie mi wyświadczyłeś. Prosić znaczy otrzymać, ufam więc, że doświadczysz tego, co pragnę dla ciebie, tak że będziesz mógł powiedzieć: Anioł Stróż biednego pielgrzyma okazał mi swoją wdzięczność.“

W piśmie św. czerpał niejednokrotnie pobożne swe o św. Aniołach uwagi, jak np. następują: „Słusznie możemy do siebie zastosować słowa, które prorok Eljasz wyrzekł do swego sługi, gdy tenże uwiadomił go z przerażeniem, że nieprzyjaciele otoczyli miasto: „Nie bój się, bo więcej ich jest z nami, niżli z nimi“ (Ks. Kr. VI, 6). Sądzę, iż bezustannie powinniśmy utwierdzać się w przekonaniu, że święci Aniołowie chcą i mogą czynić nam więcej dobrego, niż źli złego. Jakże wielorakiej pomocy niebo nam używa!“

Wspomnieć nam należy o jednym jeszcze nabożeństwie, szczególnie drogiem sercu Duponta, o nabożeństwie za dusze w czyśćcu cierpiące. Na ich intencję przyjmował najczęściej Komunię św., przyczem miał zwyczaj następujące powtarzać westchnienie: *Część moja w ziemi żyjących.* Co gdy raz czynił na intencję pewnej zmarłej, a bardzo pobożnej pani, zdało mu się, jakby ją samą ujrzał, z rękoma pełnemi złota, mówiącą: „Jestem bogatszą od ciebie.“ „Wówczas, zeznaje sam Dupont, zastanawiając się nad znaczeniem tych słów, usłyszałem ją mówiącą niejako: „Część moja w ziemi żyjących, a my niestety przebywamy na ziemi umarłych, na tej ziemi, gdzie co chwila narażeni jesteśmy na utratę Boga, na śmierć wieczną.“

Myśl o śmierci zawsze mu była przytomną, a ciągła pamięć na niebo, na wieczną szczęśliwość, nadprzyrodzoną nadawała cenę najpospolitszym nawet jego sprawom. Wszystko miało u niego cel wyższy, nadprzyrodzony. „Pewnego razu, opowiada osoba, która niekiedy wyręczała Duponta w jego zajęciach, chcąc zalepić list, znalazłam na biurku męża Bożego same czarne pieczętki: To znak żałoby, odrzekł, widząc moje zdziwienie, noszę żałobę po grzesznikach.“ „Zapytano mię kiedyś, mówi na innem miejscu, po kim jestem w żałobie? Ten, który mię pytał, nie był dobrym chrześcijaninem, odrzekłem zatem: Po panu, albowiem napisano jest: Siedm dni nosić będziesz żałobę po umarłym, ale po głupim i bezbożnym przez cały czas jego żywota.“ Z tak niezwykłą otwartością stosując powyższe słowa do



człowieka, który w jego mniemaniu był głupim i bezbożnym, uważał to Dupont jako rzecz zupełnie naturalną, nie robił sobie z niej wyrzutu, a tem mniej nie miał zamiaru z tego się przechwalać.

Czarne jego odzienie nie oznaczało zatem, jakby można było przypuszczać, żaloby po stracie najbliższych osób. Przeciwnie, śmierć zowiąc życiem, nie opłakiwał ukochanych swoich, ale cieszył się ich szczęściem, z upragnieniem oczekując chwili połączenia się z nimi. Na wieść o śmierci jakiego przyjaciela miał zwyczaj ofiarować za niego własne swe zasługi, i prosił, aby w ten sam sposób pamiętano o jego duszy. „Podług wszelkiego prawdopodobieństwa przed tobą powołanym zostanę na sąd Boży, pisał do jednej z chrzestnych swych córek. Chwila to będzie nielada; wtenczas za przykładem Joba sprawiedliwego wzywa się *„pomocy przyjaciół swoich.*“ Naprzód już muszę cię nauczyć pewnej pobożnej praktyki, prosząc, abys w ten sam sposób modliła się za mnie. Św. Teresa, dowiedziawszy się o śmierci swego starego przyjaciela, zawołała: „Panie, jeśli przez całe życie uczyniłam cośkolwiek dobrego, zasługę ztąd wynikłą racz przyjąć na korzyść tej duszy.“ I w tejże samej chwili zrozumiała, że dusza jej przyjaciela została wziętą do nieba.“

Spotkawszy orszak pogrzebowy, Dupont łączył się z nim zazwyczaj i odprowadzał na cmentarz, lub do kościoła z głową odkrytą i różańcem w rękę. Nie zważał na to, kim był zmarły, ale przeciwnie ze szczególnem upodobaniem wybierał pogrzeby lu-

dzi mało znaczących i biednych, i miał sobie za obowiązek modlić się za ich dusze, o których najczęściej zapominają.

## ROZDZIAŁ XXIII.

### Czwarta epoka czci Przenajsw. Oblicza.

Dupont, zawsze zjednoczony z Bogiem, zajęty pełnieniem cnót najwznioslejszych, myślą i sercem przebywał bezustannie w świecie nadprzyrodzonym, w towarzystwie Aniołów i Świętych Pańskich; to też w około niego roztaczała się jakoby niebiańska atmosfera, widoczna dla osób, z nim obcujących. Sława jego świętości była wielką i daleko sięgającą. Przychodzono doń ze wszystkich stron w najrozmaitszych celach, chorzy po zdrowie, smutni po pociechę, ciekawi, aby go poznać i wybadać, ludzie poważni, aby się pouczyć, inni wreszcie, aby go prosić o modlitwę i posłyszeć słowo pobożnej zachęty, lub zaczerpnąć światła w wątpliwościach. Smiało możemy zaręczyć, że od lat trzydziestu, aż do jego śmierci nie powstało we Francji żadne dzieło, mające na celu niesienie pomocy bliźnim, lub podniesienia ducha pobożności, do którego by on nie przyczynił się pośrednio lub bezpośrednio; nie było żadnego wybitniejszego a bogobojnego męża, który by nie polecał się jego modlitwom, nie prosił o radę względem nowego planu lub przedsięwzięcia.

Wspomnieliśmy już, iż owocem tych nawiedzin, nie zawsze było uleczenie, lub cud oczywisty, ale najczęściej łaski czysto duchowe, zupełne nawrócenie, zmiana lub naprawa życia, utwierdzenie w wierze, lub oświecenie nadprzyrodzone. Dom pokornego sługi Przenajświętszego Oblicza stał się skarbnicą łask najodpowiedniejszych dla potrzeb każdego. Na dowód tego twierdzenia niech nam będzie wolno przytoczyć jeszcze kilka przykładów w porządku chronologicznym, sięgając aż do roku 1870.

Pewna pani w podeszłym wieku, w skutek modlitwy Duponta, uzyskała krótko przed śmiercią łaskę szczerego nawrócenia. Roku 1852 polecono mu dziecię dwumiesięczne, chore na koklusz, lecz mąż Boży wyrzekł tylko te słowa tajemnicze: „Trzeba ofiary w rodzinie.“ Dziecko umarło wkrótce mimo pielgrzymki, odprawionej przez rodziców do wizerunku Oblicza Pańskiego. W pięć lat potem dziadek tej dzieciny, który żył bezbożnie, niebezpiecznie zachorował. — Polecono go modlitwom Duponta, a chociaż dotąd błagano napróżno o jego nawrócenie, tym razem prośby wysłuchane zostały; na dwa miesiące przed śmiercią chory powrócił do Boga z prostotą i pokorą dziecka. Spokojny i zdawszy się na wolę Bożą, rozstał się z tym światem, a śmierć tak piękna, czyż nie usprawiedliwiła, wyrzeczonych przed pięciu laty proroczych słów Duponta, że potrzeba ofiary w rodzinie.

Państwo D. jakkolwiek w oczach świata za zanych uchodzący ludzi, nie chcieli nic wiedzieć o Bogu, ani o obowiązkach z wiary płynących. Naj-

mniej sza rzecz, przypominająca religję katolicką, zawadzała im do tego stopnia, że wskutek działań familijnych odebrawszy krzyż z wizerunkiem Pana Jezusa, pani D. podarowała go natychmiast, mówiąc, iż nie chce mieć w domu rzeczy, przynoszącej nieszczęście. Ale Bóg, pragnąc zbawienia tych dwojga dusz, nie omieszkał nawiedzić ich krzyżem doświadczeń, aby tym sposobem pociągnąć ich do siebie, a łaska nawrócenia miała na nich spłynąć za pośrednictwem sługi Przenajśw. Oblicza. Pan D. nagle rażony paraliżem, utracił władzę w członkach; z łóżka boleści przenoszono go tylko na fotel, do którego był literalnie przykuty. Wskutek tego cierpienia zgorzkniał i stał się bardzo trudnym w pożyciu, niecierpliwił się i unosił gniewem przy lada sposobności, pomimo, że żona i wierna służąca na krok go nie odstępowały, najtroskliwszem otaczając staraniem. Na domiar nieszczęścia, owa wierna i przywiązana dziewczyna zaniemogła tak niebezpiecznie, że wszelkiej musiała zaprzestać posługi, a doktorzy orzekli konieczność operacji. Wówczas to posłyszawszy o Leonie, udała się do Tours, gdzie po gorącej modlitwie i namaszczeniu świętą oliwą, Pan Bóg zdrowie jej przywrócił. Niemalęm było zdumienie pana D. gdy za powrotem do domu ujrzał ją zupełnie uleczoną, pomyślał zaraz, że mąż Boży, który dla jego służącej zdrowie uprosił, może i jemu podobną wyjednać łaskę, ale czując się takowej niegodnym, nie śmiał się odęzwać. W końcu jednak napisał z prośbą o modlitwę, list bardzo pokorny, w którym przedstawił smutny stan swej duszy, wy-

znał, że nigdy w życiu nie przystąpił do Komunii św., że nie jest godzien być uleczonym, a jednak ufa miłosierdziu Bożemu. Sługa Przenajświętszego Oblicza w szczególniejszy sposób modlił się za tego biedaka i wkrótce zdołał go Bogu pozyskać. Pan D. przystąpił do pierwszej Komunii św., odtąd stał się cierpliwym i zdał się na wolę Bożą, a niezadługo umarł po chrześcijańsku. Zamiast uleczyć ciało, Bóg udzielił mu stokroć cenniejszej łaski zdrowia duszy. Pani D., idąc za przykładem męża, również z Bogiem się pojednała.

Pewna młoda panienka, z zacnej i szanownej pochodząca rodziny, pragnęła wstąpić do klasztoru, ale pomimo wyraźnego powołania nie mogła uzyskać pozwolenia rodziców. Nagle zapadła na ból oczu, który zdawał się grozić jej utratą wzroku, ojciec i matka zaniepokojeni postanowili uciec się do modlitwy i odprawić pielgrzymkę do Przenajświętszego Oblicza; młoda panienka zgodziła się na to chętnie, jakkolwiek głównie postanowiła prosić Boga o otworenie oczu rodzicom, aby jej nie przeszkadzali wstąpić do klasztoru. Odprawiono nowennę i namaszczenia; ból oczu nie ustąpił, ale natomiast rozproszyła się duchowa ślepotą rodziców, nie stawiali już przeszkód w spełnieniu pobożnego zamiaru córki i po usunięciu niezbyt groźnego cierpienia pozwolili jej wstąpić do klasztoru.

Niekiedy jedna kropelka oliwy, przesłanej przez Duponta, cudowny istotnie wywierała skutek, przywracając nie tylko zdrowie ciała, ale co więcej, odmieniając serca najtwardsze. — Czterdziestoletni pe-

wien mężczyzna, od czasu pierwszej Komunii, ani razu nie chciał przystąpić do Sakramentów św. Daremnymi były modlitwy i jałmużny bogobojnej jego żony; w nic już nie wierzył, nie chciał się nawrócić. W tak ciężkiem zmartwieniu, pobożna niewiasta zwierzyła się swej znajomej, a ta następującej udzieliła jej rady: „Zaprzestań daremnych napomnień, które drażnią tylko i jeszcze więcej od Boga oddalają, przynieś mi jego koszulę, a zmiękczymy wnet to serce kamienne.“ Gdy żądanie to zostało spełnionem, po lewej stronie koszuli, mniej więcej w okolicy serca wylały maleńką kropelkę oliwy, otrzymanej od Duponta. Po kilku dniach wspomniany niedowiarek bez niczyjej namowy począł odmawiać modlitwy, a gdy następnej niedzieli powtórzono pobożny podstęp, udał się do kapłana i szczerą odprawił spowiedź. Uszczęśliwiona małżonka, codziennie błogosławiła sługę Przenajśw. Oblicza. — Kuzynka słynnego katolickiego malarza, Horacjusza Vernet, zamieszkująca w Tours, wskutek rażenia paraliżem nie mogła chodzić, tak, że na krześle nosić ją musiano, w mieszkaniu Duponta, przez niego od razu uleczoną została. Nazajutrz nie małe było zdziwienie w kościele, do którego udała się pieszo, bez niczyjej pomocy. Zdarzenie to głośne w swym czasie, opowiadał nam proboszcz owego kościoła.

Siostra Aniela z zakonu Sióstr św. Wincentego, znana w całym mieście dla swej gorliwości i miłosierdzia, odwiedzając raz ubogą rodzinę, spadła z krętych i ciemnych schodów, skutkiem czego nogę miała nabrzmiałą i mocno kulą. Spóstrzeglszy to

Dupont, gdy raz przyszła go odwiedzić, wymownym ruchem ręki wskazał jej wizerunek Przenajświętszego Oblicza. — A gdy Siostra zawahała się przez chwilę, sługa Boży, przybrawszy nagle wyraz powagi, upomniął ją surowo, mówiąc: „Jakto, zakonnica nie ma żywej wiary? Dalej Siostró uklękniij i módl się!” Wstydzając się tego pierwszego poruszenia nieufności, usłuchała Duponta, modlono się i namaszczono chorą nogę. Spuchnięcie ustąpiło, siostra kuleć przestała i odtąd nie doświadczać najmniejszego bólu, mogła spełniać dalej obowiązki swego powołania.

To, co się działo w pokoju Duponta, tak było przeciwne wszelkim prawom natury, że świadkowie tych cudownych wydarzeń często przejęci byli świętą bojaźnią. Pewna czcigodna i pobożna pani, bawiąc w Tours u znajomych, zapragnęła widzieć Leona i pomodlić się przed wizerunkiem Oblicza Pańskiego. Razem z nią przyszedł jakiś człowiek z ręką ogromnie nabrzmiałą; Dupont modlił się i namaszczał go, a pod jego dotknięciem spuchnięcie znikło zupełnie. Ten widok do tego stopnia poruszył ową panią, że uciekać poczęła, a przybiegłszy do mieszkania swoich przyjaciół, opowiedziała im co się stało, jako oczom swoim nie wierzy, a jednak pewną jest, że wzrok ją nie myli. Uspokoiwszy się, przyznała, że to był cud, rzecz niepodobna ludziom, ale nie Bogu, który wszystko może. Inna pani w przejeździe również przez Tours, przechodząc z mężem i córką obok mieszkania Duponta, wstąpiła do niego po buteleczkę świętej oliwy. Przyklękla

przed wizerunkiem Oblicza Pańskiego, ale tylko na chwilę, nie chcąc, by na nią czekano. Dupont siedział na zwykłym swym miejscu przed biurkiem; gdy już miała wychodzić, spojrział na nią i rzekł tonem rozkazującym: „Usiądź pani. Zbytecznie troszczysz się i kłopotujesz; niewiasta, bojąca się Boga, śmiać się będzie w ostatniej godzinie. Daleko stałabyś się szczęśliwszą i zbawienniej byłoby dla ciebie, gdybyś zdawała się więcej na Opatrzność Boską.“ Następnie mówił jej o swej matce, która przez całe życie lękała się śmierci, a umarła słodko, z uśmiechem na ustach; rozwiódł się obszernie nad potrzebą ufności zdania się na wolę Bożą, nad pokojem duszy. Ta niespodziewana i na pozór niczem nie wywołana rozmowa w zdumienie wprawiła ową panią, której Dupont dotąd wcale nie znał; posądzała go o egzaltację, a nawet o osłabienie władz umysłowych, gdyż w podeszłym był już wieku, prosiła go jednak, by się modlił dla niej o pewną łaskę, na której bardzo jej zależało. Odrzekł jej: „Będę się modlił, obiecuję to pani, ale nie otrzymasz tego, czego tak pragniesz.“ I rzeczywiście tak się stało. Wieczorem, spotkawszy swego spowiednika, pani ta powiedziała mu tę całą tak szczególną rozmowę; kapłan, wysłuchawszy jej, rzekł poważnie: „Słowa Duponta stwierdzają to, co ja sam sądzę o twej duszy i wskazują to, co dla ciebie jest najlepszym. Nic innego nie mam ci już do powiedzenia.“ Wówczas dopiero zrozumiała, że sługa Boży otrzymał względem niej natchnienie z nieba.

Inna pobożna panienka, mniej więcej podobne



przytacza zdarzenie: „Uzdrowiona przez Duponta, są to własne jej słowa, powróciłam do niego, prosząc o wyjednanie innej jeszcze łaski. Wysłuchał mię, a uśmiechając się łagodnie wpisał do księgi nie tę prośbę, którą mu przedstawiłam, ale inną zupełnie. Zwróciłam mu na to uwagę, nie chciał jednak cofnąć tego, co napisał i rzecz ta istotnie została mi udzieloną. Nie zapomnę nigdy pogodnego a głębokiego wyrazu jego spojrzenia, które zdawało się mówić: „Biedne dziecko, nie wiesz, o co prosisz, jest dla ciebie coś lepszego i Bóg ci tego użyczy!“

## R O Z D Z I A Ł XXIV.

### Wojna 1870 roku. — Komuna.

Wojna niemiecko-francuska, tak uieszcześnie dla Francji, bolesnem echem odbiła się w sercu Duponta, w tem sercu, które obok Boga i Kościoła nad wszystko umiłowało drogą swoją ojczyznę. Do końca ufał, że dzielny miecz Francji, tej najstarszej córy Kościoła, i tym razem nie zawiedzie nadziei w nim położonej. Dupont, będąc dobrym chrześcijaninem, pełnym żywej wiary i gorącej miłości, dla tego właśnie był też wzorowym obywatelem kraju, miłującym go i praw jego ściśle przestrzegającym. Trzymał się wprawdzie zdala od polityki, ale nie wskutek niechęci, lub opozycji, owszem wiernie i sumiennie wypełniał obowiązki względem społe-

czeństwa, do którego należał. Mały tylko dajemy na to przykład.

W roku 1848 gdy zorganizowano w Tours straż narodową, Dupont wraz z innymi zaciągnął się do szeregu, a skoro kolej na niego przyszła, stał na posterunku w stroju przepisany, dopóki kapral go nie zwolnił, rozważając tymczasem słowa Psalmisty: *Nisi Dominus custodierit civitatem, frustra vigilia, qui custodit eam. Jeśli Pan nie strzeże miasta, daremnie czuwa, który go strzeże.* Skoro nocną wyznaczono mu godzinę, wprost z posterunku udawał się do kościoła gdzie byli zgromadzeni członkowie Adoracji nocnej, i tam dalej czuwał i modlił się, błagając Boga za swój naród.

Roku 1870 na wieść o pierwszych porażkach wojska francuskiego, pisał pod dniem 7 września: „Co mamy mówić, co czynić? Z głową posypaną popiołem pokutnym korzyć nam się należy przed ręką sprawiedliwości Bożej.“ Oprócz nieszczęść ogólnych Dupont został jeszcze dotknięty osobiście i to w tem, co było najmilsem sercu jego. I tak, najsamprzód Stowarzyszenie Adoracji nocnej zaprzestać musiało swych zebrań i wspólnych modlitw; był to naturalny wynik ogólnej mobilizacji mężczyzn, zdolnych nosić broń, i nadanie publicznych urzędów reszcie pozostałych obywateli. Dupont bolał nad tem, ale bez słowa skargi, a sam stary, schorowany, w opuszczeniu i odosobnieniu, mógł się tylko przed Obliczem Pańskim modlić. Ale oto wypadki z zastraszającym idą po sobie pośpiechem. Orlean wzięty, Paryż oblężony. Dupont troszczy się i niepokoi lo-

sem przyjaciół, w stolicy zamieszkałych. Jenerałowi Trochu, dowodzącemu obroną Paryża, pragnie przesłać piękną chorągiew Serca Jezusowego, którą zakonnice Wizytki wyhaftowały i złożyły najprzód przed wizerunkiem Przenajśw. Oblicza. Gdy jednak dla przerwanej komunikacji wysyłki nie można było skutecznie, Dupont złożył sztandar w ręce generała la Charette dla bohaterskich jego żuawów, poleciwszy poprzednio wyhaftować na odwrotnej stronie chorągwi słowa: „Święty Marcinie, weźmij w obronę Francję.“

Dom jego dniem i nocą był otwarty, tak dla pielgrzymów, którzy przybywali jeszcze choć w mniejszej liczbie, jak dla młodych rekrutów, dążących na obronę zagrożonej ojczyzny. Ani na chwilę nie zaprzestał swego posłannictwa przed Obliczem Pańskim, gotów był nawet w razie, gdyby Prusacy przyszli do niego, pokazać im kilka zadziwiających świadectw, napisanych pół po francusku, pół po niemiecku, aby następnie „pomówić z nimi o Panu Bogu.“ Zawsze ten sam, pełen wiary i ufności w Boga, nie rozpacza o przyszłość lecz pociesza się nadzieją, że „po przejściu tego okropnego wstrząśnienia, ludzie zwrócą serca ku niebu; to deska ratunku podczas ogólnego rozbicia.“ A wspominając na Jozafata, otoczonego zastępem nieprzyjaciół, dodawał: „Gdybyśmy z jego wiarą wznosili oczy ku niebu, pierzchłyby zastępy nieprzyjacielskie.“

Wkrótce Prusacy zajęli miasto Tours i przebywali w niem przez cały czas zawieszenia broni. Jakież to bolesne doświadczenie dla wiernego syna

Francji; ale i tym razem mąż Boży poddał się z pokorą, za Jobem sprawiedliwym powtarzając ulubione swoje wezwanie: „Niech Imię Pańskie będzie błogosławione.“ Te same słowa umieścił na czele listu do chrześtnej swej córki, ale zaraz potem wrywa mu się z piersi okrzyk, zdradzający, jak trudnem, bolesnem i heroicznem było u niego to poddanie się woli Bożej; pisze bowiem: „Stałaś się dla mnie niejako gołębicą z arki Noego, gdyż list twój był pierwszym dowodem, iż komunikacja została na nowo przywróconą; wycisnął też lzy z moich starych oczu, które sądziłem, że wyschły już oddawna.“

I z tego nieszczęścia nie omieszkał skorzystać, aby, jak to sobie obiecywał, mówić o Bogu i sławić Oblicze Pańskie. „Miałem u siebie na stancji—pisze 5 marca 1871 r.—a to przez kilka tygodni, około szesnastu Prusaków, po większej części katolików; zachowywali się wzorowo.“ „Modlili się dużo przed Obliczem Pańskim, dodaje na innem miejscu, jeden z nich otrzymał nawet wielką łaskę.“

Więcej jednak od obcych najeźdźców trwoży go i niepokoi nieprzyjaciel wewnętrzny, rewolucja, której wybuch w Paryżu naprzód przepowiedział. „Oto dzika tłuszcza zbrodniarzy, w zuchwałej odwadze powstaje przeciw zdrowej części narodu. Oby Pan raczył oddalić od nas tę groźną kłeskę.“ „Módlmy się, módlmy — woła co chwila — aby jak przed osmdziesięciu laty nie pochłoneła nas przepaść, to jest rewolucja, ten szatan spuszczonej z łańcucha.“ Kiedyż ludzie zaczną się miłować w tym Paryżu, który stał się mostem nienawiści,“ dodaje na wieść

o wybuchu komuny. Ale duch Boży, duch modlitwy natychmiast bierze w nim górę, i oto układa rodzaj litanji do Świętych, czczonych w stolicy Francji, aby uprosić ich orędownictwo. Modlitwy te, odmawiane przez wiele dusz pobożnych, może w znacznej części przyczyniły się do oswobodzenia Paryża od okropności komuny. Gdy już porządek został przywróconym, pragnie jakiegoś zadośćuczynienia, jakiejś korzyści ze zwycięstwa, odniesionego nad bezbożnością, w tej myśli pisze 1 czerwca 1871 roku: „Zburzone gmachy odbudowują coprędzej, stokroć byłoby lepiej podnieść chore umysły i wielkich i małych zniewolić do nauki katechizmu.“ Słuszne to nawoływanie wobec ogólnej ciemnoty w rzeczach wiary, w jakiej marnieją ludzie za dni naszych. Ale przede wszystkim żąda, aby zwrócono się do Boga w modlitwie: „On jeden może nas ochronić od ostatecznego rozbicia, grożącego całemu społeczeństwu. Szczęściem, że Bóg wszystko może, bo inaczej lękać by się trzeba, aby złe nie zwyciężyło. Ufajmy zatem wbrew prawdopodobieństwu.“ „Duch modlitwy budzi się w wielu sercach, niesłusznie zatem poddawaliśmy się zniechęceniu. Trzeba tylko, by przybywała coraz większa liczba dusz pobożnych i mogła przezwyciężyć szalę sprawiedliwości Bożej.“

Rzym, zagrożony przez wojska nieprzyjacielskie, był dla Duponta nowym powodem zmartwienia i troski. „O Rzymie—wołał—przedmiocie naszej boleści i obawy! A jednak tak nam potrzebna nadzieja, abysmy nie ustali w drodze.“ Nadzieja ta, oparta na modlitwie dusz pobożnych i na obietnicy, uczy-

nionej przez Chrystusa Pana wszystkim papieżom w osobie Piotra św., że „bramy piekielne nie przemogą Kościoła,“ bierze wkrótce górę w sercu męża Bożego, który pisze dalej: „Krew męczenników zrodziła pierwszych chrześcijan; męczennicy dziewiętnastego wieku przyczynią się do odrodzenia Kościoła i powstrzymają wzrost nowoczesnego pogaństwa. Pozostańmy tylko chrześcijanami.“

Nadprzyrodzona ufność Leona utwierdziła się jeszcze więcej cudownym objawieniem w Pontemain, gdzie Matka Boska, ukazując się małym dzieciom, rzekła do nich: „Módlcie się, Francja zostanie wybawioną.“ To odznaczenie dzieci wprawia w zachwyt Duponta. „Jakiż to wstyd dla naszej pychy“—mówi przy tej sposobności.

Pielgrzymki do Pontemain i innych miejsc cudownych radością napelniły jego serce. „Szatan musiał zapewne cofnąć się o parę kroków“—pisze uszczęśliwiony. Przekonany, iż Francja karana jest za swoją pychę, upatruje zbawienie jej w pośrednictwie małych i pokornych, jak św. Gertrudy, Joanny d’Au, św. Benedykta Labre, żebraka, i wielu innych, których ludzie nawet nie znają.

Dwie wielkie uroczystości religijne, obchodzone w Tours z niezwykłą świetnością i wielkim udziałem wiernych, dały powód do publicznego zamianifestowania uczuć katolickich. Było to mianowicie triduum na cześć błogosł. Joanny Maryi de Maille i uroczystość na cześć świętego Marcina roku 1872. Uroczystości te utwierdziły Dupontą w mniemaniu, że Bractwo świętego Marcina, przez

niego do życia powołane, miało ważne i opatrnościowe dla Francji posłannictwo, a przytem zapal ogólny rozradował pobożną jego duszę. Było to dla Leona tem samem, czem dla spóźnionego wędrowca jest ostatni błysk słońca, odtąd miało się rozpocząć zupełne jego osamotnienie i najcięższa ostateczna próba.

## ROZDZIAŁ XXV.

### Cierpienie i osamotnienie. — Ostatnia epoka czci Przenajświętszego Oblicza.

Jak już wspomnieliśmy jednym z najboleśniejszych doświadczeń, którem podobało się Panu dotknąć sługę swojego, był niezawodnie cios, zadany Adoracji nocnej. Dzieło to, tak drogie sercu światobliwego męża, przerwane podczas wojny, z wielką dźwigało się trudnością. Zebrania odbywać się mogły tylko raz na miesiąc i to jedynie dzięki kilku pobożnym mężom, których Dupont umiał natchnąć swoim duchem, on sam jednakże nie mógł już uczestniczyć w wspólnej modlitwie, ani słowem i przykładem zagrzewać serca współtowarzyszy. Dla nich jak dla niego było to zarówno bolesnem. Z drugiej strony również skutkiem nieszczęsnej wojny liczba pielgrzymów, nawiedzających obraz Oblicza Pańskiego, zmniejszyła się bardzo. Nabożeństwo było zawsze równie gorące, lecz zamiast przycho-

dzić, listownie zgłaszano się do Leona, prosząc go o modlitwy i przysłanie oliwy. Od czasu do czasu pojawiali się jeszcze pojedynczy pielgrzymi, ale mąż Boży, przyciśnięty wiekiem i dolegliwościami, i tych nawet nie mógł przyjmować. Nie skarżył się jednakże na smutny swój stan, ale upatrując w tem wolę Bożą, pisze między innemi: „Wczoraj miałem mocny zawrót głowy, lekarz utrzymuje, że to nie ważnego, zrozumiałem jednak, że nie trzeba wystrzału armatniego, by zdruzgotać naszą ziemską powłokę. Widocznie wstąpiłem na drogę cierpień, prawdziwą drogę pokuty, na której chcąc nie chcąc pełnić trzeba wolę Bożą. Proś Boga, by mi użyzył łaski przyjmowania tej pokuty w duchu miłości.“ Z budującym poddaniem znosił osłabienie wzroku i przykrzejszą jeszcze utratę pamięci, która mu dotąd tak wybornie służyła. Dnia 20 grudnia 1874 roku skarżył się, że mimo największego wysiłku nie mógł odczytać listu, pisanego czerwonym atramentem, a na innem miejscu dodaje: „Nogi nosić mi już nie chcą a pamięć już zupełnie służbę mi wypowiada; po ludzku sądząc smutne to są objawy, ale Bóg tak chce, niech się więc dzieje Jego wola święta, a wszystko będzie dobrze.“ Śmierć, zabierając mu kolejno znajomych i przyjaciół, coraz to większą około niego czyniła pustkę. Dupont bynajmniej na to nie obojętny, w listach, które coraz krótszemi się stają, z rozrzewnieniem wspomina o stracie tych drogich osób. Więcej niż kiedykolwiek wdycha za samotnością, pragnie być zapomnianym; to też gdy proszono go o współdział-



w pewnem miłosiernem dziele, odpowiada: „Żądasz odemnie pani rzeczy wręcz niemożliwej. Zgrzybiały jestem i po prostu niezdolny do niczego. Nic nie mogę, nic nie czynię, nic nie znaczę.“ Zachował jednakże dawniejszą uprzejmość i pogodę duszy, a owo osłabienie władz umysłowych mniejszem było w istocie, niż to sam w pokorze swojej przedstawiał. Przekonać się o tem możemy z listu pewnego wysokiego urzędnika państwowego, który w następujący sposób opisuje swe ostatnie odwiedziny u Duponta: „Ktokolwiek go poznał a nawet kto tylko otrzymał od niego choćby jeden list, ten natychmiast spieszył, jeśli tylko mógł, do Tours i stawał się jego wielbicielem, przyjacielem i uczniem. Ostatni raz byłem tam w listopadzie r. 1874. Zdrowie Duponta mocno już było wówczas nadwyreżone, lecz zawsze ta sama dobroć, uprzejmość i gościnność tem cenniejszemi mi się wydały; pamięć jego młodzieńczą zachowała świeżość. W jego salonie zastałem wieśniaka, który z rozpromienioną twarzą oddawał mu krukiew, na której Dupont coś pisał. Dopiero po odejściu owego człowieka, z właściwą sobie prostotą i żywą wiarą, opowiedział mi, jako tenże przed chwilą przyszedł do niego kulawy, a pomodliwszy się, został zupełnie uleczony i na znak wdzięczności pozostawił niepotrzebną już krukiew, na której mąż Boży odpowiedni umieścił napis. Następnie zaprosił mnie na obiad, co mię nad wyraz ucieszyło, bo gdyby nawet nic nie był mówił, sama jego obecność radością napelniała serce moje. Tymczasem gawędziliśmy cały wieczór, co

chwila przytaczał ustępy z Pisma św., tłómacząc je w przedziwny sposób; umysł mój oświecał, serce zagrzewał i porywał potęgą i błogiem ciepłem swej świętej i pięknej duszy. Żegnając się ze mną, dał mi garść ziemi z ogrodu Oliwnego, sam ją zapieczętował i podpisał.“

Takim był dla wszystkich przyjaciół, chociaż wyżej opisane odwiedziny były jedne z ostatnich, jakie mógł przyjąć. Odtąd w około niego nastaje zupełna cisza i samotność. Pielgrzymów, zdążających wciąż jeszcze do jego mieszkania, przyjmował najczęściej stary służący, którego był do tego wprawił. To osamotnienie było dla Duponta bolesną ofiarą; nie dając jednakże poznać po sobie, ile go to kosztowało, korzystał i z tej próby do utwierdzenia się w enocie. Cierpliwość miał niewyczerpaną, a niemniejszą zaprawdę była jego pokora. Pewna dobra znajoma, chcąc go raz doświadczyć, rzekła mu: „Czy uwierzysz pan, że jakiś jegomość odszedł dziś, ponieważ pana nie zastał w pokoju. Pogniewałam się na niego, nazwałam go niedowiakiem, i mówiłam, że pan płacisz tylko oliwę, palącą się przed wizerunkiem Oblicza Pańskiego, a że wszystkie cuda to Przenajświętsze Oblicze spełnia.“ „O zaprawdę, jakżeś pani dobrze zrobiła, odrzekł, podając jej rękę, namaszcze ci czoło tą dobrą oliwą, która cudownie zarówno oświeca umysł, jak i uzdrawia ciało.“

Piękne dzieło świętego Marcina było jedyne, jakim mógł się jeszcze zajmować, gdyż już zniewolony był zaniechać wszystkich innych. Zebrania u niego się odbywały, tak chcieli członkowie, jak-

kolwiek Dupont mało był czynnym, a nie odzywał się prawie wcale, wystarczała sama jego obecność. „Cokolwiek bądź czynić nam przyszło, wyznaje jeden z członków, wspomnienie jego świątobliwości i skuteczność, jaką przypisywaliśmy modłom jego, podtrzymywały nas i dodawały odwagi. Z serca jego bezustannie wznosiła się do nieba słodka woń żarliwej modlitwy.“

W tym samym czasie około r. 1874, czytając żywot arcybiskupa Kanterbury, świętego Edmunda czyli Edma, zauważył modlitwę, którą tenże święty codziennie zanosił do św. Jana, a której błogich owoców doznał w godzinę śmierci. Modlitwa ta brzmi, jak następuje: „O najmilszy uczniu Jezusa Chrystusa, o dziewiczy Apostole, wyjednaj mi zgon szczęśliwy, jaki twoim stał się udziałem i piękną śmierć błogosławionych. Niechaj umrę pełen wiary żywej, nadziei mocnej i miłości doskonałej. Niech zachowam do ostatka przytomność umysłu, bym mógł, wyznawszy szczyt moich grzechy, zasilić się na drogę wieczności Najśw. Sakramentem Ołtarza i Ostatniem namaszczeniem. Niech umrę z gorącym pragnieniem ujrzenia kiedyś upragnionego Oblicza Pana naszego Jezusa Chrystusa.“ Ostatnie szczególnie słowa zachwyciły Duponta, a całe to gorące wezwanie odpowiadało doskonale jego uczuciom: to też za przykładem świętego biskupa powtarzał je bezustannie i powoli, rozkoszując się niejako jego pięknnością, co więcej, schorowaną i bezwładną już prawie ręką przepisał znaczną liczbę egzemplarzy tej modlitwy i rozesłał przyjaciółom. Od dawna

zniewolony zaprzestać odwiedzania Zgromadzeń klasztornych i dobroczynnych instytucji, jeden tylko uczynił wyjątek dla ukochanych Siostrzyczek ubogich. Od czasu do czasu kazał się zawieść do ich Przytułku, a spędziwszy z zakonnicami godzinę rekreacji, udawał się następnie do biednych staruszków; dla każdego miał miłe słówko, był wszystkim dla wszystkich. Słowa jego, pełne żywej wiary, a nawet sam jego widok i przykład zachęcał najwięcej chorych do poddania się woli Bożej. Odwiedziny te, coraz radsze niestety, były prawdziwym świętem dla całego domu.

Gdy cierpienie choć trochę pofolgowało, korzystał z tego, aby wysłuchać Mszy świętej. Udawał się copędzej do ulubionej kaplicy Karmelitanek, do której dawniej codziennie przychodził, latem o pół do szóstej, zimą o szóstej godzinie, bez względu na ciemność, słotę, lub zimno, w razie potrzeby oświetlając sobie drogę małą latarką. Ponad kaplicą na górnym piętrze złożone było ciało Siostry Maryi od św. Piotra, wiedział o tem i nie zaniedbał nigdy pozdrowić drogą zmarłą i polecić jej modłom sprawy Oblicza Pańskiego i dzieła Zadosyćczynienia. Ale w miarę jak paraliż go obezwładniał, a reumatyzm coraz więcej dokuczał, nie mógł już opuszczać mieszkania, a nawet położonego na pierwszym piętrze sypialnego pokoju, w którym tyle wycierpiał, a w końcu zasnął na wieki. Zrazu, i to przez czas bardzo długi, sypiał w wielkim parterowym, na ogród wychodzącym pokoju, który nazywał swoim salonem, a w którym przyjmował pielgrzymów, nawiedzających

Oblicze Pańskie. Skromne żelazne łóżko, zasłonięte franką, kryło się w rogu pokoju. A jakież to było szczęście dla niego móc spać przed Obliczem Pańskim, a tym sposobem we dnie i w nocy nie przerywać ulubionego nabożeństwa. Ież to razy późnym wieczorem, klęcząc w rogu kominka, modlił się gorąco przed cudownym obrazem. Ale otóż pewnego razu, gdy na czas dłuższy z domu wyjechał, wierna służąca Adela, poprosiwszy panna o pozwolenie, zabrała się do zrobienia w jego mieszkaniu gruntownych porządków. Kazała odświeżyć i odmalować pokoje, przytykające do salonu, a z szczególną troskliwością zajęła się tem właśnie miejscem uszyciem tyłu cudami i modlitwami. Sądząc, że dla drogiego jej pana niezdrowo jest sypiać w pokoju, gdzie przez dzień cały tyle przebywa osób, osmieliła się usunąć z tamąd jego żelazne łóżko, a sypialnię urządziła mu na górze, w dawniejszem mieszkaniu pani Arnaud. Za powrotem Dupont, spostrzegłszy ze zdziwieniem, że nie będzie już mógł nadal czuwać przed Obliczem Pańskim, zawołał tylko, skrzyżowawszy ręce na piersiach: „Mój Boże, czyż to podobne! i czemuż to Adelo?“ I zaraz, nie okazując, ile go to kosztowało, wierny sługa Pański poddał się woli Bożej, jak gdyby ofiara przykrą mu nie była. Działo się to w roku 1860 i odtąd Dupont sypiał już zawsze w tym górnym pokoju, a obezwładniony paraliżem, tam też prawie zawsze przebywał i tam życia dokonał. Ale zanim podążymy na ten szczyt ostatni ciernistej jego wędrówki, zatrzymajmy się jeszcze chwilę w pokoju, który był

zarazem salonem i kapliczką Leona, dokąd on rzadko mógł przychodzić, ale gdzie modlitwami swemi wciąż jeszcze liczne wypraszał cuda. Napływ pielgrzymów, jak wspominaliśmy, znacznie się zmniejszył, zato listowne prośby o modlitwę co dzień były liczniejsze.—Ze wszystkich krajów, ze wszystkich warstw społecznych, z zadziwiającą i wzruszającą ufnością udawano się do Duponta. Sława jego świątobliwości była tak wielką i ogólnie znaną, że proszono go o orędownictwo u Boga, zupełnie jakby jakiego świętego w niebie, a sama myśl, że on o kim pamięta, napępiała pociechę i dodawała odwagi w cierpieniach.—W najróżnorodniejszych potrzebach uciekano się do niego. Oto, jak widzimy z listów, pozostałych po jego śmierci, chorzy proszą o zdrowie, matka poleca swe dzieci, małżonka męża. Najusilniej błagają o nawrócenie grzeszników, o powrót na drogę enoty zbłąkanego syna, o błogosławieństwo dla dzieci, przystępujących do pierwszej Komunii świętej. Ludzie zupełnie mu obcy, otwierają przed nim swe serca, powierzają swe smutki, obawy, cierpienia, i to z największą otwartością i wylaniem, jakby najbliższemu przyjacielowi i powiernikowi, jak przed spowiednikiem, co więcej, jakby przed Aniołem Bożym. Oto telegraficznie polecają jego modlitwom osobę chorą, innym razem proboszcz prosi za swych parafjan, biedna wdowa, aby jej dopomógł zapłacić zaległe komorne. Klasztorzek zakonnic Redemptorystek błaga o modlitwy, inny o nowicjusów. Pewna matka chrześcijańska prosi, by wyjednał dla syna zdrowie i powołanie

kapłańskie. Dziękują mu za nadesłane buteleczki z oliwą, lub proszą o nie, pragną nadto, aby łączył się w odprowadzaniu nowenny. Tym sposobem dom jego zamienił się niejako w świątynię, stał się punktem środkowym, do którego zwracały się tysiące. Mało kto wiedział o jego chorobie, a nawet w kilka lat po jego śmierci nadchodziły jeszcze listy do niego. Pomimo pedagry i najróżnorodniejszych bolesnych dolegliwości, Dupont wszelkich dokładał starań, by nie przerwać tej korespondencji i doprowadził ją istotnie, aż do ostatniego miesiąca życia, chociaż z wielką przychodziło mu to trudnością. W liście do przyjaciela w Ameryce, w następujący żartuje sobie sposób: „Pisma nasze strasznie się różnią; w twojem znać rękę olbrzyma, gdy moje tymczasem w miarę, jak wiek mnie przyciska, ma ochotę w nicość się obrócić. Zresztą mniejsza o to: naszym zadaniem postępować coraz wyżej, drogą do nieba wiodącą. Kto najpierw tam będzie, ten zajmie się maruderami. Reumatyzm, nie opuszczając lewej ręki, zabiera się potrosze do prawej, jeśli tak dalej pójdzie, będę musiał odłożyć na bok wszelkie korespondencje i tak mało znaczące. Mówię już naprzód: Fiat.“

## ROZDZIAŁ XXVI.

## Ostatnia choroba i śmierć Leona.

Od trzech lat, to jest od chwili, gdy choroba prawie bezustannie przykuwała Leona do łoża boleści i zniewalała go korzystać z troskliwości służących, budował tychże przykładem żywej wiary, ufności niezachwianej, a niemniej i prostotą w modlitwie. „Czemże jesteśmy, zwykł był mawiać, oto biednem, małem stworzeniem. I cóż może uczynić taka biedna istota, jak tylko wyciągnąć ręce i prosić Ojca niebieskiego. Czyż to podobna? Bóg czyni wolę swego stworzenia, a nie miałoby stworzenie czynić woli Boga swego?“ „Nie wdzierajcie się nigdy—mawiał im jeszcze—na wysokie góry, lecz małymi będąc, obierajcie drogę poziomą, która je okrąża.“ Zalecał im, by szli za głosem Anioła Stróża, gdyż, jak utrzymywał, „zaniedbanie dobrych jego natchnień byłoby niewiernością względem Boga samego.“ Natomiast przestrzegał, aby nie słuchali podszeptów złego ducha, i tym sposobem nie narażali godności chrześcijanina. „A ty—mówił z pogardą i śmiechem, zwracając się do szatana—idź sobie precz! vade retro... Dobranoc—dodawał ironicznie, zdejmując z głowy kapelusz.“ Niewyczerpany był w tego rodzaju żartach. „Jakto—wołał—jesteśmy dziećmi Boga i mieliżbyśmy rozmawiać z przeklętym! Nędznik! zostawcież mu jego rozum, on nie już nad to nie posiada, nie ma serca, wszystko utracił! A wy



wszystko mieć możecie, wyciągnijcie tylko do Boga błagalne dłonie, jak to biedni czynić zwykli, a gdy z ręki Bożej otrzymacie, o co prosicie, ucałujcie ją w myśli, mówiąc w prostocie serca i z wdzięcznością: dziękuję.“ Na wzmiankę o biednych, o tych biednych, którym tak chętnie spieszył z pomocą, wołał z uniesieniem: „Biedni! biedni! o służmy im wiernie i ochoczo, nie odkładając nigdy na później tego, co mamy dla nich uczynić; to królówie nasi, gdyż w wieczności królować będą.“ A na dowód, jak należy spieszyć się z pomocą ubogim, przytaczał kilka zdarzeń z własnego doświadczenia, a pomiędzy nimi następujące. Pewnego dnia, gdy chciał odwiedzić chorego biedaka, swojej pieczy powierzono, spadł nagle deszcz tak ulewny, że pani Arnaud w macierzyńskiej swej troskliwości wyjść mu nie pozwoliła. Czekając dopóki ulewa nie przeminie wziął książkę do ręki. Był to żywot św. Gertrudy, i zaraz na wstępie oczy jego padły na następujące słowa: „Ubodzy—to książęta dworu niebieskiego, nie każmy im nigdy czekać na siebie.“ Przeczytawszy to zdanie, niezem już nie powstrzymany, poszedł do chorego, którego zastał blizkim śmierci, tak, że za ledwie zdążył przysposobić go do spowiedzi i kapłana mu sprowadzić. Zdarzenie to było dlań jakoby ostrzeżeniem, wprost z nieba pochodzącym, odtąd biednym i chorym nigdy już nie pozwolił czekać na siebie. Miał ulubione przysłowie, które często powtarzał: „Da et accipies.“ *Dawaj a otrzymasz.* Temi słowy zachęcał do udzielania szczodrej a prędkiej jałmużny, mówiąc, że otrzymujemy od Boga w mia-

rę, jak dajemy biednym. Chciał także, aby bielizna, rozdawana ubogim, była białą, czystą i pachnącą.

Gdy mówił o szczęściu i potrzebie częstej Komunji świętej, był wtedy niewyczerpany. „Chrześcijanin bez Komunji św. to jakby ryba bez wody.“ Na poparcie swego twierdzenia przytaczał pełno ustępów z Pisma św. utrzymując, że cały stary i nowy Testament, poczynając od słów: *jeśli jeść będziecie z tego drzewa, pomrzecie*, aż do ostatniego rozdziału Apokalipsy, gdzie mowa o „drzewie żywota, oblanem rzeką wody żywota,“ jest niejako jednym wezwaniem do karmienia się Chlebem Eucharystycznym. Słowa Psalmisty: *Qui dat jumentis escam et pullis coroarum*, stosując do Komunji św. podnosił z jednej strony wielkość i dobroć Boga, a z drugiej własną naszą niegodność.

Takimi były jego rozmowy ze służącymi i z osobami, które przychodziły go odwiedzać. Jedni i drudzy te słowa w żywej zachowali pamięci, i starali się powtórzyć je nam jak najwierniej. Nie podobna jednak oddać jego uprzejmej i słodkiej wesołości, owych zwrotów żartobliwych i gestów wymownych, które aż do ostatniej chwili tyle nadawały uroku jego rozmowie. Dzieci, które przez całe życie tak bardzo lubił, i teraz jeszcze kazał do siebie dopuszczać. Z niemi stawał się sam dzieckiem, rozkoszował się ich naiwnym szczebiotem, słuchał ich śpiewu, rozmawiał poufale, egzaminował z katechizmu. Jeśli przyprowadzono mu chłopczyków, mających być oddanymi do gimnazjum, zachęcał ich do szczerej modlitwy i do pracy wytrwałej, które są

niezawodnym środkiem do otrzymania na końcu roku szkolnego dobrego świadectwa. Dla zachęty lubił im opowiadać następujące zdarzenie. Pewien jego znajomy, umieściwszy syna w zakładzie naukowym w Tours, prosił, by Dupont zechciał go od czasu do czasu odwiedzać. Chłopiec, oddany do szkół w ciągu kwartału, nie mógł podążyć za innymi, był ostatnim z całej klasy, czem tak się zniechęcił, że odwiedziny i przedstawienia życzliwego opiekuna żadnego już na nim nie czyniły wrażenia. Dupont, niewymownie tem zmartwiony, tak się do niego odezwał: „Znam pewien tajemniczy środek, za pomocą którego na końcu roku możesz przejść pierwszym do wyższej klasy.“ A gdy chłopiec spoglądał nań z niedowierzaniem, dodał: „Jeśli mi przyrzeczesz, że użyjesz tego środka, wyjawię ci moją tajemnicę; otóż powtarzaj po prostu i często to krótkie wezwanie: *Boże mój, kiedyż miłować Cię będę.*“ Następnie przez kilka tygodni odwiedzał go codziennie, dla przekonania się, czy nie zapomniał o danej obietnicy. Chłopiec wiernie ją wypełniał i w krótkim czasie nie tylko dogonił współuczniów, ale nadto jedną z pierwszych otrzymał nagród. A gdy przełożony zakładu dziwił się, jakim sposobem uczzeń, przyjęty w ciągu roku szkolnego, tak szybkie uczynił postępy: „To moja tajemnica, odrzekł mu poważnie mąż Boży, — wyjawię ją panu, ale pod warunkiem, że powiesz ją wszystkim twoim uczniom. Otóż z żywą wiarą należy uciekać się do Boga, a ufność swą w modlitwie złożywszy, powtarzać bardzo często: *Boże mój, kiedyż kochać Cię będę?*“

Wiemy, że niejednokrotnie używano tego sposobu i zawsze z dobrym skutkiem.

Z dziecięcą a wzruszającą prostotą w czasie ostatniej swej choroby przyjmował Leon przedmioty, któremi chciało zrobić mu przyjemność. I tak naprzykład ucieszył się małą rośliną, wyrosłą z orzecha, który pewna pobożna panienska zerwała w ogrodzie w Paray le Monial, gdzie błogosławiona Małgorzata miewała swe cudowne objawienia. Orzech, zasadzony w doniczkę, wypuścił zielony listek. Na widok tego listka, pochodzącego z miejsca, w sławnego tyłu cudami i łaskami nadzwyczajnej dobroci Bożej, świątobliwy czciciel Serca Jezusowego odkrył głowę i nabożnie przycisnął do ust lichą roślinkę, postawił na oknie i codziennie ją podlewał i pielęgnował.

Przez cierpienia i boleści, które aż do końca towarzyszyły temu żarliwemu miłośnikowi krzyża, chciał Boski Zbawiciel tem ściślejszy dać mu udział w cierpieniach bolesnego swego Oblicza. I tak naprzykład próżnia, która powstała dokoła niego, opuszczenie, w jakim mimowoli pozostawiali go najbliżsi przyjaciele, dotknęło go boleśniej, niż się tego domyślano. Bolał widocznie nad tem, choć w milczeniu. Stokroć dotkliwszem było dlań pozbawienie codziennej Mszy i Komunii świętej, jednak i pod tym względem nigdy się nie skarżył. Raz na tydzień przynoszono mu Komunię św., a te odwiedziny Boga, utajonego w Najświętszym Sakramencie stanowiły źródło słodkiej rozkoszy i wynagradzały mu wszelkie cierpienia. Gdy jeden z księży, chcąc

mu zrobić przyjemność, zamierzał prosić Arcybiskupa o pozwolenie odprawiania w jego pokoju Mszy świętej, Dupont oparł się temu, nie chcąc dla siebie żadnego wyróżnienia ani nadzwyczajności. Z właściwą sobie delikatnością nie przypuszczał, aby mu było wolno przywoływać do siebie zbyt często Pana Jezusa, ani trudzić kapłanów Jego, tak że nieraz trzeba było w tej mierze, słodki uczynić mu przymus. Posłuchajmy teraz, w jaki sposób wynagradzał sobie ten głód duchowy: „Co rano, mówi, pielgrzymowałem w duchu, w towarzystwie mego Anioła Stróża, po całym świecie, od kościoła do kościoła, prosząc Pana Jezusa, aby raczył mi udzielić okruszyn Hostji Przenajświętszej, spadających na ziemię, i w myśli zajmowałem się ich zbieraniem.“ Słowa przedziwne, dające nam poznać pokorną i pełną prostoty miłość, tego gorliwego czciciela Najświętszego Sakramentu, który, przyrównując się do kanaanjskiej niewiasty, zbyt szczęśliwym się czuje, gdy mu wolno zbierać okruszyny ze stołu Pana niebieskiego.

W początku marca rażony został Dupont nowym atakiem paraliżu. Odtąd bezwładny i na przymusową skazany bezczynność, łóżka już prawie nie opuszczał, a coraz więcej sam na sam z Bogiem przestając i całkowicie w Nim zatopiony, miewał jakby przedsmak wieczystego oglądania Boga. Jednym z ostatnich jego słów była prośba o Komunię świętą, której zawsze tak gorąco pragnął, a przyjmować czuł się niegodnym. To też, gdy przed kilku dniami chciano mu przynieść Wiatyk, odrzekł: „Nie, zbyt jestem nędznym, aby Pan Jezus przy-

chodził do mnie w ten sposób.“ Ale nazajutrz po przybyciu krewnego swego, Leona de Marolles, którego był zamianował wykonawcą testamentu, zawołał go, mówiąc: „Leonie pragnę mieć Pana Boga.“ Pan de Marolles nie mógł go zrozumieć, wtenczas Adela, zbliżając się do łóżka swego pana, zapytała, czego sobie życzy? „Pana Boga“ odparł żywo, wymownie poruszając głową. A gdy mu przedstawiano, że lepiej trochę jeszcze zaczekać, odrzekł: „Nie, zaraz, tak będzie przyjemnie Panu Jezusowi.“ „Dobrze, odrzekła wierna sługa, zaraz posłę po księdza, a tymczasem przysposobię ołtarzyk, jak to zrobiliśmy dla pani Arnaud.“ Skinął głową na znak przyzwolenia i co chwila dopytywał się, kiedy ksiądz nadejdzie. Krótco przed dwunastą z zupełną przytomnością umysłu przyjął przenajdroższe Ciało umiłowanego Jezusa. Mówienie wielką mu trudność sprawiało, ale półgłosem szeptał bezustannie modlitwę, to w niebo spoglądając, to zamykając oczy. Ostatnie Olejem św. namaszczenie przyjął z anielską pobożnością, łączył się z kapłanem w odmawianiu liturgicznych modlitw, które umiał na pamięć, odpowiadał na nie z największym spokojem, raz nawet zwrócił uwagę kapłana, który, wskutek wzruszenia, jakiś ustęp opuścił. Następnie popadł w rodzaj kłania, przeciągającego się dni kilka, a był to dla niego czas wielkiej zasługi i ostatecznego doświadczenia. Przykuty do łoża boleści, ręce miał ustawicznie na piersiach złożone, a gdy lewa, która była zupełnie sparaliżowana, usuwała się, prawą, trochę więcej władzy mającą, na dawne przywracał ją miej-

sce. Cierpiał straszliwie, ale z anielskim poddaniem się, bez słowa skargi. Dla tem zupełniejszego doświadczenia jego cnoty, krótko przed śmiercią dopuścił nań Bóg jeszcze ostatnią próbę, o jakiej czytamy w żywocie świętego Marcina i innych wielkich Świętych. Szatan, któremu mąż Boży, uzbrojony w medaljonik świętego Benedykta, przez całe życie tak dokuczał, teraz w ostatecznej chwili zapragnął zemścić się na nim. Osoby, czuwające u łóżka Leona, spostrzegły, że chory, zazwyczaj tak spokojny, zdawał się gwałtownie poruszony, jakby wstrętnym przerażony widokiem. Sam przyznał, że doznał udręczeń szatańskich. W poniedziałek o siódmej wieczór odezwał się nagle: „Adelo, wystaw sobie, szatan czynił mi różne obietnice... nędznik!“ „Niech się pan nie trwoży, odrzekła wierna sługa, trzeba mu powiedzieć: Idź precz szatanie. Zresztą mamy medalik świętego Benedykta.“ Dupont, przypominając sobie że świętej Teresie dla odstraszenia złego ducha wystarczało trochę wody święconej, chciał być nią pokropionym i sam żegnał się po kilka razy. Nazajutrz około szóstej rano zapalono gromnicę i aż sześć ich wypaliło się do chwili zgonu. Ilekroć szatan usiłował ponawiać swe napaści powtarzano pokropienia wodą święconą, a natychmiast umierający odyskiwał zwykły spokój; pogodny wyraz jego twarzy w zdumienie wprawiał obecnych. Nie mógł już mówić, ale dawał znać, że rozumie wszystko i łączy się z modlitwami, które bezustannie za niego zanoszono, jak o to prosił, gdy jeszcze mógł się odzywać. Pamiętna na to życzenie Adela, nie prze-

stawiała powtarzać krótkich aktów strzelistych, jak np. Jezus, Marya, Józef! O mój Jezu miłosierdzia, Słodkie Serce Maryi, bądź mojem zbawieniem. „To mój Anioł Stróż modlił się za mnie,“ mówiła następnie pobożna dziewczyna. Niekiedy, pochylając się nad chorym, pytała: „Tak źle się modłę, czy słyszysz mnie pan?“ Raz odrzekł jej: „Módl się tak dalej,“ następnie uściśnieniem ręki dawał znak, że ją rozumie.

Nieruchomy, leżąc na wznak, jakby na drzewie krzyża, z oczyma prawie zawsze zamkniętymi, zachował przecież wyraz twarzy dziwnie pogodny. Oddychał ciężko, ale bez żężenia, zdawał się wciąż jeszcze powtarzać ulubione wezwanie do Przenajśw. Oblicza, a zanosił je bezwątpienia jeśli nie ustami, to sercem. Ten stan konania i straszliwego cierpienia trwał całe dni ośm, przy zupełnej przytomności umysłu. W piątek wieczorem Adela, spostrzegłszy, że jest blizkim końca, zapanowawszy nad wzruszeniem, pożegnała go od siebie i dwóch służących Zefiryne i Adelaidy, którzy od wielu lat tworzyli jakby przybraną jego rodzinę. Wszyscy troje, klęcząc przy łóżku, prosili go, by nie zapomniał o nich w niebie. W sobotę rano przyszedł spowiednik Leona i raz jeszcze udzielił mu absolucji; poczęto na nowo odmawiać modlitwy za konających, tylokrotnie już powtarzane. Przy słowach *Beati immaculati in via—Błogosławieni niepokalani w drodze*, rozpoczynających psalm CXVIII, który Dupont tak lubił odmawiać i rozmyślać, błogi niebiański uśmiech opromienił jego lice, i słodko zasnął w Panu około



godziny czwartej rano w sobotę 18 marca 1876 r., w uroczystość świętego Gabryela Archaniola. Nie zauważono żadnej męki, ani jęku przedśmiertnego; trzy razy westchnął tylko głęboko, za trzecim razem pan de Marolles rzekł ze wzruszeniem: „Już go tu niema.“ Istotnie był to ostatni znak życia, umarł cicho, nawet nie otwierając oczu, tak że za ledwie można było zauważyć chwilę zgonu. Umierając liczył lat siedmdziesiąt dziewięć.

Ciało jego wystawiono w dolnym pokoju tuż przed wizerunkiem Oblicza Pańskiego. Nieprzeliczone tłumy pobożnych w skupieniu dążyły do zwłok Leona, którego uważały już za świętego i opiekuna swego. Ocierano o nie obrazki i różańce, modlono się przy nich gorąco i to bez przerwy przez sobotę, niedzielę, aż do poniedziałku rano, to jest do chwili pogrzebu.

Orszak żałobny, wszystkie gromadzący stany od najwyższych przedstawicieli władzy i duchowieństwa, aż do biednych dzieci, wspieranych przez Leona, był istnym tryumfalnym pochodem, hołdem, oddanym prawdziwej enocie i zasłudze. Zmarły pragnął jak najskromniejszego pogrzebu, więc też przy trumnie postępowali dwaj starcy z przytulku Sióstrzyczek ubogich i dwie sieroty z ochronki. Gdy na cmentarzu składano do grobu jego ciało, dały się słyszeć głosy w tłumie: „Czyż tu jest miejsce właściwe dla męża tak świątobliwego? w kościele należałoby go pochować,“ a inni dodawali: „Przyjdzie dzień, gdzie ciało jego ztąd wezmą i oddadzą mu cześć należną.“—Jakikolwiek pod tym względem

będzie wyrok Kościoła, którego uprzedzać nam nie wolno, śmiertelne szczątki Duponta, oczekując dnia zmartwychwstania, spoczywają obok zwłok matki i córki, pod jednym wspólnym krzyżem. Marmurowy klęcznik, który niegdyś wzniesić kazał obok grobu Henryni, nad jego teraz wznosi się mogiła, a liczni pielgrzymi i przyjaciele modlą się na tem samem miejscu, gdzie on tak często gorące do Boga zanosił błaganie.

Nie posiadamy rzeczywistego portretu ani fotografii Leona Dupont. Miał on wprawdzie dość dobry swój wizerunek z lat młodzieńczych, ale, nie przywiązując doń żadnej wagi, podarował go Adeli. Później, korzystając z jej chwilowej nieobecności, wrzucił go w ogień i, zacierając ręce, pokazywał zrozpaczonej dziewczynie resztki drogocennego skarbu, dopalającego się na kominku. Portret, zdobiający pokój, w którym życie zakończył, zrobiono z pamięci podług bardzo niedokładnej fotografii, zdjętej po jego śmierci. Inny, znakomitego pędzla pana Lafon, zawieszony w przedsionku kaplicy Oblicza Pańskiego, przedstawia go po śmierci z głową, złożoną na poduszce. Promień niebiańskiego wesela, jakby powiew zmartwychwstania, opromienia te przymknięte usta i powieki, rzekłbyś, że twarz jego jest odbiciem wizerunku Najśw. Oblicza, umieszczonego na drugim planie, w górze obrazu. Pomysł to zaiste genialny; nie można było w bardziej wymowny i wdzięczny sposób wyrazić owych słów, powtarzanych tylekrotnie przez męża Bożego: „Niech umrę

w gorącym pragnieniu ujrzenia kiedyś najpożądańszego Oblicza Pana naszego Jezusa Chrystusa. Amen.“

Dupont całą swą postawą i ułożeniem, pełnym powagi i dystynkcji, równocześnie pociągał i budził szacunek. Wzrostu był wysokiego, czoło miał szerokie i z włosów ogolone, rysy bardzo regularne, oko żywe a pełne słodyczy. Wyraz twarzy zwykle pogodny, z wielką jednak łatwością odzwierciadlający wszystkie wewnętrzne uczucia. Gdy klęczał przed Najświętszym Sakramentem, gdy zbliżał się do Stołu Pańskiego, albo był zatopiony w dziękczynieniu po Komunii św., zauważono nieraz bijącą z jego twarzy „jasność fosforyczną“, jak się wyraża pewien kapłan, częsty świadek tego faktu, a co potwierdza znany u nas francuski autor, który go odwiedzał pod koniec życia, a który mówi: „Twarz jego opromieniał niekiedy blask, nakazujący uszanowanie.“

Rozmawiając, miał zwyczaj gestykulować, co słowa jego czyniło tem dobitniejszymi i tem więcej dodawało im wdzięku. Dla wszystkich nad wyraz grzeczny i uprzejmy, z oglądą najwyższych sfer towarzyskich, łączył niezmierną prostotę, skromność i naturalność. Strój jego odznaczał się zawsze nieposzlakowaną czystością, a urządzenie domu, jakkolwiek proste i dalekie od wyrafinowanej wygody, odpowiadało zawsze jego towarzyskiemu położeniu. Na ulicy spotkać go było można idącego prędko i w skupieniu ducha, odzianego w surdut o szerokich rękawach; znajomym i przyjaciółom kłaniał się uprzejmie już zdala, za ledwie ich spostrzegł; zatrzy-

mywał ich chętnie, by mimochodem, jakie budujące wtrącić słówko. Najsluszniej można było odnieść do niego obraz, skreślony przez Izajasza proroka (III 2—3). *Mocnego i męża walecznego — roztropnego w mowach tajemnych.*

Dla tem lepszego poznania wielkiej świętobliwości Leona Dupont, rzućmy raz jeszcze ogólny pogląd na całe jego życie. Najsamprzód niepodobna pominąć, że w ciągu jego ziemskiej wędrówki, siedm-dziesiąt i dziewięć lat trwającej, przechodził od czasu do czasu bolesne doświadczenia, zsyłane mu przez Opatrzność, a będące dlań niejako epokami coraz wyższego postępu w doskonałości. Śmierć zabiera mu niespodzianie ukochaną małżonkę, to cios pierwszy. Następnie umiera mu jedyna córeczka i droga matka, w ten sposób zrywają się wszystkie najsilniejsze węzły, łączące go ze światem. Dupont bardzo żywo odczuwa każde rozłączenie, ale pokornie, choć z sercem rozdartem, poddaje się woli Bożej, i idzie naprzód pełen żywej wiary i gorącej ku Bogu miłości.

Zbiegiem okoliczności wyrwany z ziemi rodzinnej i ręką Opatrzności zawiedziony do Tours, tego grodu świętego Marcina, stałe tam obrał mieszkanie. Powolny na głos łaski, na natchnienie z nieba, tak wyraźnie odzywające się w jego sercu, z całą gorącością swej żywej natury, a zarazem z głębokiem przekonaniem i rozwagą, z wiary płynącą, oddaje się życiu wysoce pobożnemu i dobrym uczynkom, w tem znajduje zajęcie, jedyny cel życia, a zarazem najwyższe dla siebie szczęście. Przykład św. Teresy

za szczególnem poruszeniem łaski Bożej, odrywa go od światowych przyjemności, w których dotąd miał jeszcze upodobanie. Oddany żarliwej modlitwie i ostrej pokucie, noce nieraz całe spędzał na adoracji Przenajświętszego Sakramentu. Stosunki z Siostrą od św. Piotra i cześć Oblicza Pańskiego, sprawiają, że coraz gorliwiej oddaje się modlitwie i dziełom wynagradzającym. Widok prześladowania Kościoła i nieszczęście Francji, oraz własne srogie dolegliwości wprowadzają go pod koniec życia na ciernistą drogę kalwaryjską, a ostatecznie podług słów św. Pawła: przybijają z Chrystusem do krzyża. Zarówno lud prosty jak i najuczeńsi mężowie uznawali jednogodnie świętość męża Bożego i ściśle zjednoczenie z Bogiem pięknej jego duszy. Znajdowali się wprawdzie ludzie, zarzucający mu egzaltację i przesadę, ale zobaczymy, ile w tym zarzucie było prawdy i jaką była ta mniemana egzaltacja, czy przesada. Złą być nie mogła w zasadzie, skoro tak błogie wydała owoce, skoro nie przywiodła Duponta do uchybienia przeciw miłości bliźniego, lub do nieposłuszeństwa władzy duchownej, ale przeciwnie uczyniła go pokornym i posłusznym synem Kościoła. Z listów jego przekonywamy się wielokrotnie, z jaką czcią i szacunkiem oczekiwał ostatecznego wyroku władzy kościelnej, zwłaszcza gdy chodziło o cudowne wydarzenia, i jak do tego zachęcał znajomych i przyjaciół. Niezwykłą była zaiste u Leona wiara w wszechmoc Boga i przyczynę świętych Pańskich, nadzieja w skuteczność modlitwy, nienawiść względem szatana i popleczników jego; niezwykłym był wreszcie

zapał do wszystkiego, co mogło podnieść cześć Przenajświętszego Sakramentu. I to właśnie zwano egzaltacją; lecz w tych rzeczach czyż można iść za daleko? To, co niedowiarkowie, ludzie światowi i względem Boga obojętni, zowią „przesadą i egzaltacją,“ w oczach chrześcijanina światłego jest tylko wyższym stopniem gorliwości, cnoty i wiernego wypełniania obowiązków. To jest właśnie owo szaleństwo miłości Bożej, właściwe Świętym Pańskim, a które współcześni również za złe im nieraz mieli. Czyż „egzaltowanymi“ nie byli również owi pustelnicy Palestyny i Tebaidy, którzy, opuszczając niekiedy swe pustelnie, w pokutnych szatach ukazywali się na ulicach Antjochji lub Aleksandrji, aby bronić wiary, zagrożonej przez Arjanów, a słowy i przykładem utwierdzać chwiejne serca współbraci? Czyż nie byli „egzaltowanymi“ męczennicy pierwszych wieków, przyjmujący ze spokojem śmierć w srogich męczarniach, którzy dobrowolnie stawali przed okrutnymi sędziami, upominali ich i sami oddawali się w ich ręce? A w czasach nam bliższych, czyż egzaltowanymi nie byli ci bohaterowie średnich wieków, taki św. Bernard, św. Franciszek z Assyżu i wielu innych, których ubóstwo i umartwienie zdają się przewyższać siły ludzkiej natury?

Jeżeli Dupont był egzaltowanym, to chyba na wzór tych świętych mężów. Obdarzony jako oni duszą wrażliwą, za ich przykładem, bez żadnego zastrzeżenia oddał się sprawom Bożym. Zapalał się łatwo, ilekroć dostrzegał działanie Ducha św., ale ten jego zapał nie był wcale ślepym i bez rozwagi;

przeciwnie wpływał on z pobudek nadprzyrodzonych, ale najoczywistszych i najprawdziwszych. Dziwną wyda się jeszcze niejednemu łatwość, z jaką Dupont upatrywał zrządzenie Opatrzności w zestawieniu najrozmaitszych dat i wydarzeń, a wyraźne działanie Boże, lub wpływ złego ducha w najdrobniejszych, złych czy pomyślnych wypadkach. To zapatrywanie, nie wykluczające bynajmniej odpowiedzialności człowieka za jego wolną wolę, miałożby być przeciwne nauce Ewangelji? Przecież Pan Jezus nazwał wyraźnie szatana „książęciem tego świata,” a Opatrzność jestże wyrazem bez żadnego znaczenia? Czyż ona nie oznacza owej macierzyńskiej troskliwości Stwórcy, zajętego ustawicznie swemi stworzeniami? czyż Pan Jezus nie powiedział, że Ojciec niebieski, dbały o potrzeby swych dzieci, policzył włosy na ich głowie; że karmi małe ptaszęta i przyodziewa lilje polne? Rozczytując się w Piśmie św. czyż naprawdę Dupont zbłądził, czerpiąc tam powyższe, wruszające zasady i stosując je w swem postępowaniu? A jeśli raził osoby, mało go znające, było to głównie winą wieku, przesiąkniętego materializmem, albo braku obeznania z rzeczami wiary, tego nieuctwa, właściwego wielu chrześcijanom dni naszych, którzy sądzą, mówią, czują i działają nie podług ducha Ewangelji, ale często w sposób wręcz jej przeciwny. Prosta a żywa wiara Leona, na tak szczytne podnosząc go wyżyny, wyższem go też darzyła natchnieniem.

Na innem już miejscu zwróciliśmy uwagę czytelnika, jako sługa Boży nie od razu, ale stopniowo

czynił postępy w enocie; tu jeszcze dodać nam należy, że odpowiednio do tego wewnętrznego i moralnego doskonalenia się, wiara jego stawała się coraz żywszą i coraz głębszą, a wskutek tego zauważyć było można u niego pewną zmianę w sposobie jego wysławiania się pod wpływem Ducha św., widoczne niejako wznoszenie się ze światłości w światłość. Zwolna pozbywa się zbytnej żywości charakteru, pewnego poetycznego sposobu mówienia, w ogóle wszystkiego, co było choć trochę ziemskie, niedoskonałe, a natomiast zauważamy większą trzeźwość i trafność poglądów, ścisłość wysłowienia, której i najsurowszy teolog nie mógłby nie zarzucić. Z radosnym zapalem wita zawsze rzeczy Boskie, ostrożniejszym jest wszelako co do ludzkich świadectw. W jego mowie i czynach przebija przytem coraz większa pogoda duszy i czystość serca. Takim był Dupont w ciągu ostatnich dwudziestu lat swego żywota, takim znał go autor niniejszej książki. Dodać jeszcze należy, że sława jego świętości ściągała doń przeróżne osoby, tak duchowne, jak świeckie, odznaczające się nieraz niepohamowaną i nadmierną gorliwością, chętne do zaprowadzenia nowych instytucji i nabożeństw. Osobiście i piśmiennie udawano się do niego, prosząc o rady i wskazówki, usiłując go pozyskać dla swych zamiarów, przedstawiając mu najniemożliwsze nieraz pomysły. Posiadamy znaczną liczbę odpowiedzi Leona, pisanych do takich właśnie osób. Listy te poufne, zwykle bardzo krótkie, pełne chrześcijańskiej miłości bliźniego i delikatności, odznaczają się zwięzłością wy-



słowienia, pogodą, ale i przezornością sądu; uderzył nas zwłaszcza dobitny i stanowczy opór względem tego, co mu się zdaje przesadzonym, a wskutek tego fałszywem i niewykonalnem. W każdym słowie przebija umysł dobry, bo pokorny, prawy, praktyczną stroną uwzględniający. O nie na próżno tak często modlił się do Pana, by mógł „chodzić w jasności Oblicza Pańskiego, a w sprawiedliwości Jego być podwyższonym.“

Duch mądrości, który go napełnił, świadczy, że gorąca ta prośba wysłuchaną została.

## ROZDZIAŁ XXVII.

### Kaplica Oblicza Pańskiego. — Zakończenie.

Po śmierci Leona pytano ogólnie, co się stanie z czcigodnym wizerunkiem Oblicza Pańskiego, który przez tak długie lata stanowił treść życia sługi Bożego, i który w jego mieszkaniu tyłu wslawiony został cudami. Dupont pod tym względem nie chciał nic postanowić, a pokorna jego ufność w Bogu w ostatniem rozporządzeniu następujące podyktowała mu słowa: „Nie wspominam o wizerunku Przenajświętszego Oblicza, bynajmniej nie przez zapomnienie, ale, ponieważ nie chcę narzucać mej woli w czasie, gdzie już sam nie będę mógł zapalać lampki w mej kapliczce, Pan Bóg będzie miał o tem

staranie i pokieruje tą sprawą podług swej woli przenajświętszej.“

Ta ufność wiernego sługi zawiedzioną nie została; wola Boża objawiła się w sposób, przewyższający wszelkie oczekiwania. Skutkiem układów rodzinnych dom Leona miał być sprzedany. Zaledwie wieść o tem rozeszła się pośród mieszkańców miasta Tours, budząc obawę, by czcigodny przybytek nie przeszedł w ręce niegodne, gdy dowiedziano się, że został nabyty przez miejscowe Zgromadzenie Karmelitanek. Te godne spadkobierczynie wielkiej myśli wynagradzania, pośród nich powstałej, pomimo ubóstwa i klauzury, w przeciągu dni kilku zdołały przywieść do skutku sprawę tak ważną, w czem widocznie okazał się opiekuńczy wpływ Siostry Maryi od św. Piotra i świątobliwego sługi Bożego. Odtąd Karmel i nabożeństwo do Oblicza Pańskiego miały być nierozzerwalnie złączone.

Wielką była radość pobożnych zakonnic, ale nie mniejsza współobywateli i przyjaciół Leona. Miejscowy Arcybiskup, ks. Collet, nie tylko pozwolił przełożonej Karmelitanek, matce Teresie od św. Józefa, na ten śmiały krok, ale nadto prywatną kapliczkę Duponta zamienił na publiczną i sam chciał ją poświęcić. Tym sposobem zamierzał okazać swe nabożeństwo do Przenajświętszego Oblicza, a zarazem uczcić pamięć wielkiego chrześcijanina, zmarłego świątobliwie w jego mieście — jak się w akcie erekcyjnym o Leonie wyraża.

Kaplica czci wynagradzającej Oblicza Pańskiego została przerobioną z salonu i salki jadalnej Du-

ponta, w ten jednakże sposób, by mogła przypominać pierwotne swoje przeznaczenie, to jest miejsce, w którym świątobliwy sługa Boży bezustannie przebywał i modlił się. Ołtarz, ozdobiony figurą Ecce Homo, znajduje się na miejscu marmurowego kominka, tam właśnie, gdzie Dupont zwykł był klękać, by modlić się z pielgrzymami. Wizerunek Oblicza Pańskiego, w ozdobnych ramach, otoczony licznym szeregiem *voitów*, wisi po prawej stronie ołtarza, na dawnym miejscu, z tą samą, zawsze gorejącą, lampką. Po lewej stronie ołtarza widna jest chorągiew Serca Jezusowego, wierna kopia sztandaru, który prowadził do walki dzielnych Żuawów francuskich. Tuż obok na pulpicie spoczywa księga Pisma św., której niegdyś używał Dupont, a przed nią, jak dawniej, wieczna pali się lampka. Na wzór kapliczki św. Ignacego w Rzymie umieszczono na ścianach pobożne zdania i napisy, przypominające wybitniejsze cnoty męża Bożego i główne wypadki z jego życia.

Tak przerobioną kapliczkę poświęcił Arcybiskup Collet w dniu 29 czerwca, to jest w uroczystość św. Piotra i Pawła, w obec licznie zebranego duchowieństwa i ludu. Przy niej też ustanowił 1884 roku osobne Bractwo Oblicza Pańskiego, celem oddawania szczególnej czci i zadośćuczynienia Przenajśw. Obliczu, zeszpeconemu i znieważonemu podczas Męki boleśnej. Na czele Stowarzyszenia zapisał własne swe imię, a nadto jeszcze zamianował przy kaplicy osobnego kapelana, będącego za-

razem dyrektorem Bractwa, z władzą przyjmowania członków.

Tym sposobem zaledwie w trzy miesiące po śmierci Duponta, tak bardzo mu drogie dzieło czci wynagradzającej Oblicza Pańskiego, na nowe wchodząc tory, uzyskało uroczyste zatwierdzenie i mogło być przedmiotem publicznych pielgrzymek. To też po krótkiej przerwie, spowodowanej chorobą i śmiercią Leona, pielgrzymki te odżyły z nową siłą i z nowym zapalem. Duchowni i świeccy śpieszyli do kapliczki, która wkrótce okazała się niewystarczającą tak że trzeba było przybudować dwie poboczne nawy. Ale gdy nawet w ten sposób rozszerzona nie mogła pomieścić coraz bardziej zwiększającego się napływu pielgrzymów, przełożona Karmelitanek, matka Teresa, poleciła wygotować plan nowej, obszernej kaplicy, która miała być połączona z pierwotnie urządzonym, skromnym przybytkiem. Dla brabu funduszków planu tego nie można było jednakże wykonać zaraz, i dopiero pod koniec 1890 roku założono pierwsze fundamenta nowej świątyni.

Kapelan, ustanowiony przy kaplicy Oblicza Pańskiego, w obec tak bardzo rozszerzającego się nabożeństwa wynagradzającego, w żaden sposób nie mógł podolać swemu zadaniu, dla tego Arcybiskup powziął myśl ustanowienia w domu Duponta i pod szczególną opieką tego apostoła Przenajśw. Oblicza osobnej Kongregacji kapłanów Oblicza Pańskiego. Zadaniem ich było obsługiwanie kaplicy i pielgrzymów, do niej przybywających, a zwłaszcza, jak sama

ich nazwa wskazuje, rozpowszechnianie tyle zbawienego nabożeństwa wynagradzającego do Przenajświętszego Oblicza, tak jak je Dupont przez lat dwadzieścia pięć pojmował i wypełniał.—Nowe swe stanowisko objęli ci kapłani 8 grudnia 1876 roku bez żadnych środków utrzymania, ufni jedynie w Opatrzność Boską, która ich też nie opuściła.—Przełożona Karmelitanek, nie poprzestając na urzędzeniu kaplicy czci wynagradzającej Oblicza Pańskiego, pomimo ubóstwa własnego klasztoru, przez długi czas zaspokajała prawie wyłącznie potrzeby nowego Zgromadzenia.

Należy podziwiać wyraźne zrzadzenie Boskie we wszystkim, co się działo na tem świętem miejscu, które tak samo jak za życia Leona stało się punktem środkowym dzieł wynagradzających, celem pielgrzymek z najodleglejszych krajów, z Azji nawet. Dwa razy dziennie odmawiają tam litanję do Przenajświętszego Oblicza, a często bardzo urządzą solenne i publiczne nabożeństwa, wynagradzające pielgrzymki, czy to zamiejscowe, czy miejscowych parafji i Stowarzyszeń. W wielki piątek wyróżnia się szczególnie pielgrzymka mężczyzn nabożnem skupieniem i liczbą uczestników. Wówczas to ludzie światowi nawet okazują niejako, że nie zapomnieli świętobliwego przykładu Duponta, przyjaciela i współziomka swego. Jakiś dziwny urok przywiązany jest do tej kapliczki, jako pamiątka cnót męża Bożego, któremu tak długo za mieszkanie służyła. Duchowni ubiegają się o to, by tam odprawić Mszę św., świeccy, by pomodlić się i przyjąć Komunię św. Człon-

kowie Adoracji nocnej zbierają się tam również co tydzień, i jak niegdyś za życia Leona w kaplicy Łazarzystów, od wtorku wieczór przez całą noc i dzień następny odprawiają z kolei adorację wynagradzającą w obec Przenajśw. Sakramentu.

Księża Oblicza Pańskiego prowadzą również dalej korespondencję, jak niegdyś Dupont. Codziennie nadchodzą listy z prośbą o przyjęcie do Bractwa, o wizerunki Przenajśw. Oblicza, o modlitwę w celu uzyskania łask najrozmaitszych. W listach tych imię świętobliwego męża prawie zawsze bywa wspomniane, i to z wielką czcią i wdzięcznością; sławią jego dobroć, jego zbawienne rady i łaski, otrzymane za jego pośrednictwem. Nadsyłając obfite szczególne do biografji Leona, potwierdzają jednogłośnie heroizm jego cnót, nie wahają się nazywać go „świętym“ i „cudotwórcą.“ Zwłaszcza osoby odwiedzające go w ostatniej chorobie niezatarte wyniosły wspomnienie. „Nie zapomnę nigdy—pisze naprzykład pan Józef Lemann—ostatniego uścisku jego dłoni i wejrzenia, pełnego miłości, jakie skierował ku niemu, gdy na wzmiankę o blizkiej śmierci, odrzekł mu: Przez całe życie czciłeś Przenajśw. Oblicze, teraz masz więc prawo do Boskiego Serca.—Z powagą Patryarchów łączył niewyczerpaną miłość Apostołów; na pół sparaliżowany, ręką, w której pozostało mu jeszcze trochę władzy, dał mi dwie modlitwy, ułożone przez siebie z prośbą, abym je rozpowszechniał, jeśli uznam, że przydać się mogą. Były to dwa żarliwe westchnienia duszy, pałającej miłością ku Bogu.“

Tak wielką czcią otaczano pamięć Leona, że niejednokrotnie trzeba było powstrzymać zapal ludności, pragnącej oddać hold publiczny jego zwłokom. Ale w głębi serca, w sposób prywatny, jak tego Kościół św. nie zabrania, wzywają często przy czyny świątobliwego męża, i należy przyznać, że ufność ta, tak samo jak i za jego życia, bywa cudownemi nagradzana łaskami. Łaski uzyskane są tak liczne i nadzwyczajne, że książeczki miesięczne, które kapłani Oblicza Pańskiego wydają, przepelnione są ich opisami, a jeszcze dla braku miejsca wszyskich nie można umieścić. O kilku przynajmniej niechaj nam będzie wolno krótką przytoczyć wzmiankę.

W lipcowym zeszyt z roku 1892 z Bononji we Włoszech dziękują za nawrócenie pewnego grzesznika, który od trzydziestu pięciu lat nie chodził do spowiedzi. W ubranie tego nieszczęśliwego zaszyto medaljonik Przenajświętszego Oblicza, modlono się bardzo długo i oto prośby zostały wysłuchane. Zatwardziały ów grzesznik z wielką skruchą i wzruszeniem przystąpił do spowiedzi wielkanocnej. A czas był już ostateczny, gdyż wkrótce został rażony paralizem, lada chwilę grożącym jego życiu.

Zakonnica Dominikanka w Chinon, od ośmiu lat bezwładna, od razu i zupełnie została uleczoną w rocznicę śmierci Duponta, o tej samej godzinie, w tej samej chwili, kiedy sługa Boży ostatnie wydał tchnienie, 18 marca 1880 r.

Siostra N. w domu sierot w Adeikalabouram w Indjach Wschodnich blizką była śmierci. Lekarze opuścili ją, mówiąc, że żadnej już niema nadziei;

napróżno liczne odprawiano nowenny, uciekając się do Matki Boskiej, do Serca Jezusowego. „A gdybyśmy pomodliły się do Oblicza Pańskiego”—rzekła jedna z zakonnice. „Już za późno—odparła przełożona—nie przeżyje tej nocy.“ Ale chora, posłyszawszy tę rozmowę, pełna bezgranicznej ufności, poprosiła, aby jej przyniesiono oliwę z lampki, palącej się bezustannie w kapliczce klasztornej przed wizerunkiem Oblicza Pańskiego. Spełniono jej życzenie, i o cud! oto w mgnieniu oka zupełnie zdrową się uczuła. A chociaż dotąd o własnej sile poruszać się nie mogła, ani przelknąć wody kropelki, teraz wstała, ubrała się, jadła z apetytem, a tego samego dnia zabrała się do pracy. Wszyscy uznali cud oczywisty i wielbili Przenajśw. Oblicze. Po kilku dniach przełożona przedstawiła Siostrę doktorowi, a tenże zdumiony, ale jako poganin nie chcąc uznać cudu, twierdził, że zupełnie jeszcze nie jest zdrową i zapisał jakieś lekarstwo. Zaledwie jednak zażyła takowego pierwszą łyżkę, popadła w stan dawny, a prawie jeszcze groźniejszy. Po kilku godzinach powzięto myśl powtórnego użycia oliwy Oblicza Pańskiego, i tak, jak za pierwszym razem, natychmiast została uleczoną, i od kilku tygodni zupełnie jest zdrową. Zdumiewające to zdarzenie potwierdzają dwaj tamtejsi misjonarze.

Pewna młoda osoba, dotknięta pomieszaniem zmysłów i przez długi czas w Paryżu napróżno zostająca pod nadzorem lekarza specjalisty, uleczoną została podczas nowenny do Oblicza Pańskiego, przyczem wzywano orędownictwa Leona.



Pewien kapłan z Auzin we Francji stwierdza jako 1877 r. wdowa, Ludwika Telmy, uleczoną została z głuchoty, a w roku 1882 trzechletnia Marya Diestecq, zaniewidziawszy nagle i przez trzech doktorów uznana za nieuleczalną, po odprawieniu przez rodziców nowenny do Przenajśw. Oblicza, przejrzała cudownie na prawe oko i dotąd dobrym cieszy się wzrokiem. „Nie traćcie nadziei nawrócenia grzeszników najwięcej zatwardziałych — piszą w grudniu 1891 r. Karmelitanki z Dijon—jeśli skłonicie ich do noszenia szkaplerzy z ewangelją o Obrzezaniu Pańskim.“ A na dowód tego twierdzenia przytaczają liczne przykłady osób, które pojednały się z Bogiem przez szczerą spowiedź, choć poprzednio niekiedy i lat pięćdziesiąt nie przystępowały do Sakramentów świętych.

Z innych stron dziękują za wygranie procesu, za pomoc w nagłej potrzebie i za wiele innych łask cudownych. W jednym tylko miesiącu listopadzie 1891 r. nadesłano 421 podziękowań; nie skończyliśmy, chcąc wymieniać choćby najwięcej uderzające. Wspomnijmy jeszcze tylko, że i w naszym kraju ufność, pokładana w Obliczu Pańskim i w przyczynie świątobliwego Jego sługi, niejednokrotnie już została wynagrodzoną w sposób cudowny.

Ze wszystkich stron zgłaszają się też do Tours z prośbą o wizerunki Przenajśw. Oblicza, wierne kopie chusty św. Weroniki, z których jedną Dupont tak wielką czcią otaczał. Księża Oblicza Pańskiego sprowadzają wizerunki te z Rzymu i dalej rozpowszechniają; a trudno policzyć, ile rozeszło się ich

tysięcy, w ilu miejscach są wystawione, prawie zawsze z palącą się lampką. Znaleźć je można w prywatnych domach i kaplicach, w szkołach i szpitalach, w kościołach i katedrach. Wiadomości, umieszczone w książeczkach miesięcznych Arcybractwa Oblicza Pańskiego, przekonywają nas, jak to nabożeństwo kwitnie w najodleglejszych krajach nietylko Europy, ale Azji, Afryki i Ameryki. Zaprowadzone tam przez misjonarzy pomiędzy ludami nowo ochrzczone, z wielkim zapalem bywa przez nich przyjmowane. Wszędzie ludzie dobrej woli ofiarują Panu modły wynagradzające, tak mile Jego Sercu.

W Rzymie, w nowej dzielnicy tego starego miasta, gdzie jak z pod ziemi powstają wspaniałe gmachy i pałace, ale gdzie niema ani jednego kościoła, na wyraźne życzenie Ojca św. rozpoczęto budowę kaplicy Przenajśw. Oblicza. W tym celu ze wszystkich stron świata płyną hojne datki, a zanim przybytek ten zostanie ukończonym, przy moście di Ripetta otwarto tymczasową kaplicę. Poświęcona w marcu 1891 roku, stała się zaraz punktem środkowym nabożeństw wynagradzających i celem pielgrzymek Stowarzyszeń Oblicza Pańskiego, bardzo licznych w całych Włoszech. Umieszczony w tejże kaplicy wizerunek Przenajśw. Oblicza niejednokrotnie został już wslawiony cudami.

Tak szybki wzrost i niespodziewany postęp nabożeństwa do Przenajśw. Oblicza, które z każdym dniem w istotnie cudowny rozpowszechnia się sposób, nie jestże oczywiście zarządzeniem Opatrzności, wyrazem woli Boskiej? Dupont był prawdziwie

natchniony duchem Bożym, gdy nie chcąc żadnego na przyszłość wydać rozporządzenia, zdał wszystko na wolę Boga. Pan też w widocznie cudowny sposób pokierował całą sprawą i wciąż się jeszcze nią opiekuje.

Czy i względem swego świątobliwego czciciela ma jakie szczegółowe zamiary? czy ujrzymy go jeszcze na ołtarzach? Przedwczesny to sąd i nie do nas należy, choć pierwsze kroki zostały uczynione w tym względzie. Zmarły bowiem Arcybiskup z Tours, Mgr. Collet już 1 października 1883 roku ustanowił kanonicznie osobny Wydział, którego zadaniem było zbierać dowody dotyczące sprawy kanonizacji Leona Dupont\*). Ufajmy więc i módlmy

\*) Autor niniejszej książki, Ks. Janvier, członek kapituły metropolitalnej i pierwszy dyrektor dzieła Oblicza Pańskiego, został obrany przez siedmiu miejscowych proboszczów, a zamianowany przez Arcybiskupa Collet postulatorem sprawy Duponta. Śmierć przedwczesna nie pozwoliła mu doprowadzić do końca dzieła, z którego dalszym przebiegiem pragniemy zapoznać jeszcze czytelników. Kościół św., zanim orzecze o świętości swego wyznawcy i wyniesie go na ołtarze, postępuje z nadzwyczajną roztropnością i przezornością, zwolna wszystko rozpatrując i sądząc. Zapadnięcie wyroku poprzedza cały szereg dochodzeń sądowych i formalności, które niejednemu wydają się zbyteczne i drobnostkowe, ale są nakazane dekretami kanonicznymi, których nie wolno pominąć, albo przekroczyć, niekiedy pod karą zupełnej nieważności sprawy. Te zatem ścisłe formalności należało wypełnić odnośnie do beatyfikacji i kanonizacji Leona Dupont. Członkowie Trybunału duchownego, ustanowionego przez Arcybiskupa Collet, zobowiązali się do zachowania tajemnicy uroczystą przysięgą, której złamanie pociągało by za sobą ekskomunikę, z jakiej tylko Ojciec św. mógłby ich uwolnić. Odyto sto i pięć posie-

się, co więcej, naśladowmy żywą wiarę i gorącą miłość Bożą świątobliwego męża. Za jego przykładem oddajmy się modlitwie, a zwłaszcza umiłujmy nabo-

dzeń, przesłuchano około sześćdziesięciu świadków, którzy przed ołtarzem na Ewangelię musieli prawdziwość swych zeznań poprześiadać.

Dopiero 5 czerwca 1888 r. ukończono proces informacyjny, wszystkie dokumenta procesu zostały zebrane, a autentyczność ich zatwierdzona przez Arcyb. z Tours i przez członków Trybunału. Kopia tychże dokumentów została odwieziona do Rzymu i złożona w kancelarji Kongregacji Obrzędów. Już w styczniu 1891 r. Ojciec św., Leon XIII, zezwolił: 1) na zdjęcie pieczęci z przywiezionych z Tours aktów procesu; 2) na rozpatrzenie pism, przyznawanych słudze Bożemu; 3) J. E. kardynała Mermilod zamianował protektorem sprawy.—Wskutek tego wyroku papieskiego, X. Meignan, Arcyb. z Tours, wydał rozkaz poszukiwania listów i wszelkich innych pism Leona Dupont, oraz złożenia takowych w sekretarjacie Arcybiskupim, a toby tego nie uczynił, popadłby w cenzurę kościelną. Dnia 13 czerwca 1891 roku ustanowił Arcybiskup nowy Trybunał, tak nazwany *de non cultu*, którego zadaniem było przeprowadzenie śledztwa, czy nie oddawano słudze Bożemu czci, jeszcze przez Kościół nie zatwierdzonej.

Obecnie proces beatyfikacji i kanonizacji Leona Dupont prowadzi się dalej w Rzymie. Markiz Fonti, adwokat sprawy, układa *transumptum*, czyli kopię, podług której członkowie św. Kongregacji Obrzędów przedstawiają Ojcu św. raport, wyrażający ich zdanie o heroizmie enót i sławie świątobliwości męża Bożego, oraz o cudach, jemu przypisywanych. Jeśli raport będzie korzystny, Ojciec św. raczy podpisać dekret introdukcji sprawy Leona Dupont, którego wtenczas będzie już można nazywać *czcigodnym*.

Chwilę tę, z tak wielkiem upragnieniem wyczekiwaną przez czcicieli Oblicza Pańskiego przyspieszyć można jałmużną na rzecz przeprowadzenia sprawy Leona i gorącą o to do Boga modlitwą.

J. B. Fourault.

żeństwo wynagradzające. On właśnie nie kapłan, ani zakonnik, ale człowiek w świecie żyjący, został powołany przez Boga, aby nam był wzorem i dowodem, ile zdziałać może prawdziwy chrześcijanin, godzien tego imienia.

Za dni naszych świat zdaje się chylić ku upadkowi, piekło z niesłychaną wściekłością wysila się przeciw Kościołowi, a rządy, książęta i ludy zamiast go bronić, opuszczają go, lub nawet przeciwko niemu się zwracają. Ale ta oblubienica Chrystusowa nieomylna i nieśmiertelna dodaje wiernym dzieciom siły nadprzyrodzonej, której żadna ziemską moc złamać ani zwyciężyć nie zdoła, a tą siłą—modlitwa pełna ufności i żywej wiary, modlitwa, której źródłem gorąca miłość Boża i chęć zadośćuczynienia obrażonemu Jego majestatowi. O tej sile już św. Jan Chryzostom mówił: *Nihil potentius homine orante*. „Nie masz nic potężniejszego nad człowieka modlącego się.“ Taka modlitwa serc katolickich, połączonych wspólną chęcią wynagradzania, jest siłą niezwykłą i wszystko wyjednać może. Ona to podniosła Leona Dupont do tak wielkiej doskonałości, ona też, jak ufamy, przyniesie naszemu społeczeństwu to, czego mu najwięcej potrzeba do duchowego odrodzenia i zbawienia, to jest wyprosi mu u Boga ludzi z oświeconym umysłem i wielkiem a miłującym sercem, z charakterem szlachetnym, słowem chrześcijan w duchu i w prawdzie.



## Spis rzeczy.

	Str.
Przedmowa . . . . .	5
Rozdział I: Przybycie na świat Leona Dupont.—Jego młodość i małżeństwo . . . . .	9
Rozdział II: Przybycie do Tours . . . . .	21
Rozdział III: Wierne współdziałanie z łaską. — Pierwsze próby zadośćuczynienia. — Pielgrzym . . . . .	26
Rozdział IV: Uczynki miłosierne.—Rozmowy . . . . .	33
Rozdział V: Powołanie Leona Dupont. — Stosunki jego z Siostrą od św. Piotra. — La Salette . . . . .	37
Rozdział VI: Córka Leona, Henrynia . . . . .	49
Rozdział VII: Siostrzyczki ubogich . . . . .	59
„ VIII: Inne uczynki miłosierne Leona . . . . .	63
„ IX: Adoracja nocna Najświętszego Sakramentu . . . . .	71
„ X: Stowarzyszenie pod opieką św. Marcina . . . . .	85
„ XI: Szatan i medaljonik św. Benedykta . . . . .	88
„ XII: Pismo święte . . . . .	99
„ XIII: Początek nabożeństwa do Przenajświętszego Oblicza . . . . .	103
Rozdział XIV: Druga epoka czci Przenajśw. Oblicza . . . . .	121
„ XV: Korespondencje Leona . . . . .	129
„ XVI: Śmierć matki. — Serdeczne związki przyjacielni i pokrewieństwa . . . . .	142
Rozdział XVII: Trzecia epoka czci Przenajśw. Oblicza . . . . .	153

	<i>Str.</i>
Rozdział XVIII: Lourdes . . . . .	168
” XIX: Przywiązanie Leona do Kościoła świętego . . . . .	179
” XX: Żywa wiara i głęboka pokora Leona . . . . .	187
” XXI: Nadzieja.—Miłość Boża.—Umartwienie . . . . .	202
” XXII: Nabożeństwo Leona do Najśłodszego Serca Jezusowego, do Matki Boskiej, do Świętych Pańskich, do Aniołów i za dusze w czyśćcu cierpiące . . . . .	215
Rozdział XXIII: Czwarta epoka czci Przenajświętszego Oblicza . . . . .	229
Rozdział XXIV: Wojna 1870 roku.—Komuna . . . . .	236
Rozdział XXV: Cierpienie i osamotnienie.—Ostatnia epoka czci Przenajświętszego Oblicza . . . . .	242
Rozdział XXVI: Ostatnia choroba i śmierć Leona . . . . .	251
” XXVII: Kaplica Oblicza Pańskiego.—Zakończenie . . . . .	268





8906